ADAM WAJRAK

TO BYŁA NAJWIĘKSZA PRZYGODA MOJEGO ŻYCIA!
CHCIAŁBYM, ŻEBY SIĘ POWTÓRZYŁA

Wilki

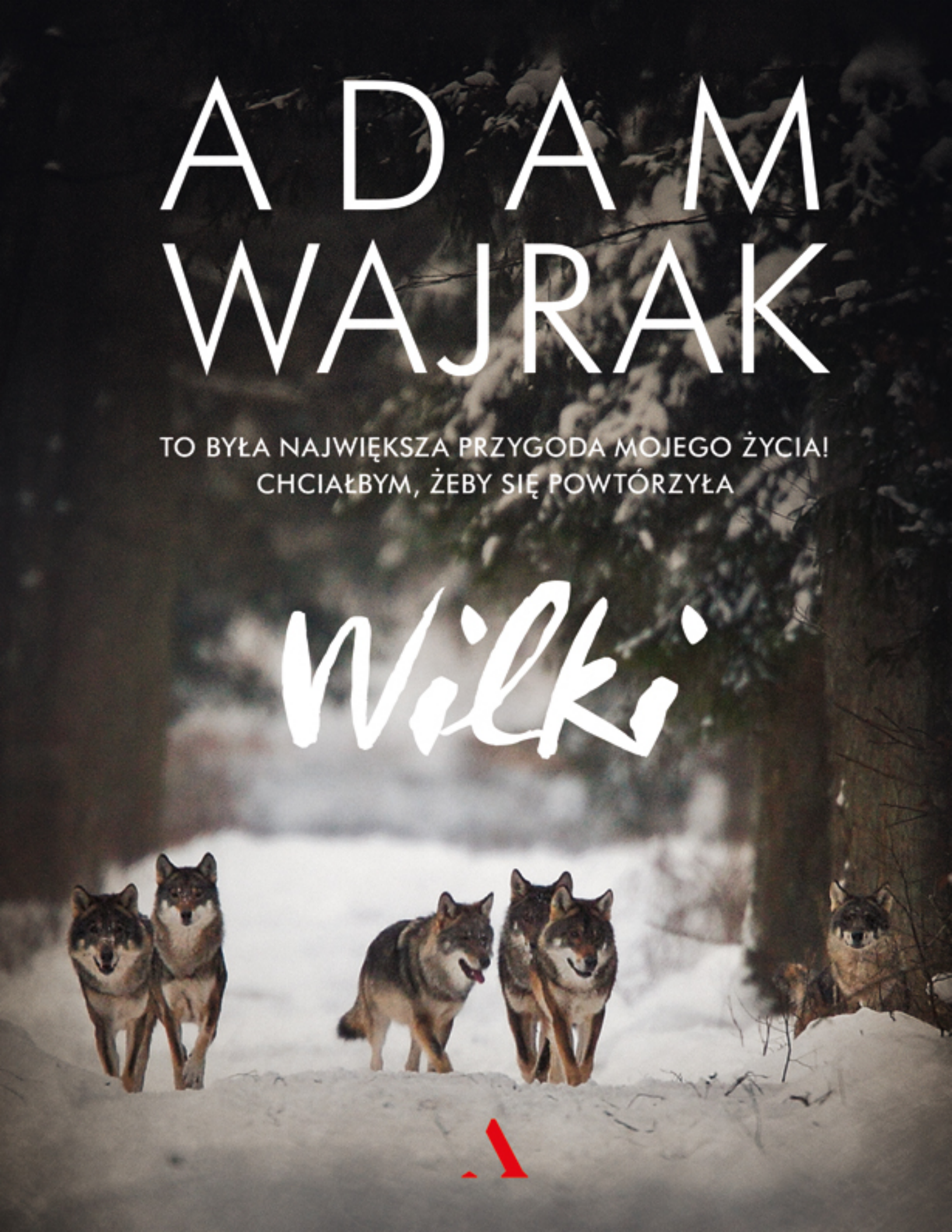

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

ADAM WAJRAK

Wilki

WARSZAWA 2015

REDAKCJA **Karolina Oponowicz**
KOREKTA **Marta Śliwińska**
FOTOEDYTOR **Maciej Jaźwiecki**
PROJEKT GRAFICZNY OKŁADKI **Paweł Panczakiewicz/PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN**
PROJEKT GRAFICZNY MAKIETY I SKŁAD **Elżbieta Wastkowska**
PRZYGOTOWANIE ZDJĘĆ DO DRUKU **Małgorzata Charewicz**
ZDJĘCIE NA OKŁADCE **Adam Wajrak (przód), Waldemar Gorlewski (tył)**

MAPY **Wawrzyniec Święcicki**

ZDJĘCIA W ŚRODKU (numery stron dotyczą wydania papierowego)
Adam Wajrak: 4-5, 8, 15, 18, 28, 33, 36 (2), 39, 40, 45, 52-53, 58, 65, 71, 82-83, 89, 96, 104, 108-109, 116, 127, 132-133 (4), 142, 145 (2), 154, 158, 164-165, 170-171, 176, 179, 186-187, 193, 196 (2), 201, 210-211 (2), 222-223, 229, 242, 247, 252-253 (4), 256-257 (4), 263; Z archiwum Adama Wajraka: s. 24-25; Nuria Selva: 150-151, 182, 239; Archiwum IBS PAN: s. 232

AGORA SA

ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
www.wydawnictwoagora.pl

WYDAWNICTWO KSIĄŻKOWE:
DYREKTOR WYDAWNICZY **Małgorzata Skowrońska**
REDAKTOR NACZELNY **Paweł Goźliński**
KOORDYNACJA PROJEKTU **Katarzyna Kubicka**

© Copyright by Agora SA, 2015
© Copyright by Adam Wajrak, 2015

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
WARSZAWA 2015
ISBN: 978-832-681-780-9 (epub); 978-832-681-781-6 (mobi)

prawolubni

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej

publio

SPIS TREŚCI

Dedykacja

Początek, czyli skąd Nuria, Antonia i ja wzięliśmy się w Puszczy

Wilk z pocztówki

Żarłoczny i łapczywy

Szczenięta na poligonie

Polowanie na wilki

Supertropicielka

Apetyt na psy

Dopaść jelenia

Kruki i złodzieje jelenich głów

Wnyki

Z twarzy poczciwy

Podziękowania i epilog

Korzystałem m.in. z...

Dla Nurii

POCZĄTEK,
czyli skąd Nuria, Antonia i ja wzięliśmy się w Puszczy

• • • • • •

– Nie chcę takiego psa! – oświadczyłem stanowczo Nurii. – Nie chcę i już. Coś, co Nuria właśnie mi przedstawiała, wyglądało kiczowato: rude, z białym kołnierzem i białymi skarpetami. Do tego pękaty kadłubek na cienkich długich łapkach. I łeb z odstającymi uszami, które po załamaniu zamieniały się w klapnięte uszy. Długi pysk, trochę jak u mrówkojada, a na jego końcu spory nochal. Do tego małe rezolutne oczka. Stojące przede mną zwierzę miało w sobie coś z owczarka szkockiego, co musiało być skutkiem dawnej fascynacji mieszkańców puszczańskich wiosek (albo pobliskiej Hajnówki) filmem „Lassie, wróć!". A jak wiadomo, to film dla egzaltowanych dziewczyn. Ja byłem fanem Szarika z „Czterech pancernych" i psa Cywila, czyli owczarków, prawdziwych psów, które przypominały wilka.

– Gdzieś ty ją znalazła? – zapytałem.

– Bawiła się z dziećmi przed Zakładem. Pomyślałam, że ją wezmę. Ale spokojnie, będę ją miała na spółkę ze Staszkiem – odpowiedziała Nuria.

NIE CHCĘ TAKIEGO PSA! – oświadczyłem stanowczo Nurii. – Nie chcę i już.

Staszek Śnieżko to jej kolega z Zakładu Badania Ssaków PAN w Białowieży, w którym Nuria robiła właśnie doktorat. Dobrze wiedziałem, jak ta spółka będzie wyglądać w praktyce. Kundelka wyląduje w naszym domu. No właśnie, kundelka! Nie chciałem nawet myśleć o tym, co nas czeka w związku z posiadaniem suczki: kłopoty z cieczką i odganianie się od okolicznych psich kawalerów.

Nigdy nie miałem psa, choć marzyłem o nim przez całe dzieciństwo. Zawsze sobie wyobrażałem, że ten pierwszy pies będzie super. I oczywiście będzie przypominał wilka. Moja wizja nabrała kolorów, kiedy kilka lat wcześniej miałem okazję chodzić na spacery z prawdziwymi wilkami. Nie łudziłem się, oczywiście, że mogę mieć prawdziwego wilka. Ale niechby to było coś podobnego. Jak choćby te wspaniałe psy pociągowe z Arktyki, z której właśnie wróciłem. Tymczasem Nuria się uparła. I co było robić?

– Popatrz, ona miała niedawno złamaną łapkę – powiedziała. W tej chwili już wiedziała, że wygrała.

– Jak ją nazwiemy? – zapytałem zrezygnowany.

– Nazwiemy ją Antonia – zdecydowała Nuria. Słyszałem to imię już wcześniej. Nuria i jej przyjaciółka Rosa powtarzały czasem zdanie pochodzące z jakiegoś hiszpańskiego kabaretu, które weszło do języka potocznego: „Antonia, jaka ty jesteś ordynarna!". Mówiły to na takiej zasadzie, jak my mówimy: „Kocham pana, panie Sułku". A więc Antonia? Pasowało jak ulał, pomyślałem złośliwie. I tak moje marzenie o psie, który przynajmniej trochę przypomina wilka, odeszło w niebyt.

Wilki tkwiły mi w głowie nie tylko dlatego, że chodziłem kiedyś na spacery z najprawdziwszymi wilkami, ale również dlatego, że duża część naszego życia kręciła się wokół nich. A dokładnie tego, co zabiły. Niemal codziennie ruszaliśmy z Nurią do lasu na poszukiwanie ich ofiar. W domu czekała na nas, oczywiście, cała masa zwierzaków, które znacie z „Kuny za kaloryferem". Tak naprawdę jednak zamieszkaliśmy w Puszczy nie dla ratowania kun, bocianów, sów, borsuków czy wydry Julka, tylko właśnie przez wilki i rysie.

Najpierw powinienem wam chyba opowiedzieć, jak to się wszystko zaczęło – skąd się wziąłem w Puszczy Białowieskiej. Pierwszy raz przejechałem do Puszczy Białowieskiej z wycieczką szkolną w 1988 roku. Zobaczyłem las pełen wielkich drzew, ale też zgnilizny, dziwnych grzybów oraz mroku, jakiego nie widziałem wcześniej w żadnym innym lesie. Puszcza nie przypadła mi do gustu i tak naprawdę trochę mnie przeraziła. Dlatego gdy w 1992 roku znajoma z Wydziału Biologii Uniwersytetu Warszawskiego namawiała mnie na artykuły o kłusownikach masakrujących białowieskie rysie, pojechałem do Puszczy bez entuzjazmu. Ale tym

razem wydała mi się miejscem niezwykłym, pełnym fascynujących tajemnic. Być może patrzyłem na nią inaczej, bo miał mi ją kto pokazać. Za sprawą zabitych rysiów poznałem Karola Zuba, Bogusię i Włodka Jędrzejewskich, Henryka Okarmę oraz Krzyśka Schmidta, czyli badaczy dużych drapieżników z Zakładu Badania Ssaków PAN w Białowieży. To oni wprowadzili mnie w niezwykły świat ostatniej prawdziwej puszczy, a także białowieskich wilków i rysiów. Zresztą nie tylko mnie.

Jesienią 1992 roku Henryk wybrał się swoim „maluchem" do Hiszpanii. Dojechał na samo jej południe, czyli do Parku Narodowego Doñana, gdzie opowiadał o wilkach i Puszczy. Jego opowieści dotarły do studentki biologii Uniwersytetu w Sewilli, niejakiej Nurii Selvy Fernandez. Gdy kilka lat później, w 1995 roku, Nuria skończyła studia i jak przystało na świeżo upieczoną absolwentkę, nie bardzo wiedziała, co ze sobą począć, przypomniała sobie opowieści Henryka. Napisała do niego. Drugi list z prośbą o staż wysłała do włoskiego badacza borsuków. A ponieważ Henryk odpowiedział, a włoski badacz borsuków nie, Nuria spakowała plecak i ruszyła do nieznanego kraju, gdzieś na wschodzie Europy. Miała tu zostać wolontariuszką w wilczym projekcie badawczym. Od tego czasu upłynęło równo 20 lat. Muszę wam przypomnieć, że świat w 1995 roku wyglądał zupełnie inaczej niż w 2015, kiedy piszę tę książkę. Dziś podróż z Hiszpanii do Polski jest prawie tak samo prosta jak z Warszawy do Krakowa, wtedy jednak była to prawdziwa wyprawa na drugi koniec kontynentu. Samolot kosztował majątek. Internet dopiero raczkował i wysłanie maila było dużym wydarzeniem. Nuria nie mogła ot tak wpisać w wyszukiwarkę „Puszcza Białowieska", żeby dowiedzieć się, co to za miejsce i jak tu dojechać. Polska nie była w Unii Europejskiej, a od świata, po którym teraz swobodnie podróżujemy, oddzielały

nasz kraj granice, wizy i paszporty. Używało się gotówki, a miejsca, w których można było płacić kartą kredytową, były w Polsce nieliczne (nie mówiąc już o bankomatach). Tymczasem Nuria, lądując w Warszawie, nie miała przy sobie złotówek – były one uznawane na świecie za walutę egzotyczną i żaden hiszpański bank ich nie wymieniał. Do tego w 1995 roku w obiegu były stare i nowe złote: za tę samą rzecz można było zapłacić sto nowych złotych albo milion starych, co mogło zdezorientować cudzoziemca. Dlatego też Henryk, który był bardzo przejęty przyjazdem wolontariuszki z Hiszpanii, postanowił zapewnić jej spokojny przejazd z Warszawy do Białowieży. Szukał kogoś, kto odbierze dziewczynę z lotniska w stolicy i wsadzi ją do pociągu jadącego do Hajnówki. Znał dwie osoby, którym mógł powierzyć tę misję. Jedną z nich byłem ja, drugą mój przyjaciel Piotr Jachowicz (obecnie scenarzysta), z którym często odwiedzałem Białowieżę. A że siedziałem akurat w fiordzie Hornsund na Spitsbergenie w traperskiej chatce pod Górą Wrzasku, gdzie zbierałem materiały do pracy naukowej kolegi na temat mew bladych, na lotnisko wybrał się Piotrek, razem ze swoją siostrą Kasią. Kiedy zobaczyli wychodzącą z samolotu Nurię w niebieskiej czapeczce (umówili się, że to będzie znak rozpoznawczy), od razu wymyślili, że będzie z nas znakomita para. Późnym latem wróciłem do Polski, a Piotrek i Kasia, zamiast z uwagą słuchać o moich arktycznych przygodach, wbijali mi do głowy, że natychmiast muszę jechać do Białowieży, bo poznam tam kogoś niezwykłego. Mieli nosa. Kiedy w końcu dotarłem do Puszczy i w domu naszych przyjaciół, Haliny i Karola Zubów, zobaczyłem Nurię, to na jej widok zatkało mnie z zachwytu. W życiu nie widziałem takich pięknych, kruczoczarnych włosów. Siedziałem więc i się na nią gapiłem, co, jak mi później powiedziała Nuria, wyglądało strasznie głupio. Nic jednak nie mogłem na to poradzić, bo z miejsca się

zakochałem. Ale Nuria śmiertelnie poważnie traktowała swoje obowiązki wolontariuszki i nie miała głowy do moich zalotów. Za pomocą specjalnego odbiornika i anteny namierzała wilki, które miały obroże z nadajnikami. Śmigała za nimi na rowerze po Puszczy, a ja, nie mając wyjścia, musiałem ostro pedałować za nią. Rok później planowaliśmy nasze wspólne życie w Białowieży.

Właściwie było to jedyne miejsce, w którym mogliśmy być razem. W grę nie wchodziła ani Sewilla, ani Warszawa. W Białowieży Nuria mogła robić wymarzony doktorat, a ja mogłem pisać o zwierzętach. Wkrótce okazało się, że doktorat Nurii nie będzie o wilkach albo rysiach, ale o czymś z pozoru zupełnie nieatrakcyjnym, ba, wręcz obrzydliwym.

– A może byś tak spróbowała badać padlinę i padlinożerców? – usłyszała Nuria od Henryka Okarmy. Niby paskudny temat, ale Nuria czuła, że byłoby to wielkie wyzwanie i przygoda. Mogłaby się zająć wszystkim: od maleńkich sikor, przez sprytne kruki, rude lisy, po majestatyczne bieliki. Ale najważniejsze było to, że aby znaleźć padlinę, musielibyśmy tropić rysie, a przede wszystkim wilki, i poznać na wylot ich życie. Zresztą nie tylko tropić wilki, ale też uczestniczyć w ich łapaniu i zakładaniu im nadajników. Ja oczywiście zamierzałem się w to zaangażować – nie tylko po to, żeby pomagać Nurii, ale też dlatego, że było to dla mnie fascynujące. Nuria przyjęła propozycję, mieliśmy więc przed sobą kilka lat niezwykłych przygód i ciężkiej pracy. I kiedy ta praca trwała w najlepsze, pochłaniając nas całkowicie, a na dodatek co chwila ktoś podrzucał nam bociana czy kunę, które trzeba było wychować, nagle pojawiła Antonia. Jakbyśmy mieli mało innych kłopotów! Nie byłem tym zachwycony.

Kiedy tak kręciłem nosem na widok kundelki przyprowadzonej do domu przez Nurię, nie wiedziałem jeszcze, że jest ona psem zupełnie niezwykłym. Darem niebios. I że to właśnie ona pomoże nam poznać świat wilków. Zawdzięczam jej choćby słynne zdjęcie watahy sześciu biegnących wilków, które widzicie na okładce tej książki. Nie udałoby mi się go zrobić, gdyby nie to, czego się nauczyłem, przemierzając las z Antonią. O tym właśnie jest ta książka. Zresztą nie tylko o tym, ale też o strachu przed wilkami, który towarzyszy prawie wszystkim Europejczykom. Przywiozłem go do Puszczy i tu się go pozbyłem.

• • • • • •

ANTONIA: długi pysk jak u mrówkojada, a na jego końcu spory nochal. Do tego małe rezolutne oczka.

WILK z pocztówki

Zanim stwierdzicie, że jestem bezduszną kreaturą, która nie chciała porzuconego psa, bo uroiła sobie posiadanie psa podobnego do wilka, muszę wam coś opowiedzieć. Będzie to historia tragedii, która przydarzyła się pewnej wilczej rodzinie. W maju 1993 roku robotnicy leśni trafili w Puszczy Białowieskiej na wilcze gniazdo. Nie wiem, czy było w norze, w zagłębieniu pod wykrotem, czy może pod gęstym świerkiem. Dzięki badaniom genetycznym możemy stwierdzić, że wilki z tego miotu były potomkami watahy z Puszczy Ladzkiej. To najbardziej wysunięty na północny zachód cypel Puszczy Białowieskiej. Gniazdo musiało się znajdować w tej okolicy. Nie wiem, kim dokładnie byli ludzie, którzy odkryli szczenięta, ani ilu ich było. Wiem tylko, że prawdopodobnie mieli ze sobą rower. (Do tego, skąd to przypuszczenie, jeszcze dojdziemy). Jak znaleźli gniazdo? Myślę, że przypadkiem. Już dawno minęły czasy, gdy ludzie zwalczali wilki, wyszukiwali ich gniazda, po to żeby na nich zarobić. Władze dawno przestały wypłacać nagrody za zabite szczenięta.

NASZ BIAŁOWIESKI KAZAN był w pierwszej połowie lat 90. prawdziwą gwiazdą.

Ale ponad sto lat zachęcania do zwalczania wilków zrobiło swoje. Robotnicy leśni nie mieli żadnych oporów, żeby zabrać z gniazda kilkutygodniowe szczenięta. Nie ma pewności, ile dokładnie ich było. Zgodnie z lokalną plotką: sześć. Miałoby to sens, bo tyle liczy zwykle wilczy miot. Dwie samiczki zabito. Ludzie na wsi nie lubią suk. Często można usłyszeć, że są z nimi same kłopoty, bo ściągają inne psy, zachodzą w ciążę, a potem nie ma co zrobić ze szczeniętami. Jeden lub dwa młode wilczki padły. Może były słabsze albo złapały infekcję, co często zdarza się młodym dzikim zwierzętom wychowywanym przez człowieka. Zostały dwa lub trzy. Przez jakiś czas trzymano je w domu na obrzeżach Puszczy. Słyszałem, choć trudno mi w to uwierzyć, że wilczyca matka w poszukiwaniu swoich szczeniąt podchodziła pod to gospodarstwo. Potem, jak wieść niesie, sprzedano je na targu w Hajnówce. Te dwa wilczki, które przetrwały, to Kazan i Wiki. Tak

nazwali je ludzie, do których trafiły. Kazana poznałem jako pierwszego. I od niego zacznę tę opowieść.

Kazan był najsłynniejszym wilkiem w Polsce i jeśli chodzi o popularność, przebił nawet swojego imiennika, wilczo-psiego mieszańca z powieści Jamesa Curwooda o polskim tytule „Szara Wilczyca" (oryginalny tytuł książki to właśnie „Kazan"). Nasz białowieski Kazan był w pierwszej połowie lat 90. prawdziwą gwiazdą. Toczyła się wtedy w Polsce dyskusja nad objęciem wilków na terenie całego kraju całkowitą ochroną. Zanim w 1997 roku zapadła decyzja w tej sprawie, to właśnie Kazan był kimś w rodzaju ambasadora wilczej sprawy. Wystąpił w klasycznym już i bardzo pięknym filmie „Tętno pierwotnej Puszczy" Bożeny i Jana Walencików – w części opowiadającej o drapieżnikach. Odwiedzali go też z kamerą realizatorzy słynnego w tamtych latach programu telewizyjnego „Animals". Dziesiątki fotografów robiły mu zdjęcia. Podobiznę Kazana wciąż można znaleźć w książkach, folderach i na pocztówkach z Podlasia. Czasami Kazan występuje na nich jako całkiem dziki wilk, którego fotograf-tropiciel cudem sfotografował w dzikich ostępach Puszczy. Kiedy czytam takie opisy, uśmiecham się pod nosem, bo od Kazana czasami nie dało się opędzić. A jego charakterystycznej wesołej mordy nie da się pomylić z żadną inną wilczą ani psią gębą.

Na samym początku nic nie zapowiadało losu gwiazdy. Kazan miał stróżować na lisiej farmie. W tym celu jej właściciele kupili go najpewniej w maju na targu w Hajnówce. Ale nigdy nie został stróżem. Stał się ulubieńcem rodziny, do której trafił. Właściciele farmy bardzo pokochali tego dziwnego psa. Tak bardzo, że rozpuścili go jak furmański bicz. Nie dość, że Kazan jadł wspaniale, to jeszcze spał w łóżku z domownikami. Wszystkim się to podobało tak długo, jak długo był małym zabawnym wilczkiem. Kiedy jednak

pod koniec lata urósł i stał się wilczym młodzieńcem z wielką ochotą do rozrabiania, zaczepiania ludzi oraz kopania nor wszędzie, gdzie się dało, zaczęły się schody. Żadna, nawet najbardziej zakochana w zwierzaku rodzina nie wytrzymałaby tego. Nic dziwnego, że właściciele zaczęli szukać dla niego odpowiedniego miejsca. Choć perspektywa rozstania z Kazanem była dla nich bolesna, nie mieli wyjścia. Wilka oddano we wrześniu do Zakładu Badania Ssaków Polskiej Akademii Nauk w Białowieży, dziś Instytutu Biologii Ssaków. Zarówno właściciele, jak i naukowcy uznali, że to dla niego najlepsze miejsce. Były tam solidne klatki, w których mógł mieszkać, nie robiąc nikomu szkody. A przede wszystkim mało kto zna się na wilkach tak jak naukowcy z Białowieży.

To właśnie w Zakładzie Badania Ssaków w grudniu 1993 roku poznałem Kazana. A właściwie poznał nas Karol Zub, który został jego głównym opiekunem. Z Karolem przyjaźniliśmy się od roku. Był on wówczas pracownikiem technicznym w Zakładzie, ale każdy wiedział, że jego wiedza o przyrodzie jest olbrzymia. Z jego zdaniem liczyli się wszyscy utytułowani naukowcy. Pewnego zimowego dnia przyjechałem z Warszawy, gdzie wtedy jeszcze mieszkałem, żeby wybrać się z nimi na taki wilczy spacer. Najpierw miałem się, oczywiście, z wilkiem zapoznać. Co tu dużo gadać, ciekawość mieszała się ze strachem. Stanąć z oswojonym wilkiem, od którego nie dzieli mnie żadna krata – to jest przeżycie. A Kazan nie był już szczeniaczkiem. Widziałem go na zdjęciach, wielkością przypominał sporego owczarka niemieckiego i podobno zjadał przynajmniej 2 kilogramy surowego mięsa dziennie.

Minęliśmy z Karolem budynek Zakładu, taki długi barak, dalej ogródki pracowników, w których uprawiali oni cebulę i marchewkę, wreszcie stanęliśmy przed zardzewiałą furtką, za którą były klatki. –

Uważaj, bo będzie próbował wleźć ci na głowę – ostrzegł mnie Karol. Otworzył furtkę, potem klatkę. Wszystko potoczyło się bardzo szybko. Nagle coś wielkiego i szarego wystrzeliło z klatki, zawróciło, rozpędziło się i ani się obejrzałem, jak wielkie wilczysko skoczyło i ogromnymi łapami trzepnęło mnie w klatkę piersiową. Cios był potężny. Zachwiałem się na nogach i tylko cudem nie runąłem na ziemię. Nie był to koniec wystawiania mnie na próbę. Nie zdążyłem jeszcze wyjść z szoku po uderzeniu, gdy wilk stanął przy moim boku, a ja poczułem na dłoni jego wielkie i ostre zębiska. Trzymał ją spokojnie, ale bardzo stanowczo. Trzymał i patrzył mi w oczy swoimi brązowymi ślepiami, jakby chciał zapytać: „I co teraz, koleżko?". Moment, w którym wilk trzyma w paszczy twoją dłoń, nie jest może najlepszą okazją na zachwyty, ale będąc tak blisko Kazana, nie mogłem nie zauważyć, że był piękny. Jak z kreskówek o wilkach, w których te są zawsze dobrze zbudowane i mają wspaniałe, szare gęste futro. Od wilków z obrazków różniły go tylko całkowicie brązowe ślepia i uśmiech. Tak, uśmiech. Wilki na obrazkach mają zazwyczaj miny poważne, ewentualnie mistyczne, groźne albo niezłomne. Takie są nasze wyobrażenia o tych zwierzętach. Tymczasem Kazan był po prostu uśmiechnięty. Paszczę miał często rozdziawioną, a jej kąciki uniesione do góry. Oczywiście tego uśmiechu nie widziałem, gdy trzymał w zębach moją dłoń. Jeżeli już, to szelmowsko świeciły mu się oczka w oczekiwaniu na to, co zrobię, a raczej czego nie zrobię.

Wiedziałem, że Kazan mnie testuje i że właśnie przechodzę najważniejszą część sprawdzianu. Modliłem się w myślach, żeby tylko nie wpaść w panikę. Karol, który majstrował przy smyczy i obroży, jakby pochłaniały go wyłącznie przygotowania do spaceru, szeptał:

– Nie możesz mu teraz pokazać, że się boisz, bo wejdzie ci na głowę.

Mówił to tak, jakby nie chciał, żeby wilk usłyszał, jak mnie instruuje, albo żeby pomyślał, że spiskujemy przeciw niemu. Karol doskonale wiedział, że zwierzęta wyczuwają nasze intencje, i robił wszystko, żeby Kazan ich nie poznał.

– Złap go drugą ręką za kark – powiedział mi z miną, która dla Kazana miała oznaczać, że ma w nosie to, czy ten wielki wilk zaraz zmiażdży dłoń jego kolegi, czy nie. Czułem, jak zaczyna się ze mnie lać zimny pot. Łatwo powiedzieć: „Złap go za kark"! Ale to bydlę ma moją dłoń w paszczy i wystarczy, że ją ściśnie, a zostanie z niej krwawa, pozbawiona palców miazga. Zdążyłem zobaczyć dość pogruchotanych przez wilcze szczęki jelenich kości, żeby móc sobie wyobrazić, co Kazan może zrobić z czymś tak delikatnym jak ludzka dłoń. Wiedziałem jednak, że muszę się zmierzyć z tym wilkiem. Obróciłem się w jego stronę i wolną ręką złapałem za luźną skórę na karku. Musiałem nabrać jej w dłoń jak najwięcej, żeby wilk poczuł, że go trzymam. Chwyciłem więc, a dodatkowo jeszcze przycisnąłem zwierzę do ziemi. Kazan zareagował tak, jakbym wcisnął magiczny guzik. Natychmiast uwolnił moją dłoń, podkulił ogon i przewrócił się na plecy, pokazując brzuch. „Już nie jestem strasznym wilkiem, jestem uległym szczeniaczkiem" – spojrzał mi w oczy w taki sposób, jakby chciał powiedzieć te właśnie słowa. Puściłem go. I ukradkiem obejrzałem dłoń. Choć trzymał ją tymi swoimi ostrymi zębiskami, nie został nawet ślad.

We trójkę z Karolem i Kazanem ruszyliśmy na łąki przez ośnieżony park pełen wielkich drzew, zwany Parkiem Pałacowym (stał w nim kiedyś pałac cara). W parku zaczepkom nie było końca. Wilk ciągle starał się albo zajść mnie od tyłu i skoczyć na plecy, albo uderzyć z przodu. Dopiero na łąkach w pobliżu Białowieskiego

Parku Narodowego przestał się mną interesować. Rozpoczął polowanie na małe gryzonie, zapewne norniki. Był w tym zapamiętały. Nornik tylko z pozoru nie jest atrakcyjną ofiarą dla wilka. W tym niewielkim zwierzątku jest wszystko: od witamin po minerały. Próżno jednak będziecie szukali w wykazach wilczych ofiar norników albo myszy. Nie uwzględnia się ich, bo to tylko incydentalne ofiary, a także dlatego, że to ofiary trudno wykrywalne. Badania nad dietą drapieżników robi się głównie na podstawie ich odnalezionych ofiar oraz włosów wyciągniętych z ich odchodów. Tymczasem nornik, a tym bardziej jego resztki, to coś tak małego, że właściwie nie da się tego wykryć. Myślę, że to, co z nich zostaje, ginie w masie włosia innych, o wiele większych zwierząt, takich jak jelenie lub – rzadziej – dziki.

BĘDĄC TAK BLISKO KAZANA, nie mogłem nie zauważyć, że był piękny. Jak z kreskówek o wilkach, w których te są zawsze dobrze zbudowane i mają

wspaniałe szare, gęste futro.

Kazan polował tak, jak robią to lisy. Najpierw wytrwale węszył z nosem w śniegu, po czym wykonywał skok na wyprostowanych nogach – jak na sprężynach – żeby spaść tam, gdzie spodziewał się nornika. Norników, niestety, nie udało mu się złapać. Znalazł za to pod śniegiem wielką kość. Może należała do jakiegoś padłego albo zabitego przez wilki jelenia, którego szczątki po łąkach rozwlekły lisy? Wystarczyła sekunda, żeby potężny gnat złamał się z trzaskiem w mocarnych szczękach Kazana, a mnie na myśl o mojej dłoni, która godzinę wcześniej znajdowała się pomiędzy jego zębiskami, zrobiło się nieswojo.

Po kilku wycieczkach w towarzystwie Karola i Kazana zapadła decyzja, że na spacer z wilkiem mogę iść sam. Znałem już trochę wilczy język, wiedziałem, że niewiele w nim odgłosów, a dużo mowy ciała. Podkulony ogon to uległość. Machanie końcem kity i położone uszy to zadowolenie. Kazan skomlał tylko czasami. Gdyby warknął i zjeżył sierść, musiałbym się pilnować, bo to oznaczałoby atak. Wychodząc z nim bez Karola, miałem trochę stracha. Nie chodziło tylko o mnie – po pierwszej lekcji wiedziałem, jak nie dać mu się zdominować. Bałem się o innych. Kazan zaczepiał prawie każdego, kogo napotkał po drodze. A jeśli ten ktoś nieopatrznie szedł przez park z torbą, która na dodatek była szeleszczącą plastikową reklamówką, to w Kazana wstępował demon. Za wszelką cenę musiał taką torbę mieć. A raczej rozerwać ją na strzępy, żeby się przekonać się, że nie ma w niej niczego ciekawego. Reklamówki (jak się wtedy mówiło) interesowały Kazana, bo Karol właśnie w takich torbach przynosił mu smakołyki. Nie tylko mięso, ale też biały ser. Dlatego gdy tylko widziałem podczas spaceru, że ktoś się do nas zbliża, natychmiast zakładałem Kazanowi kolczatkę. Zapierałem się przy tym nogami z całych sił

i modliłem, żeby wilkowi nie udało się mnie wywrócić, dopóki właściciel torby nie zniknie za drzewami.

Po wyjściu z parku na łąki można było na chwilę odetchnąć z ulgą. Tu raczej nikt się nie włóczył. Kazan mógł ewentualnie pognać za jeleniem, ale te rzadko pojawiały się za dnia. Zimą nie było ani koni, ani krów, które, jak opowiadał mi Karol, nasz wilk uwielbiał zaczepiać. A że z nudów kogoś zaczepiać musiał, padało na tego, kto wyprowadzał go na spacer, czyli mnie. Zabawa polegała na tym, że podkradał się do mnie, a ja udawałem, że tego nie widzę. Nagle ku mojemu rzekomemu zdziwieniu zrywał się i pędem ruszał w moim kierunku. Jeżeli udawało mi się odwrócić i uderzyć go ręką – wygrywałem ja. Jeżeli Kazan zdołał wcześniej dopaść moją nogę lub rękę – wygrywał on. Jego zwycięstwo było szczególnie nieprzyjemne, gdy chwytał nogę, bo wystarczyło wtedy, żeby naparł na nią barkiem, i już lądowałem na śniegu. A wtedy czekała mnie obowiązkowa walka polegająca na tarzaniu się w śniegu. Uf, z takiego spaceru zawsze wracałem wykończony. Zabawa ze mną była dla Kazana nie tylko treningiem, ale też ciągle i na nowo powtarzanym sprawdzianem tego, który z nas stoi wyżej w hierarchii watahy. Kazan musiał spróbować się ze mną, z Karolem i z każdym, kto pojawiał się w jego towarzystwie.

KAROL LEDWO ZDOŁAŁ ZAPANOWAĆ nad wilkiem, który chciał się koniecznie z żubrami pobawić.

Wytarmosił i sponiewierał na przykład naszą koleżankę Joannę Łęską, która przyjechała nakręcić o nim program dla telewizji. Było nam jej naprawdę szkoda. Kazan nie bał się nawet żubrów. Karol opowiadał mi, że kiedyś na leśnym spacerze nasz wilk natrafił na stado z młodymi. Ruszył do nich, a żubry zareagowały tak, jak powinny zareagować na widok wilka: młode natychmiast znalazły się w środku stada, którego czoło najeżone rogami zwierząt ruszyło na Kazana. Karol ledwo zdołał zapanować nad wilkiem, który chciał się koniecznie z żubrami pobawić. Tym razem dał się przekonać, ale zdarzało mu się wściekać, gdy nie mógł postawić na swoim. Pamiętam, gdy kiedyś wyszliśmy na spacer z Kazanem. Było z nami dwóch Holendrów, którzy po półgodzinie postanowili wrócić do Białowieży i udać się do knajpy. Na nieszczęście Kazan zapragnął im towarzyszyć. A przecież nie można było dopuścić do wizyty nawet oswojonego wilka w lokalu gastronomicznym pełnym ludzi. Kazan chciałby się pewnie zaprzyjaźnić z każdym

gościem, a z niektórymi nawet powalczyć o miejsce w hierarchii stada. Karol wziął więc Kazana na smycz, a wtedy wilk oszalał z wściekłości. Zmarszczył pysk, pokazał zęby i zaczął warczeć, co w przypadku wilka stanowi o wiele poważniejsze ostrzeżenie niż u psa. Spanikowałem, przyznaję. A Karol usiadł tuż przed błyskającym ostrymi zębami pyskiem i zaczął cichutko przemawiać. Nie wiem, co mu mówił, ale Kazan po chwili się uspokoił.

Spacery były wspaniałe, ale ich koniec zawsze był kłopotliwy. Wilk bardzo szybko zrozumiał, że zabawy i spacer mogą potrwać góra parę godzin dziennie. Resztę doby musiał spędzić sam w klatce. Dziś myślę, że nie chodziło mu nawet o zwykłą nudę. Po prostu dla zwierzęcia stadnego albo, jak kto woli, rodzinnego samotność musiała być prawdziwą udręką. To dlatego Kazan szalał z radości, gdy widział, że do jego klatki zbliża się ktoś, kto zabierze go na pola. I dlatego robił wszystko, żeby po powrocie ze spaceru nie dać się zamknąć. Jedynym sposobem było zwabienie go do klatki za pomocą kawałka mięcha. Niestety, kiedy był nakarmiony, nawet to nie pomagało. Czasami Karol musiał się z nim długo bawić w ciuciubabkę, zanim udało mu się zaprowadzić go do „domu". Niedawno opowiadał mi, że bywał załamany, gdy po trwającym kilka godzin spacerze musiał kolejne dwie spędzać na wymyślaniu trików, które miały pomóc zamknąć Kazana. Najlepszym sposobem było umówienie się na powrót o określonej godzinie z kimś, kto mógłby stać przy klatce ze smakołykiem. Karol przed otwartą klatką spuszczał wilka ze smyczy, a jego pomocnik, który stał tuż obok, wrzucał jedzenie do środka i momentalnie zamykał drzwi. Jeżeli spóźnił się choć o kilka sekund, Kazan w mgnieniu oka wypadał ze zdobyczą w pysku na zewnątrz. Wkrótce jednak samotność Kazana miała się skończyć. Na szczęście nie tylko dla niego.

Wszyscy w Zakładzie wiedzieli z lokalnych opowieści, że oprócz Kazana jest gdzieś niedaleko jeszcze jeden wilk w prywatnych rękach. Podobno na osiedlu pracowników leśnych na obrzeżach Hajnówki ktoś trzymał wilka zabranego z tego samego wilczego gniazda co Kazan, jego brata. Wybrałem się tam z przyjaciółmi. Osiedle białych murowanych domów zbudowanych za PRL-u, mieszczących po kilka mieszkań każdy, w niczym nie przypominało drewnianej architektury Białowieży. Kojarzyło mi się raczej z PGR-em. Nie miałem pojęcia, jak znajdę wilka. Poszło mi łatwiej, niż sądziłem.

– Wilk? Tak, jest tu – poinformowali mnie zagadnięci sąsiedzi właściciela. – Trzymają go uwiązanego pod domem albo zamykają w piwnicy.

Kiedy podeszliśmy pod wskazany budynek, obok nas, nie wiadomo skąd, pojawił się facet z wilkiem w kolczatce prowadzonym na stalowej lince. Może, jak to bywa w małych społecznościach, ktoś zdążył mu donieść, że go szukamy?

Tak poznałem Wikiego. Był całkowitym przeciwieństwem swojego brata. Różnice, wynikały, jak sądzę, nie tylko z predyspozycji genetycznych, ale też z tego, w jakich warunkach żył. Wiki był mniejszy, bardzo chudy. Podczas gdy Kazan ze swoim gęstym futrem i napakowanymi mięśniami wyglądał nawet nieco miśkowato, to Wiki był „smutnowilczy". Skóra i kości. Jakby tego było mało, całą szyję, w miejscu gdzie u Kazana rosło najgęściejsze futro, miał wytartą niemal do gołej skóry. Był to ślad po walce, jaką musiał toczyć z ciasną kolczatką na stalowej lince, do której był całymi dniami przywiązany. Kiedy go zobaczyłem, już nie walczył. Był zrezygnowany. Owszem, domagał się pieszczot, ale nie w tak żywiołowy, natarczywy sposób jak Kazan. Wiki od razu pokazywał, że jest uległy. Przy tym nerwowo skowyczał.

– Chudy jest, bo chorował. Mam z nim kłopoty, urwał się i zabił psa sąsiadów. Zjadł go do połowy – narzekał właściciel wilka, mężczyzna w wieku nieokreślonym, ubrany we wzorzysty turecki sweter. Przywiązał zwierzę do słupka i zaprosił nas do domu.

W małym mieszkanku obitym drewnianą boazerią, wyłożonym wykładziną PCV i obstawionym peerelowskimi meblościankami próbowaliśmy urobić gościa, żeby oddał Wikiego do Zakładu. Tłumaczyliśmy mu, że gdy wilki będą razem, będzie im raźniej. Prowadziliśmy z nim rodzaj gry. Musieliśmy to robić bardzo delikatnie. Nie mogliśmy naciskać. I choć wiedzieliśmy, że trzymanie wilka jest nielegalne i że możemy zgłosić gościa na policję albo do nadleśnictwa, nie chcieliśmy sięgać po ostateczne argumenty. Zanim policja zdążyłaby zadziałać, wilk mógłby zostać wywieziony, wypuszczony do lasu, gdzie z pewnością nie dałby sobie rady, lub po prostu zabity. Biorąc pod uwagę stan, w jakim był Wiki, po jego właścicielu można się było spodziewać wszystkiego. Może dałoby się go przekonać za pomocą pieniędzy. Ale byliśmy biedni jak myszy kościelne, a poza tym dla zasady nie chcieliśmy odkupywać nielegalnie trzymanego zwierzęcia. Wychodząc z tego mieszkania, byłem przekonany, że nasze wysiłki nic nie dały i Wiki spędzi resztę swojego życia na stalowej lince albo – gdy stanie się kłopotliwy – po prostu zniknie. Stało się inaczej.

Pewnego dnia, gdy już wróciłem do Warszawy, zadzwonił Karol.

– Mamy Wikiego! – powiedział uradowany.

– Jak to macie? Ten facet go przywiózł? – zapytałem zdumiony.

– Nie. To znaczy, nie wiadomo, jak to się stało, ale go mamy – usłyszałem. I Karol opowiedział mi przedziwną historię. Pewnej mroźnej zimowej nocy, tuż przed świtem, doktora Zbigniewa Krasińskiego, wówczas głównego specjalistę zajmującego się

żubrami w Białowieskim Parku Narodowym, obudziło walenie w okno. Państwo Krasińscy mieszkali wtedy w pięknym domu z czasów carskich znajdującym się w parku pałacowym. Dom był parterowy, a tuż obok okna, niezbyt wysoko, wisiał karmnik dla ptaków. I ten właśnie karmnik co chwila uderzał w szybę. Zupełnie nie wiadomo dlaczego. Był to początek serii niespodzianek. Zbigniew Krasiński musiał przecierać oczy ze zdumienia, gdy zobaczył, kto ten karmnik wprawia w ruch. Otóż uderzał w niego łapami najprawdziwszy wilk, który usiłował się dobrać do wiszącej nad karmnikiem słoniny dla sikorek. Wilk musiał być bardzo głodny, skoro z taką determinacją próbował zdobyć ten maleńki kąsek. „Biedny głodny Kazan" – pomyślał pan Krasiński, który jest wielkim miłośnikiem i przyjacielem zwierząt.

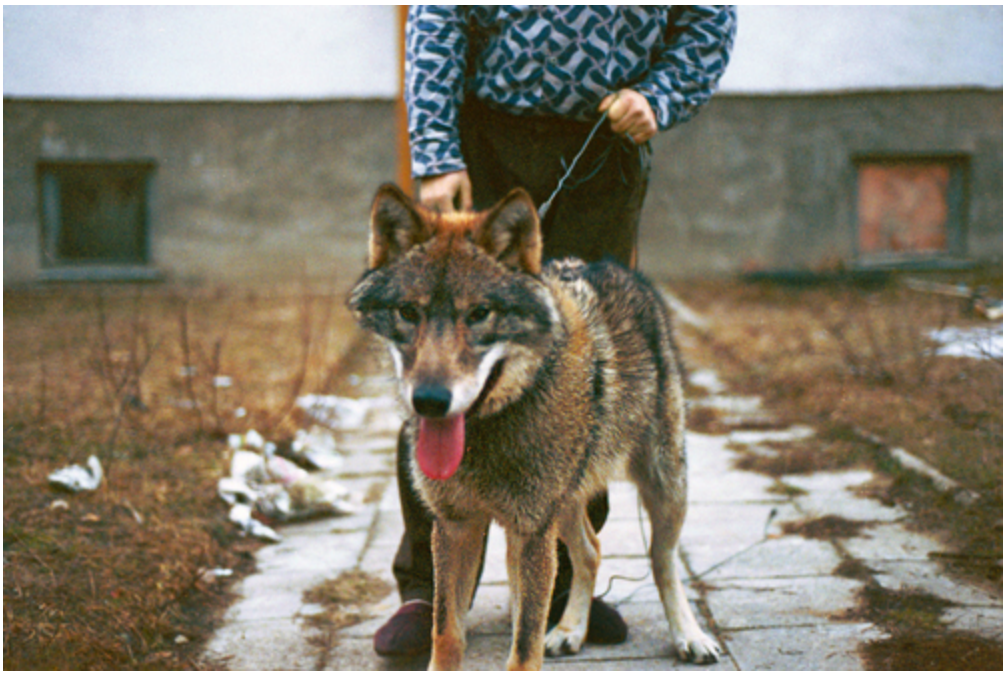

KIEDY PODESZLIŚMY POD WSKAZANY BUDYNEK, obok nas, nie wiadomo skąd, pojawił się facet z wilkiem w kolczatce prowadzonym na stalowej lince.

(Kiedy go ostatnio spotkałem na skraju Białowieży, wiózł swym „maluchem" jajko, żeby zostawić je na drodze pewnemu

zaprzyjaźnionemu borsukowi). Nie miał wątpliwości, że to Kazan. Jaki inny wilk mógł się dobierać do słoniny w Białowieży, niedaleko Zakładu Badania Ssaków? Przecież nie żaden dziki, bo te boją się ludzi. Panu Krasińskiemu zrobiło się tak szkoda głodnego zwierzaka, że chwycił stojącą na stole salaterkę z galaretką z nóżek domowej roboty i wybiegł go nakarmić. Wilk rzucił się na nią z takim apetytem, że pobił miskę, a galaretkę pochłonął w mgnieniu oka. Kiedy po smakołyku nie było już śladu, Zbigniew Krasiński zadzwonił do Karola. Co prawda była niedziela i głupio budzić ludzi o tak wczesnej porze, ale przecież nie można pozwolić, żeby głodny Kazan włóczył się sam po Białowieży. Po kilkunastu minutach Karol oddzwonił. Kazan nigdzie nie uciekł. Siedział w klatce w Zakładzie. W takim razie co to za wilk zjadł właśnie galaretkę z nóżek produkcji pani Krasińskiej i próbował dobrać się do słoniny? Sprawa się wyjaśniła, gdy na miejsce przybyła ekipa z Zakładu. Wytarta szyja nie pozostawiła żadnych wątpliwości. Mieli przed sobą Wikiego.

Zastanawialiśmy się, jak Wiki znalazł się w Białowieży. Raczej nie uciekł, nie urwał się ze stalowej linki i nie przeszedł około 20 kilometrów przez las, jaki dzieli Hajnówkę od Białowieży. Sam w lesie na pewno by kluczył, może pognałby za jakimś jeleniem albo napotkanym wilczym tropem. Kto wie, jak potraktowałyby go inne wilki, był przecież obcy. Raczej niemożliwe, żeby przeszedł jak po sznurku te 20 kilometrów i na koniec trafił prosto do Białowieży obok Zakładu Badania Ssaków, gdzie mieszkał jego brat. Już prędzej jego właściciel, nękany kolejnymi wizytami i pytaniami o wilka, wsadził go do samochodu, przywiózł do Białowieży i porzucił pod bramą Zakładu. A Wiki ruszył na poszukiwanie czegoś do zjedzenia i tak trafił na słoninę wywieszoną dla sikorek przez Zbigniewa Krasińskiego.

Wikiego bez trudu udało się zaprowadzić do klatki na tyłach Zakładu. Zamieszkał tuż obok Kazana. Wilków nie można było od razu zostawić razem. Nie wiadomo, jak by na siebie zareagowały. Kazan był tu zadomowiony i pewny siebie. Wiki wręcz przeciwnie.

Na szczęście szybko okazało się, że Wiki i Kazan świetnie się ze sobą dogadują. Już po kilku dniach bawiły się razem. A ja po paru tygodniach mogłem siedzieć z nimi w zagrodzie. Obserwowałem ich relacje, a dokładnie to, jak Kazan stara się wyprowadzić z równowagi Wikiego. Z ulgą przyjąłem, że przestałem być dla Kazana kimś, z kim warto zadzierać. Wywalczyłem sobie, przynajmniej na jakiś czas, wyższą pozycję w naszym ludzko-wilczym stadzie. Odkąd pojawił się Wiki, to z nim należało zagrać o wyższe miejsce w hierarchii, a raczej pokazać mu, że się jest ponad nim. Wiki kombinował podobnie. Być może próbowałby się i ze mną, ale najpierw musiał pokonać Kazana. Zresztą wyglądało na to, że traktuje sprawę o wiele poważniej niż jego brat. Podczas zabawy i gonitwy po polach ich rywalizacja nie wyglądała groźnie. Ale kiedy w zagrodzie Wiki wygrzebał wielką kość, położył się z nią na uboczu, gdzie powoli miażdżył ją w swych wilczych szczękach, Kazan od razu to przyuważył. Najpierw skradał się powolutku od tyłu. Trącał Wikiego łapą. Kilka takich szturchnięć wystarczyło, żeby Wiki się zorientował, że będzie musiał bronić kości. Najpierw przeciągle, gardłowo warknął. Może myślał, że to wystarczy? Może Kazan się przestraszy? Wilki przecież takie dźwięki wydają dopiero wtedy, gdy są naprawdę wkurzone. Kazan nie ustępował. Zaszedł przeciwnika z przodu i stanął przed jego pyskiem. To był już szczyt bezczelności! Zdenerwowanie Wikiego sięgnęło zenitu. Zjeżył sierść i pokazał kły. Na razie na sekundę. U wilków, podobnie jak u psów, to wyraźne i bardzo poważne

ostrzeżenie: uważaj, będę atakował i gryzł. Kazan na to nie zważał. Zupełny luz i nonszalancja. Nie jeżył sierści, nie pokazywał zębów. Tylko stał i gapił się na kość. No tak, ktoś większy i silniejszy może sobie pozwolić na więcej. Wyglądało, że dla niego to tylko zabawa.

NA SZCZĘŚCIE SZYBKO SIĘ OKAZAŁO, że Wiki i Kazan świetnie się ze sobą dogadują.

Wiki za to traktował sprawę śmiertelnie poważnie. Z każdą sekundą jego warczenie stawało się coraz groźniejsze, a kły, które na początku pokazywał tylko na chwilę, teraz lśniły w słońcu w całej okazałości. Miałem wrażenie, że zaraz rzuci się Kazanowi do gardła. Ale to Kazan zaatakował. Śmignął w jego kierunku i po chwil podrzucił Wikiego do góry – tak, że ten na moment stracił kontrolę nad kością. Kazan natychmiast ją chwycił i rzucił się do ucieczki. Ale musiał ją złapać niedbale, bo po kilku sekundach wypuścił ją z pyska. Gnającego za nim Wikiego kość już nie obchodziła. Musiał odegrać się na Kazanie. Dopadł go i zacisnął szczęki na jego karku, a raczej na fałdach skóry i futra, jakie Kazan i inne wilki mają w tym miejscu. Moje przepychanki z Kazanem nauczyły mnie, że wilk to stalowy szkielet i mięśnie posiadające potworną siłę, ubrane w nieco za luźną skórę. Złapany za kark Kazan potrafił się tak wykręcić, że łapał mnie zębami za rękę. Jakby chciał pokazać, że choć ja go mam, to on mnie też. Wtedy najlepiej było chwycić go drugą ręką, tak żeby pokazać, że to jednak ja mam przewagę i kontrolę. Wiki nie mógł tak zrobić, zresztą Kazan uderzeniem swojego ciała znów zbił go z nóg. Ponownie to on był górą, a Wiki musiał uciekać. Walka braci to był niesamowity spektakl, bo choć kły błyskały, od warczenia trzęsło się w powietrzu, a każdy chwyt mocarnymi szczękami zapowiadał uduszenie przeciwnika, to jednak nikomu nie działa się krzywda. Na śnieg nie spadała ani jedna kropla wilczej krwi, ba! – żadnemu z braci nie spadł włos z głowy ani żadnej innej części ciała. Zabawa mogłaby trwać bez końca, gdyby przez siatkę nie wskoczył do klatki student leśnictwa z Holandii, który odbywał w Białowieży praktykę.

– Mam czyste spodnie – powiedział, jakby chciał poinformować o tym wilki. Ale stan portek Holendra zupełnie wilków nie obchodził. W stadzie pojawił się nowy, któremu trzeba pokazać, gdzie jego miejsce. Na widok gościa natychmiast przerwały swoją wyglądającą jak walka grę i rzuciły się na chłopaka. Kazan chwycił go za nogę, a Wiki skoczył mu na plecy. Holender przestraszył się nie na żarty i z moją pomocą zdołał zwiać z klatki. Oczywiście w brudnych spodniach.

Następnego dnia mieliśmy ruszyć z wilkami na niezwykły spacer, na który szykowała się duża grupa pracowników Zakładu i kilku znanych fotografów przyrody. Zapowiadało się tym ciekawiej, że na trasie naszej wędrówki znaleziono zabitą przez dzikie wilki łanię. Była nienaruszona – ktoś zapewne spłoszył drapieżniki. Byliśmy przekonani, że Wiki i Kazan spałaszują ją naszych oczach, co będzie wyglądało niesamowicie wśród wielkich drzew i topniejącego śniegu. Każdy właściciel aparatu liczył na niesamowite ujęcia, bo przecież wilki jedzące jelenia to jest coś. Szliśmy przez pola z Karolem; Kazan i Wiki a to oddalały się od nas, a to podbiegały – po to tylko, żeby otrzeć się w biegu o nasze nogi. Takie otarcie, a nawet uderzenie to sygnał, że są obok i pilnują się nas. Nas, czyli swojej watahy. Trudno opisać, jak wspaniałe to przeżycie: idziesz, a przed tobą, a czasami obok ciebie gnają wilki. One są twoim stadem, a ty ich. (Wtedy jeszcze wydawało mi się, że spacer z wilkami to coś o wiele bardziej szlachetnego niż spacer z psami). Kiedy wilki biegły, bawiły się albo gruchotały kości wołowe, widać było, jakimi są idealnymi stworzeniami.

ZABAWA BYŁA DLA WILKÓW nie tylko treningiem, ale też ciągle i na nowo powtarzanym sprawdzaniem tego, kto stoi wyżej w hierarchii watahy.

Nie było w nich niczego zbędnego ani pokracznego, jak to czasem bywa w przypadku niektórych psów. Każdy detal wyglądu czy zachowania miał swój sens, każdy idealnie pasował do całości. Nawet szarobura sierść perfekcyjnie zlewała się z suchymi trawami na łąkach i szarymi pniami drzew w Puszczy.

Gdy doszliśmy wreszcie do łani, wszystkich nas, szczególnie tych z aparatami i kamerami, czekał zawód. Wilki znalazły zwierzę bardzo szybko. Ale nie zapałały do niego entuzjazmem. Owszem, Wiki ją trochę poszarpał, a Kazan ledwie ją obwąchał i pobiegł do lasu się bawić. Karol machnął tylko ręką. Były za bardzo najedzone, żeby rozszarpywać martwe zwierzę.

Tak wyglądał jeden z ostatnich spacerów z Kazanem i Wikim. Na początku lata 1994 roku oba wilki zostały przeniesione do większej klatki w prowadzonym przez Białowieski Park Narodowy rezerwacie pokazowym.

WIKI TROCHĘ POSZARPAŁ ŁANIĘ, a Kazan ledwie ją obwąchał i pobiegł do lasu się bawić.

Miały w nich dożyć swoich dni. Jednak bardzo szybko, bo po paru tygodniach, park przekazał Wikiego do zoo w Białymstoku. Prawdopodobnie któryś z parkowych urzędników zadecydował, że dwie wilcze paszcze do wykarmienia to za dużo. Może ktoś obawiał się, że wilki będą ze sobą walczyć? Trudno powiedzieć, bo dziś mało kto chce mówić o tym, dlaczego przekazano Wikiego do miejsca, które odbiegało od wszelkich standardów. Warunki panowały tam fatalne. Trudno było je nazwać ogrodem zoologicznym, a mieszkańcy miasta mówili na nie swojsko „zwierzyniec". Wiki został skazany na straszliwie ciasną klatkę. Na szczęście pobył tam niecałe dwa lata. Zabrali go miłośnicy wilków. Trafił do wilczego parku w Stobnicy należącego do Akademii Rolniczej w Poznaniu, gdzie zamieszkał w przestronnej klatce. Kazan miał lepiej, ale tylko z pozoru. Najpierw obszerna

klatka była tylko do jego dyspozycji. Potem WWF (World Wide Fund for Nature – międzynarodowa organizacja ekologiczna) oraz miłośnicy wilków z zachodniej Europy, głownie z Holandii, zafundowali mu wielką zagrodę. Przez jakiś czas można było z nim jeszcze wychodzić poza rezerwat. Na ostatni spacer poszliśmy jesienią 1994 roku. Kazan był już wtedy wielki i coraz częściej zdarzało mu się warczeć na starych znajomych. Dlatego na wycieczkę oprócz torby pełnej pysznych gnatów, za pomocą których mieliśmy zamiar razem z Karolem go ułagodzić, wzięliśmy też rower. W Kazanie kipiała zazwyczaj nieokiełznana dzika energia. Nie bał się niczego, co pojawiało się na jego drodze. Poza rowerem. Rower był jedynym przedmiotem, a raczej jedyną istotą, której Kazan się bał. Piszę „istotą", bo na widok pojazdu zachowywał się tak, jakby widział potwora. Gdy rower pojawiał się w pobliżu, natychmiast cofał się i ustawiał tak, żeby to dziwne dwukołowe zwierzę mieć zawsze na oku. Nie warczał na niego. Nigdy nie próbował z nim walczyć o dominację. Gdy rower stał obok, po prostu się do niego nie zbliżał. Trzymał niewielki, ale zawsze dystans. Opiekunowie Kazana bardzo szybko zauważyli jego reakcję na rower. W tamtych czasach wszyscy w Białowieży jeździli na dwóch kółkach. Był to najpopularniejszy środek transportu do pracy i z pracy – do lasu i z lasu. Mało kto miał taki z przerzutkami. Na białowieskich ulicach pełno było najprostszych – składających się z ramy, pedałów, kół, kierownicy i bardzo niewygodnego siodełka, ciężkich jak cholera rowerów Ukraina. Na którymś ze spacerów z wilkami, jak zwykle, ganialiśmy się po łąkach, gdy nagle z lasu wyjechali naukowcy. Oczywiście na rowerach. Jednym z nich był Henryk Okarma. (Ten, który ściągnął do Białowieży Nurię). Henryk zawołał Kazana, a wilk, słysząc, znajomy głos, ruszył pędem w jego kierunku. Ale gdy tylko

zobaczył, że oprócz Henryka jest też rower, zahamował tak gwałtownie, że pyskiem zarył w śniegu. Rower poza tym, że można było na nim jeździć, był więc w przypadku Kazana bardzo użyteczny jako jedyne skuteczne narzędzie do wywierania presji. Dlatego na spacer często chodziliśmy z rowerem. Kazan nie uciekał od niego, ale unikał bliskiego kontaktu. Zwykle więc jedna osoba prowadziła rower, a druga Kazana. Gdy wilk chciał kogoś zaczepić, to zasłaniało się go rowerem albo prosiło, żeby stanął obok pojazdu, i było po kłopocie. Próbowaliśmy z Karolem dociec, skąd u niego ta rowerowa fobia. Jedyna sensowna odpowiedź, jaka przyszła nam do głowy, to to, że w dzieciństwie musiało mu się przydarzyć coś wyjątkowo nieprzyjemnego, co miało związek z rowerem właśnie. Może szczeniaki wybrane z gniazda trafiły na rower i to na nim wyjechały z lasu? To bardzo prawdopodobne, ale skoro tak, dlaczego Wiki nie bał się rowerów? Może Kazan był wtedy lepiej rozwinięty, a może zobaczył coś, czego jego brat nie dostrzegł?

A wracając do spaceru, torbę z gnatami powiesiliśmy na kierownicy roweru i ruszyliśmy z Kazanem do lasu. Zatrzymaliśmy się na polance przy wielkich dębach. Rower oparliśmy o świerk, na którego złamanej gałązce zawisła torba z gnatami. Nareszcie mogliśmy się pobawić. Miałem trochę pietra, bo Kazan coraz mocniej łapał za nogi. Ściskał tak, że wyraźnie czuć było jego ostre zęby. Zupełnie nie przypominało to delikatności, z jaką chwycił moją rękę podczas naszego pierwszego spotkania. – Już niedługo nie będzie można z nim chodzić na spacery – stwierdził smutno Karol. Wiedzieliśmy, że oswojone wilki albo uciekają od swoich właścicieli, gdy zaczynają dojrzewać, albo dochodzi do krwawej walki o dominację. W jednym i drugim przypadku kończy się to źle: ranami właściciela, śmiercią zwierzęcia,

ewentualnie złamaniem go fizycznie i psychicznie. (Takiego złamanego i pognębionego wilka widziałem na Białorusi). Być może zdarzają się wilcze wyjątki ze specjalnymi cechami charakteru, które dają się oswoić na dłużej. Muszą się zdarzać, a raczej musiały, bo przecież dawno temu nasi przodkowie jakoś oswoili wilki i za pomocą nieubłaganej ludzkiej selekcji zrobili z nich psy. Niektórym do dziś udaje się trzymać udomowione mieszańce wilków z psami – wymaga to jednak od opiekuna zwierząt wyjątkowego rozsądku.

Kazan nie był jednak ani jednym z niewielu wilków o specjalnych cechach, ani mieszańcem. Był najprawdziwszym wilkiem i zachowywał się po wilczemu. Pokazywał, że już nie tylko nas testuje, ale że po prostu chce z nami na serio walczyć o pozycję w stadzie. Spacery musiały się skończyć. Inaczej mogło się okazać, że nawet rower mógłby nam nie pomóc.

Po tych spacerach z Kazanem, które były mistycznym przeżyciem, nabrałem pewności co do jednej rzeczy. Nie wyobrażałem sobie, że mógłbym mieć psa, który nie przypominałby wilka. Każdy pies bez cech wilczych, takich jak przywiązanie do wolności, twardy charakter, a nawet sposób biegania, wydawał mi się marną podróbką, na którą nawet nie warto było zerkać.

Kilka miesięcy później doszło do bardzo niebezpiecznej sytuacji. W dziwnych i niewyjaśnionych okolicznościach ktoś Kazana uwolnił z klatki. Pojawiła się plotka, że chciano go ukraść, ale złodziejom nie wyszło. I tak wilk znalazł się w Hajnówce, mieście oddalonym od Białowieży o 20 kilometrów, gdzie bez skutku próbowali go schwytać policjanci. Potem wilk, idąc z powrotem w stronę Białowieży, zawędrował do jednostki wojskowej znajdującej się na zachodnich rubieżach Puszczy. Jakiś przytomny oficer zwabił go do wartowniczego składziku i szybko zadzwonił

po pomoc do Białowieskiego Parku Narodowego. Zanim odsiecz nadjechała, Kazan oczywiście zdemolował całe pomieszczenie. Tym razem nie dało się go po prostu wyprowadzić w kolczatce i na smyczy. Musiał dostać zastrzyk usypiający wystrzelony z broni pneumatycznej – jakby był dzikim zwierzęciem. Dopiero wtedy można go było przetransportować do klatki w rezerwacie. Innym razem trzeba było mu podać lekarstwo do oczu, w które wdała się infekcja. Nie uśpił go ani pierwszy, ani drugi wystrzelony zastrzyk. Położył się dopiero po trzecim. Ale kiedy lekarz weterynarii z pracownikiem rezerwatu weszli do zagrody, Kazan nagle się obudził i ruszył na nich. Lekarzowi udało się szybko uciec za furtkę, ale pracownik nie zdążył. Próbował zwiać przed Kazanem, biegając slalomem po zagrodzie. W końcu zdesperowany skoczył na ogrodzenie, ale zdołał się wdrapać tylko do połowy, gdy wilk chwycił go za udo. Nie rozerwał mu go tylko dlatego, że był odurzony i nie był w stanie zacisnąć szczęk.

Kazan w olbrzymiej zagrodzie, którą dostał w prezencie od swych fanów, był straszliwie samotny. Nie pomogło to, że przywieziono mu do towarzystwa suczkę, która była podobno wilkiem odnalezionym w Holandii, a tak naprawdę jakimś wilczo-psim mieszańcem.

KAZAN NIE BAŁ SIĘ NICZEGO, co pojawiało się na jego drodze. Poza rowerem.

Szybko się okazało, że rzekoma wilczyca źle się czuje bez towarzystwa ludzi i rola wilka niezbyt jej pasuje. Kazanowi też zresztą brakowało ludzi, a dokładnie tych, których uznawał za swoje stado. Całymi dniami mógł leżeć z dala od siatki, kryjąc się przed oczyma zwiedzających, ale gdy tylko widział któregoś ze swoich opiekunów, czyli Włodka Jędrzejewskiego, Henryka Okarmę, Staszka Śnieżko, Rafała Kowalczyka, a w szczególności Karola Zuba, podbiegał do siatki. I albo skomlał tęsknie, przyciskając bok do siatki, żeby go przez nią podrapać, albo marszczył pysk i podnosząc wargi, ukazywał swoje zębiska i agresywnie warczał. Czasami te reakcje się mieszały i najpierw był słodki, po to tylko, by po chwili zamienić się w potwora. Zawsze jednak, gdy spotkanie dobiegało końca i któryś z jego opiekunów – członków stada – się oddalał, Kazan przeciągle wył. Jakby nie rozumiał, że żaden z jego dawnych towarzyszy nie jest w stanie zaakceptować wilczych reguł gry.

– Wizyty u niego były tak bolesne i dla mnie, i dla Kazana, że po pewnym czasie przestałem tam chodzić – wyznał mi niedawno Karol. Doskonale go rozumiałem. Moje wizyty u Kazana też kończyły się tym, że odprowadzało mnie jego smutne przeciągłe wycie. Nie tylko dlatego coraz trudniej było mi go odwiedzać. Odkąd nasz dom stał się zwierzęcym szpitalem, do którego trafiały osierocone kuny, wydry, bociany albo sowy, przybyło mi zajęć. Poza tym pochłaniało nas przemierzanie lasu w poszukiwaniu wilczych ofiar, które badała Nuria.

Wiadomość o śmierci Kazana nadeszła w lipcu 2001 roku. Wieczorem spotkaliśmy się na piwie z przyrodnikiem Felkiem Felgerem. Opowiadał wstrząśnięty, że właśnie był w rezerwacie pokazowym i że znalazł tam Kazana, który leżał tuż przy siatce swojej zagrody, miał wymięte mokre futro i wyglądał na mocno poturbowanego. Nos wcisnął w oczko siatki, tak jakby prosił o pomoc. Felek pognał co sił do budki, w której siedział pilnujący rezerwatu pracownik, ale usłyszał od niego, że on nic nie zrobi, bo to nie jego sprawa i nie ma do tego kompetencji. Następnego dnia Kazan już nie żył. Później od pewnego turysty, który przyszedł do nas do domu w Teremiskach, usłyszałem, że Kazan dogorywał cały dzień. Był poraniony, obłaziły go muchy, ale nikt z rezerwatu nie kwapił się, żeby mu pomóc. Może się go po prostu bali? Wolę tak myśleć, bo inaczej złoszczę się, że nic nie zrobili, że nikogo nie zawiadomili.

Niedługo potem dowiedziałem się, jak doszło do śmierci Kazana. Obsługa rezerwatu wykazała się, łagodnie mówiąc, brakiem wyobraźni, a nazywając rzecz po imieniu, zwykłą głupotą. W rezerwacie oprócz Kazana trzymano również wilki grające w filmie przyrodniczym o Puszczy Jana i Bożeny Walencików. Było to zżyte ze sobą stadko, wychowane razem od maleńkości przez

Bożenę i Jana, którzy kręcili sceny z ich udziałem zarówno w plenerze, jak i w zagrodach. Te wilki trzymano oddzielnie. Do czasu. Pewnie gdyby ktoś spytał Walencików o zdanie, nie doszłoby do tragedii. Ale nie spytał. Nie wiem, czy chodziło o eksperyment, czy o to, żeby wszystkie wilki były w jednym miejscu, co miało ułatwić ich obsługę. Po prostu pewnego dnia to wychowane razem stado, w którym był już całkiem postawny młody samiec, postanowiono połączyć z Kazanem. Walka był nieunikniona. Do dziś, gdy myślę o tym, jak do niej doszło, czuję wściekłość. Ogrania mnie poczucie totalnej beznadziei. Ktoś, kto ma choć odrobinę wiedzy nie tylko na temat wilków, ale nawet zwykłych psów, powinien przewidzieć, co się zdarzy. Raptem jeden dorosły samiec znajduje się na terytorium drugiego. Takie walki w niewoli są zwykle opłakane w skutkach: przegrany biedak nie może odejść, uciec, bo nie ma gdzie. Kazan nie miał szans z młodszym, dobrze zbudowanym samcem. A gdy był już poraniony i leżał pod siatką, pracownicy bali się do niego wejść, żeby mu pomóc. Bali się również zawiadomić kogoś, kto odważyłby się to zrobić. Kazan skonał. I tak zakończyła się historia najsłynniejszego wilka w Polsce.

• • • • • •

ŻARŁOCZNY i łapczywy

• • • • • •

Od lat mnie korciło, żeby zapytać o to kogoś z Puszczy. Jak to możliwe, zastanawiałem się. To, co tu obserwowałem, było z jednej strony całkiem normalne i logiczne, a z drugiej wyjątkowe. Wyjątkowe w skali Europy, a nawet Ameryki. Bo wyobraźcie sobie, że ludzie stąd w ogóle nie boją się wilków.

Okazja, żeby o to zapytać, nadarzyła się, gdy cięliśmy z Jarkiem Poleszukiem stare deski na opał. Jarek jest z Teremisek, tu się wychował i tu pracuje. Czasami jest pilarzem w lesie. Poza tym od dziecka chodzi po Puszczy, bo uwielbia zbierać grzyby. Jarek podawał deski, a ja je przecinałem tak, żeby idealnie mieściły się w piecu. Kiedy on wyciągał ze sterty pod drewnianym chlewikiem kolejne deski, ja zatrzymywałem piłę. To był moment, żeby odsapnąć i pogadać. Wreszcie mogłem zadać TO pytanie:

– Jarek, a kiedy byłeś mały, to bałeś się wilków? – wypaliłem.

– Co? – Jarek zastygł z deskami w ręku, jakby nie rozumiał, o co pytam.

– No wiesz, czy bałeś się chodzić do lasu, na przykład zbierać grzyby. Albo czy rodzice mówili, żebyś tam nie chodził, bo tam są wilki? – wyjaśniłem. Ale Jarek patrzył na mnie, jakbym zgłupiał, i nadal nie miał pojęcia, o co mi chodzi. W końcu wybuchnął śmiechem.

– Wilków? No co ty! Wilków miałbym się bać? A niby dlaczego? – machnął ręką rozbawiony, tak jakbym zapytał, czy nie boi się

chodzić do lasu, bo tam żyją jelenie.

Wilków nie bała się też pani Luda, mama Jarka. Opowiadała mi, że zaraz po wojnie, gdy w lesie żyło niewiele zwierząt, bo przetrzebili je kłusownicy, wilki podkopywały się pod chlewik i wyciągały z niego prosiaki. Nietrudno sobie wyobrazić, co czuła wtedy pani Luda… Musiała być załamana i wściekła. Ale wilków się nie bała.

– Co miałam się bać, jak do rodziny do Narewki trzeba było chodzić przez las? – mówiła. To, że w tym lesie były wilki, nie robiło na pani Ludzie specjalnego wrażenia.

Od tamtych czasów niewiele się w Puszczy zmieniło. Dzieciaki wciąż chodzą do lasu same, a jak zobaczą wilka, to po prostu mówią: „O, widziałem wilka". Od kiedy mieszkam w Teremiskach, nie słyszałem tu ani jednego złego słowa o tych zwierzętach. Dobrego zresztą też nie. Wilki wzbudzają takie same emocje jak jelenie, żubry lub dziki. Chociaż na dziki akurat się złorzeczy, bo ryją pola. A wilki nie są ani lepsze, ani gorsze. Są i tyle. Nikogo specjalnie nie poruszają i nikt nie robi problemu z ich obecności.

Za to ja bałem się wilków, i to bardzo. Dlatego opowieści o nich nie zacznę od tego, jak się rozmnażają, od tego, na co i jak polują, ani od tego, czym są ich watahy, ale od mojego strachu. Zresztą nie tylko mojego. Nuria też się bała. Opowiadała mi, że zanim przyjechała do Puszczy, usłyszała w Hiszpanii historię o pewnym wędrowcu, który postanowił skrócić sobie drogę z jednego miasta do drugiego i powędrował przez las. Nigdy go nie odnaleziono, a że w lesie żyły wilki, wiadomo było, kto odpowiadał za to zniknięcie. Więc kiedy Nuria znalazła się sama w wielkim ciemnym lesie, a wychylająca się strzałka odbiornika wychwytującego sygnał z nadajnika na jakiejś wilczej obroży wskazywała na to, że wilki są coraz bliżej, zalewała się zimnym potem. Inna sprawa, że przez

wiele miesięcy pracy żaden wilk nie zbliżył się na tyle, żeby Nuria mogła go zobaczyć.

Strach mój czy Nurii nie jest niczym oryginalnym. Ilekroć opowiadam komuś z Warszawy, Krakowa, Oslo, Berlina albo Nowego Jorku o tym, że widziałem wilki, tylekroć pada pytanie: „A nie bałeś się? Bo ja bym się bał". Oczywiście, że się bałem, choć z czasem coraz mniej i mniej. Na początku w ogóle nie zdawałem sobie sprawy z tego, że mam w sobie ten lęk. Przez całe dzieciństwo, które spędziłem w Warszawie, wilki nie zaprzątały mi głowy. Jedyne, jakie mogłem spotkać, to były te, które biegały wzdłuż siatki w ciasnym pawilonie w warszawskim zoo. Były tak poniżone, że nie mogły budzić grozy. Interesowałem się zwierzętami i wiedziałem, że wilki raczej ludzi nie jedzą, ale kiedy pojawiła się choć nikła szansa spotkania ich w naturze, okazało się, że wiedza i rozsądek nie są antidotum na strach.

WYOBRAŹCIE SOBIE, ŻE LUDZIE z Puszczy w ogóle nie boją się wilków.

Jesteśmy zatopieni w kulturze i podświadomie łapiemy różne przekazy. Słyszymy powiedzenie „Człowiek człowiekowi wilkiem", które swoimi korzeniami sięga co najmniej starożytnego Rzymu. Oglądamy filmy o wilkołakach. Nasiąkamy bajką o Czerwonym Kapturku albo o trzech świnkach. W moim przypadku doszły jeszcze książki Jacka Londona i Jamesa Curwooda, które uwielbiałem i w których roiło się od scen, gdzie dzielni traperzy i maszerzy, czyli poganiacze psów z dalekiej amerykańskiej północy, oganiali się od złych i krwiożerczych watah. Tylko dzięki rozpalonym ogniskom i celnym strzałom ze swoich strzelb i rewolwerów uchodzili z życiem. Właściwie jedyną pozytywną opowieścią o wilkach, jaką sobie przypominam, oczywiście poza powszechnie znanym mitem, jakoby założycieli Rzymu Remusa i Romulusa wykarmiła wilczyca, była historia o dziewczynce, która pewnej lutowej nocy zgubiła się wśród zasp, niosąc z kościoła gromnicę. Z pomocą przyszły jej przysłane przez Matkę Boską wilki, które świecącymi ślepiami wskazały dziewczynce drogę do domu. Bajka może i pozytywna, ale przecież tylko demoniczne zwierzęta świecą ślepiami. Opowieść funkcjonuje też w wersji, w której Matka Boska gromnicą odgania wraże drapieżniki od ludzi i ich wiosek.

Wilk jest więc w naszej kulturze demonem, symbolem dzikości, nienasycenia, ciemności, krwiożerczości. Nawet jak się nad tym nie zastanawiamy, ten przekaz powoli do nas trafia i osadza się w najdalszych zakątkach mózgu. Pokłady strachu siedzą sobie potem w naszej głowie. Możemy nigdy się o nich nie dowiedzieć albo też odkryć je w sobie nagle i nieoczekiwanie. Ja tak miałem ze żmijami i niedźwiedziami polarnymi. I właśnie z wilkami.

Strach przed nimi dopadł mnie w Bieszczadach, w które jeździłem z moim przyjacielem Romkiem Wolańskim. Wspominałem już o tej przygodzie w „Przewodniku prawdziwych tropicieli", ale tu opiszę

ją bardziej szczegółowo. Oczywiście wiedzieliśmy, że Bieszczady to dzikie góry, niektórzy nazywają je nawet wilczymi górami. Ale to nie jest tak, że za każdym drzewem czai się wilk. Wilków nie spotyka się tam co chwila. Nam przez tych kilka lat zdarzało się ewentualnie widzieć ślady ich obecności. Latem czy jesienią była to odbita w błocie łapa. Zimą nieco częściej natykaliśmy się na odcisk łap w śniegu pokazujący wilczy szlak. Ale kto by się bał wilczych tropów? Na pewno nie takie dwa dziarskie chłopaki jak Romek i ja. Będąc w Bieszczadach, nie myśleliśmy za wiele o wilkach, aż do pewnego zimowego dnia, kiedy to wpadliśmy na pomysł, żeby wyruszyć z Wetliny do schroniska „Pod Rawkami". Zaplanowaliśmy wszystko bardzo sprytnie. W dzień chcieliśmy iść górami. Trasa miała prowadzić Działem, dzikim i tajemniczym pasmem, po którym mało kto wtedy chodził. Ci, którzy jechali w Bieszczady, pakowali się na spektakularne połoniny. Nie interesował ich jakiś tam zarośnięty Dział. Połoninę Wetlińską i Smerek widać z każdego baru i knajpy w Wetlinie, a Dział – nawet jeśli jest widoczny – wygląda tak niepozornie i niezachęcająco, że mało kogo tam ciągnie. I dlatego cała bieszczadzka dzikość jest właśnie na takich niepozornych górkach, a nie na wielkich i zadeptanych połoninach. Dział ma jeszcze tę zaletę, że nie trzeba się na niego za bardzo wspinać. A jak już się podejdzie na grzbiet, to bardzo przyjemnie się nim idzie, bez większych forsownych przewyższeń. Potem według naszego planu mieliśmy dotrzeć do schroniska „Pod Rawkami", minąć je i gdzieś w okolicy Brzegów Górnych zejść do szosy wiodącej z Ustrzyk Górnych do Wetliny. To tam bieszczadzka obwodnica zaczyna się wić serpentyną. Zimą, wiadomo, ciemności zapadają dość szybko, ale wykombinowaliśmy, że kiedy zacznie się ściemniać, powinniśmy akurat wyjść z lasu, minąć schronisko i znaleźć się na wielkiej otwartej przestrzeni

dzielącej nas od szosy. W pobliżu drogi będzie nam już wszystko jedno, czy jest ciemno, czy jasno. Tu zgubić się nie sposób. Poza tym mieliśmy nadzieję, że nadarzy się nam jakaś okazja i zabierzemy się do Wetliny na stopa. W ostatniej chwili dołączył do nas chłopak, na którego mówiliśmy „Młody". Przejście przez Dział było całkiem miłe, choć szlak był nieprzetarty i miejscami musieliśmy brnąć w śniegu. Potem zejście w okolicach schroniska okazało się niezbyt sympatyczne, bo oblodzone, i trzeba było uważać, żeby się nie wywalić. Wreszcie wyszliśmy na wielką otwartą przestrzeń między linią lasu a szosą. Wiosną i latem są tu wspaniałe pachnące bieszczadzkie łąki. Zimą to biała pustynia z wystającymi gdzieniegdzie ze śniegu krzakami i drzewami. Wiatr usypał głębokie zaspy, przez które trzeba było się przedzierać z wysiłkiem, ale szło nam się raźnie, a otuchy dodawała nam świadomość, że zaraz znajdziemy się na szosie. Noc była mroźna i gwiaździsta. A my byliśmy kompletnie zrelaksowani. I właśnie wtedy usłyszeliśmy to coś. Przeciągłe wycie wydobywające się z co najmniej kilku gardeł. Wycie smutne i przerażające. Wszyscy trzej słyszeliśmy je pierwszy raz w życiu, ale żaden z nas nie miał wątpliwości, co to takiego. Wilki. Wycie na chwilę ucichło, po czym znów powróciło – było jakby bliżej i bliżej. Wilki schodziły z grzbietu i najwyraźniej zbliżały się do granicy lasu.

– Boże, chłopaki, one idą za nami! – powiedział któryś z nas. Ten pomysł podsunęła nam wyobraźnia połączona z wiedzą z książek podróżniczych o traperach z Dalekiej Północy. W naszych głowach ułożył się oczywisty scenariusz: wilki musiały trafić na nasz świeży trop gdzieś na grzbiecie Działu. Nasz, bo przecież nikogo innego tam nie było. Okropne bestie poczekały, aż się ściemni, a potem ruszyły za nami w pogoń, bo przecież wiadomo, że nocą człowiek w przeciwieństwie do wilka jest całkiem bezbronny.

Wykoncypowały, że w lesie moglibyśmy zwiać im na drzewa, a na wielkiej białej przestrzeni pełnej zasp nie mieliśmy szans znaleźć schronienia. O ucieczce do lasu nie było mowy, bo one właśnie z lasu nadchodziły. A biec do szosy w kopnym śniegu też nie było jak.

– Zeżrą nas, zeżrą na pewno – powtarzaliśmy przerażeni.

W głowie pojawił mi się obraz krwawych resztek, zaplamionych krwią rozerwanych ubrań, obgryzionych i zmiażdżonych kosteczek, które po nas pozostaną i które może kiedyś ktoś odkryje – o ile śnieg ich nie przysypie. „Nasi biedni rodzice!" – pomyślałem. I wtedy mnie olśniło.

– Chłopaki, mam w plecaku latarkę! – krzyknąłem. Zabrzmiało to, jakbym był co najmniej posiadaczem szybkostrzelnego winchestera. Zrzuciliśmy plecaki i uzgodniliśmy, że będziemy się bronić właśnie za pomocą tej latarki. Dlaczego?

INTERESOWAŁEM SIĘ ZWIERZĘTAMI i wiedziałem, że wilki raczej ludzi nie jedzą.

Otóż dlatego, że wilki to przecież szatański pomiot dokonujący zbrodni pod osłoną ciemności. Jak poświecimy im w ślepia, na pewno się zatrzymają. A może w międzyczasie ktoś dostrzeże nasze zmagania z nimi. Nadzieja na ratunek zgasła jednak równie szybko, jak się pojawiła. Moja latarka – produkt socjalistycznego przemysłu elektrycznego – przestała działać. Może przepaliła się żarówka (notorycznie się przepalała), może coś się rozłączyło na stykach, a może bateria padła na mrozie? Potrząsanie, rozkręcanie i skręcanie, chuchanie oraz rozgrzewanie w dłoni baterii na nic się zdało. Latarka nie była w stanie wykrzesać z siebie ani promyczka. Żarówka nie zabłysła nawet na sekundę. Kiedy już zupełnie straciłem nadzieję, Młody sięgnął do kieszeni i zawył z radości:

– Chłopaki, mam! Mam... zapalniczkę.

Zapalniczka! Przecież to nawet lepsze od latarki, bo to prawdziwy ogień. Młody kilka razy przesunął palcem po metalowym kółeczku, wykrzesał iskry, potem gaz syknął i pojawił się mały, ale wyraźny płomień, który natychmiast osłonił ręką. Przysunęliśmy się do niego z Romkiem jak najbliżej, bo z traperskich książek o wilkach na Dalekiej Północy wiedzieliśmy, że przeżywał ten, kto był najbliżej ognia. Co prawda na śnieżnej pustyni nie było jak rozpalić ogniska, z którego można by ciskać w atakujące wilki żagwie, ale ogień to już było coś. Stłoczyliśmy się wokół zapalniczki i czekaliśmy, aż się pojawią. Z pewnością będą się zbliżać powoli, świecąc swoimi wilczymi ślepiami w ciemnościach. A gdy będą już dostatecznie blisko, my staniemy za płomykiem zapalniczki.

Wilków się jednak nie doczekaliśmy. Bo nagle zdarzył się cud. Gdzieś daleko zamajaczyły światła samochodu. Z każdą chwilą były coraz bliżej. I gdy po szosie, która okazała się całkiem blisko, przetoczyła się dostawcza nysa albo żuk, wilki umilkły. Byliśmy pewni, że przestraszyły się samochodu i dlatego dały nam spokój.

Dziś wiem, że wilki raczej za nami nie szły. Bo niby po co? Może zwoływały się na polowanie na jelenia? Może wyły w związku z jakimiś ich rodzinnymi sprawami? A może po prostu dawały sobie nawzajem znać, gdzie się znajdują. Uczeni z Austrii odkryli niedawno, że wilki często wyją po prostu po to, by utrzymać kontakt z najważniejszymi członkami watahy. Uważacie, że to bardzo śmieszne, że tak się baliśmy wilków? Nie tylko my. Krzysztof Kozłowski, senator i pierwszy solidarnościowy szef Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, opowiadał mi, jak będąc studentem, pojechał wraz z kolegami pod namiot w Bieszczady. To było pod koniec lat 50. lub na początku 60. Bieszczady miały wtedy opinię gór dzikich i pełnych niebezpieczeństw. Przyszły senator i jego koledzy ze wszystkich niebezpieczeństw najbardziej bali się wilków, dlatego zaopatrzyli się we fladry. Fladry to paski materiału na lince lub sznurku. Przeczytacie jeszcze o nich w tej książce, ale na razie tylko w skrócie powiem, że służą do polowania na wilki. Zwierzęta, otoczone szmatkami rozciągniętymi na sznurku, nie zbliżają się do nich, nie przechodzą przez nie, nie przeskakują ich. Po prostu stoją w jednym miejscu, dzięki czemu łatwo je wybić. Oczywiście senatorowi Kozłowskiemu nie chodziło o polowanie na wilki.

– Skoro wilki tak się boją fladrów, że nawet kiedy zagrożone jest ich życie, nie chcą się do nich zbliżyć, wymyśliliśmy, że będziemy nimi otaczać namioty. Byliśmy przekonani, że bez tego te bestie na pewno nas w nocy pożrą – opowiadał mi senator. I szczerze mówiąc, kombinował niegłupio, bo fladry często i z dobrym skutkiem stosuje się do chronienia przed wilkami owiec.

Wilków bałem się więc ja, bała się ich Nuria, bał się senator Kozłowski. I jeszcze wiele innych osób. W tym mieszkańcy Bieszczad. „W Bieszczadach wilki próbowały zaatakować 17-letniego

chłopaka. Wieczorem w miejscowości Średnie Wielkie idącego drogą nastolatka otoczyły cztery wilki. Nie wyrządziły mu krzywdy, ponieważ zostały spłoszone przez światła nadjeżdżającego samochodu" – taką notatkę z 2005 roku znalazłem w portalu Wirtualna Polska. Coś wam to przypomina? Bo mnie moją przygodę. Takich informacji można znaleźć w prasie całą masę. A to myśliwy nie mógł zejść z ambony, bo „otoczyły" go wilki, które oczywiście chciały go zjeść, a to idąca przez las kobieta napotkała wilka, który na nią popatrzył, czyli chciał zaatakować…

Podobne znajdziecie w prasie norweskiej i szwedzkiej. „Nie chcielibyście, żeby wilki podeszły pod wasze domy" – mówią Benowi McPhersonowi z norweskiej gazety „Aftenposten" tamtejsi farmerzy. Sugestia jest wyraźna: jak podejdą, to zaatakują. Te wszystkie opisane zdarzenia mają jeden wspólny mianownik: nikomu nic się nie stało. Nic! Skutkiem spotkania z wilkiem nie było zadrapanie ani nawet drobne ugryzienie. W żadnej z tych opowieści wilk nawet nie ruszył na potencjalną ofiarę, tylko po prostu stał i się patrzył. To wystarczyło, żeby opisać sytuację jako próbę ataku albo wręcz atak. Z tych przerażających relacji mogłoby wynikać, że wilki ciągle próbują napadać na ludzi, ale im się nie udaje. Jakby były pechowcami, nieudacznikami, a nie skutecznymi myśliwymi, dla których wytropienie samotnego człowieka w lesie nie stanowi najmniejszego problemu. Ciekawe, że aż takich emocji nie budzą niedźwiedzie, które choć niesłusznie kojarzą się z pluszowymi misiami, to potrafią zaatakować i poranić człowieka. I takie wypadki zdarzają się w Bieszczadach co dwa-trzy lata. Jeśli zaś spotkany niedźwiedź tylko koło kogoś przejdzie albo na kogoś spojrzy, nikt nie powie, że doszło do ataku.

Ale wróćmy do wilków. Bez względu więc na to, co mówią fakty, jesteśmy przekonani o tym, że napotkany wilk nas natychmiast

pożre. A może wilki kiedyś rzeczywiście jadały ludzi? Może, ale większość przypadków podawanych w raportach naukowych dotyczy zamierzchłych czasów. Dodam, że przypadków nielicznych, w dodatku tak niejasnych albo tak naciąganych, że nie powinny budzić w nas strachu. Wiele wskazuje na to, że wilki były tylko przykrywką dla niecnych uczynków ludzi. Chyba najsłynniejszą taką historią jest przypadek bestii z Gévaudan. W tej francuskiej prowincji w czasach Ludwika XIV, zwanego Królem Słońce, „coś" napadało na dzieci i młode kobiety. Między czerwcem 1764 a czerwcem 1767 roku bestia zaatakowała blisko 200 razy – według niektórych źródeł zabiła 113 osób, 49 poraniła, a 98 „częściowo skonsumowała" – można wyczytać w sporządzonym przez międzynarodowy zespół naukowców dokumencie przygotowanym na zlecenie Norweskiego Instytutu Ochrony Przyrody (NINA). Wybuchła panika. Do prowincji zjechali się słynni łowcy wilków, w tym Wielki Łowczy Wilków Królestwa – tak, istniała wówczas we Francji taka funkcja, co dobitnie świadczy o trwającej w tym kraju od dawna wilczej fobii. W okolicy Gévaudan krążyła „bestia ruda i wielka jak cielak", w niczym nie przypominała wilków, z którymi mieszkańcy prowincji byli obeznani. Zwykle do obrony stad bydła wystarczył pastuszek z psem i kijem. Nie w tym przypadku. W czasie obławy zabito kilka wilków, w tym jednego naprawdę wielkiego. Ataki jednak nie ustały. Wiele poszlak wskazuje na to, że zabijał człowiek, a raczej jakieś zwierzę, którym szczuł ofiary. Ponieważ opisy bestii nie pasują zbytnio do wilków, mówi się o hienie, jakimś mieszańcu wilka z psem, wreszcie psie agresywnej rasy, a właściwie o kilku takich psach, bo bestia atakowała czasami w paru miejscach jednocześnie.

Inne historyczne dane dotyczące wilczych ataków są jeszcze bardziej mgliste. Na przykład naukowcom z Norwegii, Szwecji

i Finlandii na całym Półwyspie Skandynawskim, na którym wilki budzą do dziś największe przerażenie i emocje, w ciągu trzystu lat udało się doliczyć 94 przypadków śmierci ludzi, głównie dzieci, o które obwiniono wilki. Większość przypadków znanych jest z doniesień prasowych z XVIII, XIX i początków XX wieku i ich rzetelność może budzić poważne wątpliwości. Nie wiadomo, czy dzieci, których śmiertelność była wówczas bardzo wysoka (w XVIII-wiecznej Wielkiej Brytanii co piąte dziecko nie dożywało pięciu lat), nie umierały z innych przyczyn, na przykład głodu albo chorób, a wilki tylko pożywiały się ich martwymi ciałami. Nie wiadomo, czy dzieci nie porywały zdziczałe psy albo czy nie zabijali ich ludzie. Nie wiadomo też, w ilu z tych wypadków winne były oswojone wilki, tak jak w słynnej historii z Gysinge w centralnej Szwecji. Między grudniem 1820 a marcem 1821 roku wilk zaatakował tam 31 osób, z czego zabił 12. Śmiertelnymi ofiarami zwierzęcia poza 19-letnią kobietą były głównie dzieci. Ataki ustały, gdy wilka zastrzelono. Według ustaleń historyków wilk ten został kilka lat wcześniej wybrany z gniazda i wychowany w niewoli, z której uciekł. Nie bał się ludzi – może chciał z nimi walczyć o dominację? Prawdopodobnie nie potrafił polować na dzikie zwierzęta i to właśnie było przyczyną agresji. Nie można wykluczyć, że zbliżony scenariusz miał miejsce także w przypadku innych wilczych ataków. Okres największego prześladowania wilków w Skandynawii i w całej Europie zbiegł się w czasie z dość powszechnym wybieraniem młodych, a potem hodowaniem ich – albo dla uciechy, albo żeby obedrzeć je ze skóry, gdy podrosną.

A w Polsce? Przed wojną prasa donosiła o przypisywanych wilkom porwaniach dzieci. Ataki na dorosłych też się zdarzały, ale ewidentnie atakowały zwierzęta wściekłe. Przedwojenny „Dziennik Białostocki" w artykule pt. „Śmiertelna walka ze wściekłą wilczycą"

przynosi mrożący krew w żyłach opis spotkania ze wściekłym wilkiem: „Dn. 14 kwietnia 1926 r. w Narewce miał miejsce wypadek niezwykły. Jeden z robotników udał się do pracy w lesie. Zabrał ze sobą 15-funtowy bochenek chleba, którym miał się podzielić z kolegami, i gdy tak sobie wędrował przez las, w pewnym momencie zobaczył przed sobą w odległości 15 kroków wilka. Wilk w kilku potężnych susach dopadł go i najpierw znalazła się w paści wilka noga nieszczęśnika, a potem wilk rzucił się do gardła. Robotnik zasłonił się lewą ręką. Ręka trafiła do paści wilka, robotnik jednak, nie tracąc przytomności, dosiadł konno zwierza. Wilk przebiegł z niezwykłym jeźdźcem na grzbiecie ze 25 metrów i wpadł do dość głębokiej bajury leśnej. Tu robotnik, mając wolną prawą rękę, zanurzył w wodzie łeb wilka, który usiłował zrzucić go z grzbietu. Na rozpaczliwe krzyki zbiegli się robotnicy pracujący w sąsiedztwie. Jeden ze śmielszych po pas w wodzie dotarł do wilka i jego ofiary z toporem, rozcinając dzikiemu zwierzęciu łeb. Trup wilka i srodze poranionego robotnika (14 ran) przewieziono do Narewki. Tu okazano pierwszą pomoc lekarską. Dokonano sekcji wilka. Jak się okazało, była to wilczyca.

PO DRUGIEJ WOJNIE ŚWIATOWEJ w Polsce nie doszło do żadnego ataku wilków na ludzi, nawet tylko im przypisywanego.

We wnętrzu znaleziono pięcioro wilcząt. Wilczyca była okazem nie lada, gdyż waga jej wyniosła 125 funtów rosyjskich (ok. 50 kg). Wobec tego, iż zachodzi obawa, że wilczyca była chora na wściekliznę (w żołądku znaleziono kawałki drewna i kory drzewnej), pokąsanemu przez wilczycę zastosowano zastrzyki surowicy. Stan pokąsanego na razie jest zadawalający".

Spotkanie ze wściekłym wilkiem musiało być przerażające. Takie przypadki nadal się zdarzają, szczególnie w Azji, gdzie nie ma tak powszechnych szczepień dla psów przeciw tej chorobie, nie mówiąc już o rozrzucaniu szczepionek dla dzikich zwierząt w lasach, jak to się robi w Unii Europejskiej. Wilki mogą być bardziej podatne na wściekliznę tam, gdzie się na nie intensywnie poluje. To dlatego, że rozbicie watahy oznacza więcej kontaktów z innymi zwierzętami, np. psami. Podejrzewam też, że w tym samym czasie wściekłe psy

pogryzły znacznie więcej ludzi niż wilki. Obecnie na świecie 20-25 tysięcy osób rocznie, głównie dzieci w Azji i Afryce, umiera na skutek pogryzienia przez wściekłe psy. Wilki nawet w czasach największej agresji nie zbliżyły się do tej liczby, czy choćby do jej ułamka. Nie można więc wykluczyć ataku wściekłego wilka, ale szansa na to, że zdarzy się to właśnie nam, jest nikła. Po drugiej wojnie światowej w Polsce nie doszło do żadnego, nawet tylko przypisywanego wilkom ataku. W latach 50. znaleziono zakrwawione i poszarpane ubranie pewnej młodej nauczycielki. Brak ciała tłumaczono tym, że pożarły ją wilki. „Zjedzona" kobieta powróciła do Polski z wizytą po 40 latach. Okazało się, że mieszka w Szwecji. Na Zachód uciekła dzięki pomocy narzeczonego, a upozorowanie wilczego ataku miało uchronić rodzinę przed prześladowaniami ze strony władz.

Nie oznacza to, że w czasach współczesnych nie było żadnego udokumentowanego ataku wilka na człowieka w celach konsumpcyjnych. Taki wypadek zdarzył się w kanadyjskiej prowincji Saskatchewan. 8 listopada 2005 roku członkowie wyprawy geologicznej znaleźli ciało 22-letniego studenta geologii Kentona Carnegiego, który, jak ustaliło trwające niemal dwa lata śledztwo, został zabity i częściowo skonsumowany przez watahę wilków. Być może zdarzyło się tak, bo w okolicy brakowało innych zdobyczy. Może wilki, które często żywiły się odpadkami pozostawianymi przez działające na tym terenie ekspedycje, zbyt przywykły do człowieka i kiedy zabrakło odpadków, postanowiły zabrać się za jedyną ofiarę, jaka była w zasięgu pyska.

Ale nawet ten przypadek, biorąc pod uwagę liczbę ludzi zabijanych przez niedźwiedzie albo tygrysy, świadczy o tym, że szansa, że zjedzą nas wilki, jest naprawdę minimalna.

Niemniej jednak strach przed tymi drapieżnikami jest gigantyczny. I ma długą historię. Wygląda na to, że przekonanie, że wilk to bestia, która czyha na życie człowieka – zanim znalazło się w bajce o Czerwonym Kapturku i powieściach Londona i Curwooda – od dawna towarzyszyło Europejczykom.

W pracy Agnieszki Samsonowicz „Łowiectwo w Polsce Piastów i Jagiellonów" znalazłem mnóstwo interesujących informacji na ten temat. Nie tylko o wilkach i o Polsce, ale też o zachodniej Europie i Skandynawii. Jest to opowieść o lęku i przerażeniu, jakie wilki wywoływały wśród narodów tej części kontynentu.

U środkowoeuropejskich plemion germańskich za zabicie psa służącego do obrony stad domowych zwierząt przed wilkami groziły kary. Przy czym znacznie więcej trzeba było zapłacić za psa, który potrafił wilka zabić (trzy solidy, czyli złote monety), niż za takiego, który umiał go jedynie przestraszyć albo zranić (dwa solidy). Kary za zabójstwo człowieka wahały się od 200 do 600 solidów, więc trzy solidy za psa to była całkiem spora suma. Psy były tak cenne, ponieważ nie istniało zapewne skuteczniejsze narzędzie do walki z wilkami. A walka ta była zażarta.

W cesarstwie Karola Wielkiego kapitularz, czyli zbiór praw cesarskich, nakazywał zarządcom cesarskich dominiów: „Powinni nieustannie dostarczać nam informacji, ile wilków udało się schwycić, i dostarczać nam ich skóry. W maju powinni szukać wilczych szczeniąt i je wyłapywać, używając trutek, wnyków, wilczych dołów i psów". Ten tekst świadczy o tym, jak dobrze znano wilki. To właśnie w maju szczenięta są na tyle nieporadne, że najłatwiej je znaleźć i wybrać z gniazda. Wybieranie ich było zresztą najskuteczniejszą metodą ograniczenia liczebności tych zwierząt.

Agnieszka Samsonowicz przytacza zapisy z kronik klasztornych pokazujące, jak wielki strach budziły wilki. Otóż w Galii wilki miały zagryźć wielu ludzi, a w Akwitanii podobno ich watahy składające się aż z trzystu sztuk (to mało prawdopodobne, właściwie w ogóle nieprawdopodobne, ale pokazuje, że strach miał wielkie oczy) napadały na osady, nie zważając na czynny opór ludzi. Wszystko to miało miejsce w IX wieku w imperium Karola Wielkiego, które, przypomnijmy, zajmowało sporą część Hiszpanii, całą Francję, kawał Włoch oraz dużą część Niemiec.

Podobnie było u naszych południowych sąsiadów. W 1268 roku czeski książę Przemysław Otokar II nakazał ludności kopanie wilczych dołów i wabienie drapieżników padliną. A w 1531 roku chłopi zawiadomili hetmana Jerzego Tryska z Vetrznej, że wielkie stado hasa nieopodal zamku. Pomimo zorganizowania sieci i antywilczej ekspedycji pod wodzą mistrza rybackiego wilków nie udało się złapać.

Jak było w innych częściach Europy? Najciekawsze są doniesienia ze Skandynawii. Otóż, jak podaje Agnieszka Samsonowicz, w pradawnych skandynawskich prawach feudalnych znajdują się nakazy walki z wilkami i wyruszania na łowy w celu zwalczania tych drapieżników. Kto na te łowy nie chciał iść, był karany grzywną, podobnie jak ten, kto nie chciał brać udziału w przygotowywaniu sieci do łapania wilków. Mało tego, w każdej osadzie mieli być wyznaczeni dwaj mężczyźni, których zadaniem było dopilnowywanie, aby mieszkańcy wywiązywali się z obowiązku. Pomimo tych wysiłków wilcze plagi wciąż siały strach i, jak można wyczytać w XVI-wiecznych dziełach Olafa Magnusona, ludzie bali się podróżować bez broni. Zakaz noszenia przez wieśniaków kusz i łuków wywołał falę buntów chłopskich, u których podłoża leżała właśnie obawa przed wilkami.

Ten skandynawski strach widać po dziś dzień. Chyba w żadnej innej części Europy wilk nie budzi tak olbrzymich emocji. Parcie na zabijanie wilków, których obecnie na całym Półwyspie Skandynawskim żyje przynajmniej dwa razy mniej niż w Polsce, jest olbrzymie. Niemal co roku przed szwedzkimi sądami toczy się batalia o to, czy można do wilków strzelać, czy nie. Chce strzelać rząd, a zakazują tego przepisy Unii Europejskiej, które pozwalają na odstrzał tylko w szczególnych przypadkach. I szwedzki rząd taki szczególny przypadek wymyślił. Wilki w Szwecji są bardzo mało różnorodne genetycznie, ponieważ pochodzą tylko od kilku osobników przybyłych z Finlandii. Taki brak różnorodności może być rzeczywiście groźny, ale rozwiązanie problemu, jaki postanowili wprowadzić Szwedzi, wydaje się jeszcze groźniejsze. Otóż wymyślili oni odstrzał najmniej genetycznie zróżnicowanych wilków. Wywołało to burzę wśród szwedzkich, ale też europejskich specjalistów od wilków. Jeden ze szwedzkich badaczy wilków na łamach prestiżowego czasopisma „Nature" zarzucił agendom rządowym manipulację danymi naukowymi. W Norwegii jest jeszcze gorzej. Gdy byłem tam w 2008 roku, rząd, aby uspokoić ogarniętą strachem opinię publiczną, zaplanował wielkie polowanie na wilki. A żyło ich wówczas w tym wielkim i jeszcze rzadziej od Szwecji zaludnionym kraju około 30. Zapytałem norweskiego ministra środowiska Erika Solheima, czy urządzanie odstrzału przy tak niewielkiej liczbie zwierząt nie jest wielkim błędem, a wręcz absurdem. Odpalił, że my w Europie wschodniej nie mamy pojęcia, co to znaczy żyć wśród dzikich zwierząt. Na moment mnie zatkało, ale po chwili złośliwie poinformowałem ministra, że owszem, wiemy, bo w promieniu 20 kilometrów od mojego domu żyje tyle wilków co w całej Norwegii.

Być może ten strach ma związek z mitologią? W germańskiej i skandynawskiej mitologii dwa wilki Odyna to nienasycone demony. Ich imiona, Geri i Freki, oznaczają „żarłoczny" i „łapczywy". Gdy zostanie uwolniony Fernir, olbrzymi wilkopodobny potwór żywiący się ciałami umarłych, nastąpi koniec świata. Koniec świata nastąpi też, gdy dwa wilki Sköll i Hatii, które usiłują pożreć słońce i księżyc, wreszcie je dopadną. Wilk reprezentuje więc ciemności, żarłoczność i koniec świata. Dodatkowo mroczny wizerunek wilków pogłębiają berserkowie, którzy zakładali sobie na głowy wilcze łby. To grupy młodych wojowników słynących z okrucieństwa, gwałtów i szaleńczej odwagi.

WILK JEST W NASZEJ KULTURZE DEMONEM, symbolem dzikości, nienasycenia, ciemności, krwiożerczości.

Charakterystyczny dla nich był bojowy, by nie rzec: zwierzęcy szał. Berserkowie znajdowali się poza strukturami społecznymi. Wilkiem w tamtej kulturze jest więc ten, kto zostaje wyrzucony ze społeczności, kto musi kryć się po puszczach i spędzać życie na rabowaniu. Trudno się dziwić, że ludzie nasiąkający podobnymi mitami i historiami nabierają przekonania, że z wilkami jest coś nie tak.

Strach przed wilkami z pewnością jest też pochodną tego, jak Europa się zmieniała. Ludzi przybywało, a naturalnych ofiar wilków, jakimi są duże ssaki roślinożerne, ubywało. Wilki przestawiały się więc na zwierzęta domowe, których z kolei hodowano coraz więcej. Ataki wilków wywoływały u ludzi wściekłość i chęć odwetu. Wybijali więc wilki. A im więcej wilków ginęło, tym więcej było rozbitych watah. Wilki bez watahy miały utrudnione polowanie na sprytne jelenie, sprawiały coraz więcej kłopotów. I tak spirala się nakręcała. Jednocześnie wilki nie były łatwym celem. Wytropienie i wybicie tych inteligentnych zwierząt stanowiło prawdziwe wyzwanie. Oto, dlaczego przypisywano im cechy demoniczne – zabijanie prawdziwych potworów jest przecież jak najbardziej uzasadnione. Czy nie po to przyprawiamy naszym wrogom propagandową gębę, żeby usprawiedliwić ich zwalczanie? Ten mechanizm działa zarówno w odniesieniu do ludzi, jak i do zwierząt. Dzik jest dziki – a nie odważny, lis chytry i przebiegły – a nie mądry, wilki zarzynają – a nie polują.

Przytoczywszy te wszystkie przykłady, Agnieszka Samsonowicz dochodzi do konkluzji dotyczącej wilków w naszym kraju: „W świetle przytoczonych przykładowo wiadomości o walkach z plagami wilków wydaje się sprawą zastanawiającą, że na naszych ziemiach (...) w źródłach średniowiecznych brak śladów organizowania walki z nimi".

Według badaczki, a trudno się spodziewać, aby ktoś lepiej niż ona przeanalizował źródła, nie ma w naszej historii śladów obowiązku walki z wilkami nakładanego na wsie i mającego służyć ochronie stad królewskich, książęcych czy szlacheckich. Nie ma też skarg na napastliwość i wilczą agresję ze strony chłopów albo przemierzających porośniętą lasami Polskę i Litwę kupców. A wilków z pewnością było wiele. Świadczą o tym i zapiski kronikarzy, i nazwy geograficzne (np. Wilcze Doły, Wilczki, Wilkowyje). Polowanie na wilki bywało wręcz przywilejem. Otrzymał go na przykład w 1375 roku sołtys wsi Proboszczowice. To coś przeciwnego do wydawanego przez władze państw w innych częściach Europy nakazu tępienia i zorganizowanej walki z wilkami. Na tle europejskiej paniki w państwie Jagiellonów w sprawach wilczych panowało coś, co można by nazwać dziś luzem i nonszalancją. „Ustawa na wołoki" z roku 1557, wydana przez Zygmunta II Augusta, ostatniego z tej dynastii, tak oto ujmuje kwestię postępowania ze zwierzętami: „A na swych włokach poddanym wolno zabić wilka, rysia, lisa, rosomaka, zająca, wiewiórkę i innego zwierza małego, też ptaki wszelkie, a przedawać komu chcąc i bez opowiadania się urzędowi, ale sarny i inszego wielkiego zwierza nie bić i na swoich włokach, szczególnie zaś w puszczach i pod puszczami naszemi rusznic chować i żadnego zwierza nie mają (bić) pod gardłem". Rzuca się tu w oczy przede wszystkim zapowiedź karania śmiercią za kłusowanie na wszystko, co większe od sarny (z sarną włącznie). Mnie jednak o wiele bardziej interesuje towarzystwo, w jakim w tym królewskim zestawieniu znajduje się wilk. Król wymienia go jednym tchem z rosomakiem, który wówczas występował na północno-wschodnich krańcach Litwy, rysiem, ale również lisem, zającem i wiewiórką. Wiewiórką! Na zachodzie i na północy Europy wilk to

potwór, a u nas zwierzę zrównane zostało z milusińskim rudzielcem. Ustawienie wilka w jednym rzędzie z zającem, wiewiórką oraz lisem może się nam wydawać nieco uwłaczające dla tego dumnego i rzadkiego dziś zwierzęcia, jednak pokazuje ono, jak nasi przodkowie traktowali wilki. Owszem, dybali na ich życie, ale po to, żeby zedrzeć z nich skórę z cennym futrem. W tym samym celu dybali na lisy lub wiewiórki. Ale absolutnie z ich powodu nie panikowali i obraz wilka nie wywoływał takiej grozy jak w innych częściach Europy.

Działo się tak mimo że, podobnie jak w innych częściach świata, wilki dawały się we znaki hodowcom różnorakiej trzody. Jak wyliczała carska administracja, na początku XIX wieku jeden puszczański wilk potrafił zjadać owiec i bydła za 30 rubli w srebrze. Tylko w 1829 roku wilki zabiły w okolicach Puszczy 18 koni, 30 wołów, 101 krów, 70 cieląt, 128 świń i 121 gęsi. Z pewnością była to dotkliwa strata, ale trzeba pamiętać, że wówczas wiele zwierząt gospodarskich wypasano w lesie, co z pewnością narażało je na ataki drapieżników. Ciekawe jednak, że, jak zauważa Otton Hedemann, przedwojenny badacz dziejów Puszczy, gdy władze próbowały zmusić tutejszą ludność do zwalczania wilków, mieszkańcy specjalnie się do tego nie palili. Mogli ustrzelić wilka albo złapać go w sieci – czemu nie. Ale żeby wybierać szczenięta z gniazd? Co to, to nie. Gdy gubernator grodzieński Michał Bobiatyński naciskał na to ostatnie, miejscowi się ociągali. Panowało wśród nich przekonanie, że wilczyce, którym zabrano młode, stają się „specjalnie zawzięte i szkodliwe dla bydła" – jak pisze Hedemann. Czyżby się mściły? Raczej nie. Ale ludzie przeczuwali, że wybieranie szczeniąt nie służy ani im, ani wilkom. I mieli rację. Coraz więcej współczesnych badań pokazuje, że rozbite

watahy gorzej polują na dzikie zwierzęta i bardziej interesują się domowymi.

Skąd więc wzięła się różnica w podejściu do wilków pomiędzy Polską a zachodem Europy? Agnieszka Samsonowicz twierdzi, że powodem mogło być to, że nasze lasy obfitowały w zwierzynę. Wilk nie był konkurentem aż tak ważnym dla człowieka jak na zachodzie Europy, gdzie zaludnienie było znacznie większe niż w Polsce (o Litwie nie wspominając). A zwykle im więcej ludzi, tym mniej zwierząt, szczególnie tych dużych, jak jelenie, które stanowią pokarm dla wilków.

Ostatecznie na obszarze większości Europy wilki zostały wybite. Nie było ich, ale strach przed nimi pozostał, skutecznie podsycany przez myśliwych. I literaturę. I sztukę. Ten temat bardzo dobrze się sprzedawał. Jednym z najchętniej kupowanych przez zachodnioeuropejskie salony XIX-wiecznych polskich malarzy był Alfred Wierusz-Kowalski specjalizujący się w malowaniu wilczych ataków. Lęk dotarł więc do Polski. Ale najwyraźniej ominął Puszczę Białowieską. Bardzo ciekawiło mnie to, dlaczego akurat senator Kozłowski, Nuria czy ja tak strasznie baliśmy się wilków, a Jarek z Teremisek nie.

Czy te wszystkie legendy nie trafiają w miejsca, w których wilki wciąż żyją? Owszem, trafiają. Tylko że tu, w Puszczy (gdzie wilkom udało się przetrwać nawet czasy eksterminacji drapieżników w drugiej połowie XIX wieku), ludzie nadal mogą konfrontować się z obecnością tych zwierząt. Przekonują się, że nie taki wilk straszny. Ten proces trwa wieki. Wystarczy jednak dłuższa przerwa w kontaktach ludzi z wilkami i strach powraca. Tak było w Bieszczadach, gdzie wilki wybito, a ludzie, którzy się tam osiedlili, byli przyjezdnymi. Nic dziwnego, że bali się zwierząt. Podobnie jak mieszkańcy Skandynawii, gdzie wilki wytrzebiono, zanim w latach

80. ubiegłego wieku pojawiły się tam znowu. Oto, dlaczego strach przed wilkami zagościł i w mojej głowie, głowie wychowanego w Warszawie chłopaka. Za to w głowie Jarka z Teremisek i jego sąsiadów takich przesyconych lękiem myśli nie było.

Na tym rozdział o strachu miał się zakończyć. Ale krótko po tym, jak napisałem te słowa, przydarzyła mi się przygoda, która będzie jeszcze lepszym zakończeniem. Wieczorem czytałem sobie wycinki prasowe z Bieszczad, gdzie strach przed wilkami jest wciąż podsycany – oczywiście przez tych, którzy chcieliby na wilki zapolować. Oto fragment jednego z artykułów pod znamiennym tytułem „Wilki atakują w Bieszczadach", który pochodzi z podkarpackiego dodatku do „Gazety Wyborczej" z 28 grudnia 2003 roku:

„W Żubraczem, w nadleśnictwie Cisna, wilki zaatakowały łanię w obecności ludzi. – To było kilka dni temu. Nad ranem wilki zaatakowały stado łań. Dwie z nich schroniły się na gankach domów, trzecia poszarpana wybiegła na drogę, za nią podążały drapieżniki. Widzieli to mieszkańcy i dzieci idące rano do szkoły. Wilki zupełnie nie reagowały na krzyki ludzi i kiedy poraniona łania uciekła do lasu, podążyły za nią. Po południu miejscowy leśniczy znalazł resztki zwierzęcia jakiś kilometr od wsi – relacjonuje Edward Marszałek z Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Krośnie. Dwa dni wcześniej przy tej samej drodze do Łopienki znaleziono niemal doszczętnie zjedzoną łanię. Na terenie nadleśnictwa Cisna wilki w ostatnich dniach zagryzły pięć łań. Drapieżniki dały się we znaki również w Stuposianach. Nadleśniczy Jan Mazur szacuje, że w ciągu ostatnich dwóch tygodni wilki zagryzły dwa jelenie o potężnych porożach, dwie łanie, dwa dziki i dwa cielaki jelenia".

Moją uwagę zwrócił charakterystyczny dla bieszczadzkich artykułów o wilkach język. Wilki nie polują, nie zjadają, ale „zagryzają". Te „drapieżniki dają się we znaki", bo zagryzły jelenie. A co niby mają jeść, żeby nie dawać się we znaki? Korę z drzew? Trawę? Mniejsza z tym. W tekście zaintrygował mnie też opis polowania na oczach ludzi, i to we wsi. Brzmi tak, jakby doszło do czegoś zaskakującego: wilki przestały się bać ludzi, skoro gonią jelenie nawet w ludzkich osadach. Tylko że nie ma w tym niczego nietypowego. Nurii i mnie zdarzyło się ściągać zabitego przez wilki jelenia niemal z ganku domu. Wilki gonią ofiarę i zabijają ją przy jakiejś przeszkodzie – czasami tą przeszkodą jest płot albo dom. Jeleń, uciekając przed wilkami, walczy o życie i może wbiec do wsi, bo w takiej chwili nie w głowie mu unikanie ludzi. Wilki z kolei, goniąc go, są tak podniecone, że na niewiele rzeczy zwracają uwagę. I jelenie, i wilki bardzo często przebywają w pobliżu ludzi. Te drugie nawet częściej, niż nam się wydaje. Tropiąc je, często znajdowałem się o kilkanaście, a nawet kilka metrów od ludzkich siedzib. Zapewne mieszkańcy wsi nie zdawali sobie sprawy z tego, że gdy śpią, tuż pod ich oknami przechodzą wilki. To, że wilki zbliżają się do ludzi, nie jest niczym nowym ani nietypowym. I nie oznacza, że drapieżniki za chwilę zaczną napadać na ludzi albo na zwierzęta gospodarskie. One po prostu wędrują albo odpoczywają obok nas, bo często nie mają innej możliwości.

Następnego dnia po przeczytaniu tego artykułu wybierałem się do stojącej tuż przed domem kryjówki, z której fotografuję żurawie. Z domu wyszedłem o świcie. Żurawie już wylądowały na łące daleko pod lasem. Otworzyłem furtkę, żeby przejść przez szosę i wyjść na łąkę, gdy po drugiej stronie drogi śmignął mi wielki jeleń. „No tak. To ten od Poleszuków", pomyślałem. Dwa dni wcześniej widziałem, jak przed dom moich sąsiadów i przyjaciół

(kuzynów Jarka zresztą) podchodziły jelenie. Ela i jej córka Basia zaprzyjaźniły się z pewnym żubrem, którego rozpuszczają marchewką i jabłkami. Wystarczy, że któraś z nich po południu pojawi się przed domem, a żubr już do nich idzie. Czego nie zje, to dojadają jelenie. Więc gdy ten wielki jeleń przebiegł mi niemal przed nosem, wcale się nie zdziwiłem. Podejrzewałem, że ktoś go spłoszył. Podejrzanym był Chester, należący do Poleszuków pies rasy malamute. Zaprzyjaźniony żubr czasami się bawi z Chesterem, ale płochliwe jelenie go unikają. Wiadomo, wygląda jak wilk. Co jakiś czas pojawiają się nawet w internecie zdjęcia Chestera z żubrami, robione przez mało świadomych turystów, podpisane: „Wilk i żubry w Teremiskach". Prostuję, ale nie zawsze, bo bardzo mnie bawi nazywanie staruszka Chestera wilkiem. Nie myliłem się. Gdy wyszedłem na łąkę, od razu dostrzegłem psa sąsiadów. Leżał sobie plackiem tuż przy szosie naprzeciwko domów, tam gdzie zwykł leżeć i obgryzać kości, które dostaje od swojej pani. Te odstające szpiczaste wilkowate uszka i szara jak u wilka sierść – nie sposób pomylić Chestera z żadnym innym psem. „Pogonił jelenia, a teraz odpoczywa w swoim ulubionym miejscu" – pomyślałem i ruszyłem w kierunku mojej kryjówki do robienia zdjęć, gdy nagle zza płotu, ze swojego podwórka wyszedł na szosę… Chester. Tu Chester, tam Chester?! Co jest? Zatrzymałem się zdumiony. I nagle zrozumiałem: „Matko Boska, przecież to przyczajony wilk!". Zrzuciłem plecak, z którego wyciągnąłem aparat, ale było już za późno. Wilk zerwał się i biegiem ruszył do lasu. Puszysty ogon zamajaczył mi tylko przed brzózkami na końcu wsi. Widać wilki polowały w naszej okolicy na jelenie, a ja im to polowanie niechcący przerwałem.

Ponieważ żurawie były już coraz bliżej, wszedłem do swojej kryjówki. Po chwili usłyszałem z lasu wilcze wycie. Reszta watahy

musiała być niedaleko. Zdążyłem jeszcze zadzwonić do Eli i Marka Poleszuków.

– Mieliście wilka pod domem – powiedziałem.

Po kilku godzinach, kiedy już wyszedłem z ukrycia, dokładnie zrelacjonowałem im całą przygodę.

– Ale super! – byli zachwyceni i podekscytowani. Wilk pod domem? Czemu nie!

Oni tu naprawdę nie boją się wilków.

• • • • • •

SZCZENIĘTA na poligonie

• • • • • •

Był kwiecień 1994 roku. Mieszkałem jeszcze wtedy w Warszawie i od trzech lat pracowałem w „Gazecie Wyborczej", w której zajmowałem się przyrodą. Pewnego dnia zadzwonił do mnie Henryk Okarma.

– Zbieraj się! Jedziemy na Białoruś! Taka okazja może się nie powtórzyć. To jedyne miejsce w Europie, no, może oprócz Rosji, gdzie potrafią namierzać wilcze gniazda, a w dodatku robią to legalnie i co roku. – Henryk nie musiał mnie długo zachęcać. Mieliśmy jechać razem z ekipą filmową z Czołówki, znanej firmy robiącej filmy dokumentalne. A najważniejsze, że wyjazd miał zorganizować Wadim Sidorowicz. Wadima poznałem już wcześniej. Jest naukowcem Białoruskiej Akademii Nauk, bardzo znanym i cenionym, a zajmuje się drapieżnikami. Poza tym jest też traperem, i to takim najprawdziwszym. Kiedy w Puszczy trzeba było zbadać, ile norek, wydr i bobrów mieszka przy tutejszych rzekach i rzeczkach, nasi naukowcy wynajęli Wadima.

SZLIŚMY PO WIELKIM JEZIORZE pokrytym dywanem z mchów.

A on pontonem i na nartach pokonał te wszystkie rzeczki, zimą wpadał do wody, taplał się w błocie, ale norki, wydry i bobry policzył bardzo szybko. Mam za to do niego wielki szacunek. Gdy kiedyś sam próbowałem pokonać Leśną, jedną z dzikszych rzeczek Puszczy, to po stu metrach nadziałem się na jakąś gałąź i zatopiłem kajak. Poza tym o Wadimie krążyły legendy mówiące, że wszystko potrafi wytropić i złapać, a jak trzeba, nawet obedrzeć ze skóry, którą to skórę sprzeda, żeby sfinansować swoje badania. Podobno ma skrytki w różnych częściach Białorusi, w których pod zwalonymi drzewami, wykrotami albo kamieniami zawsze ma gotowy potrzask i garnek, by ugotować to, co w ten potrzask złapie. Łapanie i zabijanie zwierząt, oczywiście, bardzo mi się nie podobało, ale byłem gotów mu wybaczyć, skoro Wadim nie robił tego dla zabawy, ale żeby zapłacić za kosztowne analizy naukowe albo po prostu zjeść. A jadł, jak głosiły plotki, wszystko: bobry to było

dla niego normalne danie, a raz raczył się nawet gotowanym rysiem. Ale pamiętam, jak kiedyś usiedliśmy razem do obiadu podczas konferencji naukowej w Białowieży. Podano flaki, a Wadim na ich widok z obrzydzeniem pokręcił nosem.

– Wadim, przecież ty jadłeś wszystko? – zdziwiłem się.

– No tak, ale jak można jeść wnętrzności?! Fuj! W życiu nie wezmę do ust tego obrzydlistwa – skrzywił się i odsunął talerz.

Jak przystało na prawdziwego trapera, Wadim jest też genialnym tropicielem. Potrafi rozpoznać tropy dwóch niemal identycznych gatunków, czyli norki amerykańskiej i norki europejskiej. Białoruś obok Hiszpanii i Estonii jest jednym z trzech krajów, w których żyje ten bardzo już rzadki gatunek.

– Nie wierzyłem, że to w ogóle możliwe, ale on patrzył na odciski łapek i mówił: „Tu się złapie norka amerykańska, a tam europejska". I tak było – opowiadał mi pewien białowieski naukowiec.

Więc jeżeli Wadim miał organizować tę wilczą wyprawę, wiedziałem, że warto jechać. W Warszawie zapakowałem się do furgonetki filmowców wraz z ekipą, którą dowodził reżyser Marek Widarski. Ruszyliśmy najpierw do Białowieży po Henryka, a potem do Mińska po Wadima. Żeby zobaczyć namierzanie wilczych gniazd, musieliśmy dotrzeć daleko na północny wschód kraju, aż pod Witebsk.

To był dziwny czas na Białorusi. Państwo powstało zaledwie cztery lata wcześniej po rozpadzie ZSRR. Strażnicy na granicy w Czeremsze mieli biało-czerwono-białe naszywki na rękawach, a na czapkach herb Pogoni. Ta białoruska Pogoń różni się tym od litewskiej, że koń pod jeźdźcem unoszącym miecz ma opuszczony ogon. Poza tym wszędzie dominowały jeszcze sowieckie symbole. We wsiach, które mijaliśmy, do drzew były przybite czerwone pięcioramienne gwiazdy wycięte z blachy. Obłaziła z nich

czerwona farba i wydawało mi się, że za chwilę będzie po nich. Ale wiosną 1994 roku zaczynała się właśnie kampania wyborcza, która w lipcu miała wynieść na urząd prezydenta byłego dyrektora sowchozu i energicznego młodego polityka Aleksandra Łukaszenkę. Nowy prezydent rok później przywrócił sowieckie symbole i zakazał używania biało-czerwono-białej flagi oraz znaku Pogoni.

Dla wilków nie miało to specjalnego znaczenia – te, czy to na Białorusi sowieckiej, czy niepodległej, czy też łukaszenkowskiej, były i nadal są tępione z tą samą zawziętością. Traktuje się je tu jak szkodniki. Za zabicie dorosłego zwierzęcia rządowa organizacja łowiecka w 1994 roku płaciła myśliwemu około 60 dolarów. Za zabicie szczeniaka połowę tej sumy, tylko że szczeniaków może być w gnieździe nawet dziesięć. W tamtych czasach na Białorusi to były zawrotne sumy. Gdy pod byle pretekstem zatrzymała nas milicja drogowa, wręczaliśmy dowódcy 5, a może 10 dolarów łapówki, a on był tak szczęśliwy, że obiecał załatwić ze wszystkimi posterunkami na drodze do Mińska, żeby dały nam spokój. Nie wiem, czy tak zrobił, ale do Mińska do Wadima dojechaliśmy bez kłopotu. Potem razem z nim ruszyliśmy do witebskiej obłastii.

Nocą dojechaliśmy do małej wioski z drewnianymi chałupkami stojącymi przy piaszczystej drodze. Jedna z nich okazała się domem Wiktora, strażnika łowieckiego i tropiciela wilków oraz przyjaciela Wadima. O tym, że Wiktor jest strażnikiem, świadczyła bardzo znoszona ciemnoszara mundurowa marynarka z zielonymi patkami na kołnierzu i rękawach. Na każdej z patek widniał wytarty znak radzieckiego strażnika-leśnika, złoty sierp i młot w liściach dębowych. Wiktor okazał się niezwykle sympatycznym człowiekiem o blond czuprynie i jasnoniebieskich szczerych oczach. Poczęstował nas na powitanie białoruską specjalnością: kiszonym

sokiem z brzozy i smażonym szczupakiem. A podając jedzenie, zapewniał:

– Nie ma sprawy, będą wilki.

Kiedy o nich mówił, nie było w nim zachwytu ani podziwu dla zwierząt, które ja traktowałem zawsze z szacunkiem. Nie padały też z jego ust słowa w rodzaju „bestia", jakie często słyszy się od naszych myśliwych. Ot, po prostu są wilki i jest Wiktor, który ani ich nie kocha, ani nie nienawidzi. Wiktor po prostu wybiera szczenięta, bo musi jakoś utrzymać rodzinę. Od razu go polubiłem. Nawet przez myśl mi nie przeszło, żeby go oskarżać o mordowanie wilków albo dowodzić mu, że to, co robi, jest złe. Jeżeli już, winni są ci, którzy za to płacą.

– W zeszłym roku miałem około dwudziestu szczeniąt. Trzy gniazda – mówi. Brzmi to tak normalnie, jakby opowiadał o zbieraniu grzybów.

Kiedy rozmawialiśmy o czekającej nas wyprawie, zawsze kończyliśmy na tym, że Wiktor dociera do gniazda, ładuje szczeniaki do plecaka, a ja to fotografuję. I tyle. Bałem się go zapytać, co zrobi ze znalezionymi szczeniakami. Jednak w końcu się przełamałem. Dowiedziałem się, że Wiktor oczywiście je zabije, jak to zawsze robi, a skórki odniesie do punktu łowieckiego w pobliskim miasteczku, czyli czegoś w rodzaju naszego punktu skupu dziczyzny. Tam dostanie za nie nagrodę i wróci do siebie na wieś.

Ciężko mi się tego słuchało. Przecież nie mogłem pozwolić na to, żeby szczeniaki zginęły – i to jeszcze na naszych oczach. Po cichu ustaliśmy z Henrykiem i Markiem, filmowcem, że jak tylko Wiktor znajdzie gniazdo, to my powyciągamy nasze dolary i zapłacimy mu, ile się da. Może zostawi choć kilka szczeniaków. Zawsze to coś. No dobrze, kombinowaliśmy dalej, ale jak my mu zapłacimy, a on przy nas zostawi szczeniaki, a potem wróci i je zabierze? Hm, mogło tak

się zdarzyć. Ja liczyłem jednak na to, że Wiktor jest po prostu uczciwy. Nie wiedziałem jeszcze, że niewybranych od razu szczeniaków i tak nie ma szans odnaleźć. Dopiero później wytłumaczył mi to Wadim.

Ruszyliśmy do lasu piaszczystą drogą wyjeżdżoną przez czołgi. Tak się złożyło, że las, do którego zabrał nas Wiktor, znajdował się na byłym poligonie. Olbrzymim. Wkrótce okazało się, że nie cały poligon został zlikwidowany. Połowa była już faktycznie nieczynna, ale na drugiej połowie w najlepsze trwały gry wojenne. Zorientowaliśmy się, że trenuje tam wojsko, dopiero gdy ekipa filmowa usiłowała wjechać samochodem do lasu z drugiej strony. Ale na razie szliśmy przed siebie drogą wyjeżdżoną przez czołgi, nieświadomi tego, co się dzieje w pobliżu. Dużo później dowiedziałem się, że wilki dość często wybierają poligony. Sabina Nowak ze Stowarzyszenia dla Natury „Wilk" w zachodniej Polsce opowiadała mi, że wilki, podobnie jak wiele innych zwierząt, poza okresami ćwiczeń wojskowych mają tam spokój. Strzeżony przez wojsko poligon jest więc czymś w rodzaju wielkiego parku narodowego. Nikt nie urządza polowań, nie ma wycinki drzew, a grzybiarze też pojawiają się rzadko. Na poligonie, na który szliśmy, wilki miały spokój tylko pozorny, bo obok mieszkał przecież Wiktor.

Zanim zbliżyliśmy się do lasu, nasz przewodnik wyciął sobie kijek – półtora metra prostej tyczki z leszczyny, a może wierzby. Zastanawiałem się, po co mu to. Bardzo szybko okazało się, że tropiąc wilki, właśnie dzięki tej tyczce w ogóle nie musi się schylać. Jeżeli wydawało mu się, że jakiś listek albo trawa zasłania trop, odsuwał go delikatnie końcem tyczki. Tak samo robił, kiedy chciał nam coś pokazać. Ale najpierw długo niczego nam nie pokazywał i w ogóle nic nie mówił. Szedł w milczeniu ze wzrokiem

wbitym w ziemię i co jakiś czas odsuwał coś tą swoją tyczką. Tylko gdy coś go naprawdę zainteresowało, schylał się albo kucał. Na przykład żeby zobaczyć, na jakiej wysokości złamana jest trawka albo jakie zwierzę strąciło z roślin rosę. Taki ślad na rosie jest bardzo wyraźny, ale w życiu nie potrafiłbym ocenić, czy zostawił go wilk, czy może sarna albo dzik. A Wiktor kręcił głową i mruczał, że nie wilk. Pierwszego bardziej rozbudowanego komentarza doczekaliśmy się na piaszczystej drodze po wielu godzinach marszu.

– Ojciec i córka – powiedział Wiktor i kijkiem wskazał wilcze tropy. Rzeczywiście, wilki były dwa. Na piasku widać było odciski łap: jedne większe, drugie mniejsze. Ale skąd Wiktor wiedział, że jeden ślad pozostawił ojciec, a drugi córka?

– Kiedy trzy lata temu trafiłem na poligonie na wilcze gniazdo, zabrałem wszystkie szczeniaki poza jedną suczką. To właśnie ona wędruje teraz z ojcem – mówił Wiktor. Kiedy zapytałem, dlaczego zostawił suczkę, odpowiedział, że zrobił to po prostu dlatego, że był ciekawy, co się stanie. Wydawało mi się nawet, że był zadowolony z eksperymentu. Kiedy mówił „córka", a raczej „córeczka" (doczka), i patrzył na odciski łap, to odniosłem wrażenie, jakby cieszył się z tego, że szczeniakowi udało się przeżyć...

TRAFILIŚMY NA POGRYZIONY SZKIELET zabitego prawdopodobnie przez wilki łosia.

– Co z ich matką? – dopytywałem się, ale Wiktor nie odpowiedział, tylko bacznie przyglądał się tropom. Próbował ustalić, skąd idą i dokąd zmierzają. W końcu patykiem wskazał niewielkie wzgórze. Kolejny wilczy trop odnalazł w kałuży. Wielką łapę z wyraźnymi pazurami odbitą w błocie. Pokiwał głową z zadowoleniem. Poszliśmy przez trawy, w których z szelestem uciekały nam spod nóg żmije. Widziałem tylko ich grube ciała z czarnym zygzakiem, jak śmigają między trawami, a czasami migał mi tylko cienki ogonek. Żmije były szare i miedziano-brązowe. W życiu nie spotkałem tylu w jednym miejscu. Ciekawe, że były to jedyne żywe zwierzęta, które zobaczyłem w tych niezwykle dzikich, jak mogłoby się wydawać, lasach. Nie było żadnego śladu po łosiach, jeleniach czy dzikach. Nie znaleźliśmy nawet żadnego tropu, kupy czy obgryzionej gałązki. Później trafiliśmy co prawda na pogryziony szkielet zabitego prawdopodobnie przez wilki łosia, ale jak na dziesiątki kilometrów, które przeszliśmy z Wiktorem, było

to niewiele. W tym samym czasie w Puszczy Białowieskiej jelenie spotykało się właściwie przy każdym wejściu do lasu. Wadim wytłumaczył nam to tak:

– Jest biednie, a ludzie chcą jeść. Ostatnio zjedzono tu nawet niedźwiedzia, chociaż jest to gatunek u nas chroniony.

Przez ostatnie 20 lat niewiele się pod tym względem na Białorusi zmieniło. Co jakiś czas czytam stamtąd wiadomości o wilkach, które wzbudzają panikę we wsiach, porywając psy nawet za dnia. Wcale się im nie dziwię. One po prostu są głodne. Duże ssaki, które powinny być ich ofiarami, a których i tak jest niewiele, lądują w garnkach okolicznych mieszkańców. I tak koło się zamyka: Białorusini tępią wilki, bo te sprawiają im poważne kłopoty: atakują wiejskie zwierzęta. Jednocześnie zjadają wilkom sprzed nosa łosie oraz jelenie. Wilki nie mają więc na co polować. Szczególnie że przetrzebionym przez ludzi watahom, złożonym z dwóch, trzech osobników, trudno jest dopaść nieliczne dzikie zwierzęta. Efekt: im bardziej Białorusini tępią wilki, tym bardziej stają się one kłopotliwe. Podobny mechanizm zapewne działał w Europie Zachodniej w czasach, gdy wybijano wilki. Im bardziej je wybijano, tym więcej kłopotów sprawiały, aż w końcu wybito je do cna.

Wiktor oczywiście nie zauważał żmij. Bacznie zaglądał za to do każdego z wielkich kwadratowych rowów, które mijaliśmy, a które służyły niegdyś za stanowiska czołgów. W tym nic, w następnym też nic. Zajrzeliśmy tak chyba do dziesięciu dziur. Widać było, że w kilku wilki próbowały kopać. Czyżby chciały zrobić norę? Ale ani nory, ani szczeniąt nie było. Zresztą, jak wytłumaczył mi idący obok Wadim, wilki na Białorusi rzadko rodzą młode w jamach czy norach. Wystarczy im dołek pod wywróconym drzewem albo wykrotem, małe zagłębienie, to wszystko. Nie wyścielają też specjalnie gniazda. Młode spędzają

pierwsze tygodnie życia, leżąc na ziemi, piasku, mchu czy trawie. W Polsce, gdzie czują się bezpieczniej, robią podobnie, ale mogą też kilka lat z rzędu korzystać z tych samych nor. Znałem kiedyś pewien piaskowy wzgórek nad Biebrzą, w którym wilki wykopały nory i używały ich przez kilka kolejnych lat. Takie miejsce bardzo trudno namierzyć, bo drapieżniki zachowują się przy nim nadzwyczaj ostrożnie.

Jedyny ślad po wilkach to wilczy włos, który Wiktor wypatrzył na krzaczku. Zwierz musiał tędy przechodzić. Z kolei Henryk znalazł coś, co nie miało nic wspólnego z wilkami – kawałek rakiety ze statecznikami ku górze, który sterczał wbity w ziemię i dobitnie świadczył o tym, że część poligonu, po której chodziliśmy, nie była wcale nieczynna. Weszliśmy w las i natrafiliśmy tam na obgryzioną przez wilki łopatkę łosia. Ślad był jednak zbyt stary, żeby zainteresował Wiktora. Dalej zrobiło się grząsko, więc skacząc z kępki na kępkę, powędrowaliśmy przez bagna na pobliską wysepkę. Tu Wiktor pokazał nam okopy, w których znalazł szczeniaki. Były to płytkie rowki pod świerkami. Tym razem niczego tam nie dojrzeliśmy. Zresztą Wiktor nie spodziewał się nawet, żeby wilki, którym zabrano szczenięta, w kolejnych latach wracały w to samo miejsce. Najprawdopodobniej gniazdo było kilometr albo i kilka kilometrów dalej.

Wilczki rodzą się ślepe i maleńkie. Kiedy przychodzą na świat po trwającej nieco ponad dwa miesiące ciąży, ważą od 0,3 do 0,5 kilograma i mają miękkie, ciemne futerko. Wilczyca odgryza pępowinę i zjada ją razem z łożyskiem, tak jak robi po porodzie większość ssaków. Łożysko jest niezwykle bogate w substancje odżywcze. Matka, która przez najbliższy tydzień nie będzie jadła, wzmacnia się w ten sposób. Poza tym to sposób na pozbycie się wydzielającego intensywne zapachy łożyska – gdyby je

pozostawiła, byłoby to wskazówką dla wroga, jak dotrzeć do szczeniąt. Wilczyca karmi maluchy mlekiem, które jest bogatsze w tłuszcze i białka od mleka psiego. Od trzeciego tygodnia życia szczenięta mogą jeść także mięso, które przynoszą im we własnych żołądkach rodzice (głównie matka), a czasami także kuzyni. Zwracają pokarm, żeby maluchy mogły się pożywić ciepłym, pogryzionym i lekko nadtrawionym mięsem. Urodzone w maju wilczki na jesieni są już na tyle duże, że mogą polować z innymi członkami watahy. Tylko że akurat na Białorusi, gdzie byliśmy, mało któremu udaje się dożyć tego czasu. Wilki bronią się, jak mogą, przed prześladowaniami ze strony ludzi. Nie tylko zmieniają miejsce wychowania młodych, ale też rodzą ich więcej. Tak jakby chciały nadrobić straty, gdy jakimś cudem gniazdo uniknie splądrowania przez ludzi. U nas, w Polsce, wilczyca rodzi najczęściej do sześciu młodych, a tu, na Białorusi – jak twierdzi Wiktor – w miocie znajduje się ich zwykle około dziesięciu.

Zastanawiacie się, czy komuś takiemu jak Wiktor grozi niebezpieczeństwo, czy wilk rzuci się na niego w obronie dzieci? Raczej nie. Wilczyca nie zrobi tego, co zrobiłaby prawie na pewno niedźwiedzica, klępa (łosiowa mama) lub locha (dzicza mama). W raporcie o wilczych atakach, przygotowanym na zlecenie Norweskiego Instytutu ds. Przyrody przez europejskich naukowców zajmujących się wilkami, opisany jest tylko jeden taki przypadek, z Rosji. Atak przy wilczej norze nie polegał na heroicznej szamotaninie i walce na śmierć i życie. Skończył się na jednorazowym ugryzieniu. W poradniku wydanym w 1957 roku przez naczelnego komisarza do spraw tępienia wilków (taka instytucja w Polsce istniała) można przeczytać zapewnienia, że wybierającym szczenięta nic się nie stanie i że komisarz nie zna przypadków ataku w obronie gniazda. Tylko młoda wadera może

z bliska przyglądać się atakowi na jej gniazdo – co można wykorzystać i ją zastrzelić. Stara doświadczona wilczyca będzie z daleka albo z ukrycia obserwowała, jak giną jej młode. Strach przed ludźmi jest tak wielki, że nie są w stanie bronić swoich dzieci.

Minął kolejny dzień i Wiktor wciąż nie znalazł gniazda. Był bardzo zawiedziony i następnego dnia zabrał ze sobą jeszcze jednego tropiciela. Tuż za wsią znów znaleźli tropy wilków. Prowadzili nas bagnistą drogą, przez podmokły las. Wiktor i jego towarzysz czasami się zatrzymywali, kucali i w milczeniu ćmili papierosy. Potem jeden z nich patrzył na drugiego i mówi „niet" lub „da" – tak jakby czytał w myślach towarzysza i się z nim zgadzał lub nie. Dalej następowało krótkie „pajdiom" i tropiciele ruszali w drogę, a my za nimi.

Im bardziej byłem zmęczony, tym częściej myślałem, że to bez sensu tak chodzić po lesie i zaglądać pod liście. Niby dlaczego gniazdo ma być pod tym wykrotem, a nie pod takim samym kilometr dalej? Zaczynałem podejrzewać, że nie ma sposobu na jego odnalezienie. Jednak okazało się, że Wiktor nie liczy na przypadek, ale ma system.

– Wilczyca, kiedy rodzi młode, przez pewien czas nie je, ale pije. Wynajduje miejsce z wodą, najbliższe przy norze, i tylko tam chodzi, żeby się napić. Wydeptuje ścieżkę, którą przeciętnemu człowiekowi trudno by było zobaczyć, ale ja taką ścieżkę umiem rozpoznać wśród wielu innych tropów. Tyle że muszę to zrobić w ciągu pierwszych dwóch tygodni po urodzeniu – wyjaśnił.

Pomyślałem, że Wiktor jest takim europejskim Indianinem. Ktoś, kto tropi zwierzęta, rozumie, co mam na myśli. Łatwo jest tropić na śniegu albo na piasku. Ale w lesie na przełomie kwietnia i maja znaleźć ścieżkę wydeptaną przez wilka – to jest nie lada osiągnięcie. Wilk to przecież nie dzik albo jeleń, którego ślady są widoczne. Wilk

chodzi delikatnie i jeżeli ziemia jest naprawdę miękka, pojawia się szansa na znalezienie odcisku łapy, to wszystko. A ścieżka, o której mówił Wiktor, to po prostu złamane trawki i trochę więcej strąconej rosy. Wydeptywanie ścieżki trwa. Żeby Wiktor mógł ją zauważyć, wilczyca musi chodzić do wody od kilku dni. Jak Wiktor się spóźni i wilczki mają dwa tygodnie, przychodzą do wody z różnych stron, więc główna ścieżka staje się niewidoczna.

– A co się stanie, jeśli pokręcisz się przy gnieździe, ale nie zabierzesz szczeniąt? – pytam Wiktora.

– Co się stanie? Wilki znikną. Jak tylko odejdę od gniazda, nie zabrawszy szczeniaków, natychmiast wróci do niego wilczyca i przeniesie dzieci w inne miejsce. Zanim powstanie wyraźna ścieżka od tego nowego miejsca do wody (jeżeli w ogóle powstanie), młode podrosną na tyle, że będą już w stanie chodzić. Wilki będą stale zmieniać miejsce pobytu i szansa na ich odnalezienie zmaleje. Więc albo młode zabiera się od razu, albo nie ma po co po nie wracać – wyjaśnił mi Wiktor.

Kolejne kilometry po lesie dawały nam solidnie w kość. Dziennie robiliśmy zawsze dobrze ponad 30. Chciałem, żeby Wiktor znalazł wreszcie te wilki. Mimo że wiedziałem, co się z nimi stanie. Nie chodziło nawet o to, że nie czułem nóg, ale zaczynałem żywić do Wiktora coś w rodzaju szacunku. Wybieranie szczeniąt to była nie tylko ciężka praca fizyczna, ale też zajęcie wymagające olbrzymiej wiedzy i spostrzegawczości. No a poza tym mieliśmy przecież plan. Zapłacimy mu za zostawienie wszystkich albo części szczeniaków, a on – jak sam mówi – gdy je raz zostawi, nigdy już ich nie znajdzie. Ale, niestety, w kolejnych przejrzanych okopach, wykrotach, stanowiskach czołgów nic nie znaleźliśmy. Wiktorowi nie udało się odnaleźć ścieżki. Ani tego dnia, ani następnego. Nasza wielka wilcza wyprawa miała spalić na panewce. Może

przyjechaliśmy za wcześnie? Była połowa kwietnia, wilki na Białorusi, podobnie jak w Polsce, rodzą pod koniec kwietnia i na początku maja. W maju na świat przychodzą młode sarny i jelenie. Drapieżniki dokładnie w tym samym czasie, dzięki czemu ich rodzicom łatwiej je wykarmić.

Brakiem wilków szczególnie zawiedzeni byli filmowcy. Nie dość, że musieli się tyle nachodzić po lesie, to jeszcze dźwigali ze sobą ciężki sprzęt. A żadnego wilka nie sfilmowali. Wadim, organizator wyprawy, ciągle tłumaczył, że może zjawiliśmy się za wcześnie. A poza tym z przyrodą nigdy nic nie wiadomo. Nadzieja przyjechała jasnoniebieską wołgą. Wołga zaparkowała przed chatką, w której mieszkaliśmy.

BIAŁORUŚ TO BAGIENNE KRÓLESTWO: jedna piąta kraju to mokradła.

Kierowca został w samochodzie, a do środka weszło trzech facetów w skórzanych kurtkach. Był to szef miejscowej organizacji łowieckiej, szef lokalnego banku i kierownik pobliskiego sowchozu. Lokalna elita. Przywieźli wódkę, słoninę i świeżo zerwany czosnek niedźwiedzi, znakomicie nadający się na zagrychę. Bardzo chcieli się z nami zaprzyjaźnić, szczególnie szef sowchozu, który z dumą opowiadał, ile ziemi, ludzi i traktorów ma pod sobą.

– I możemy założyć spółkę z waszym kapitałem, bylebym tylko zajmował w niej odpowiednie stanowisko. Co najmniej dyrektora do spraw technicznych – przekonywał nas, otwierając zakapslowane

butelki wódki jednym uderzeniem wielkiej dłoni w denko. Nikt z nas nie miał ani kapitału, ani ochoty na spółki. Wiktor zresztą był przerażony tym towarzystwem i kucnąwszy w kącie, ćmił tam papierosa za papierosem.

– A wilka możecie załatwić? – spytał w końcu ktoś z ekipy filmowej.

– Jak trzeba wilka, to będzie wilk – odpowiedział chyba szef myśliwych. Następnego dnia byliśmy już we wskazanej przez niego wiosce. Na tyłach jednego z domów stała klatka, a w niej uwiązana na łańcuchu siedziała chuda i przerażona wilczyca. Do niewoli trafiła zapewne jako wybrany z gniazda szczeniak, któremu darowano życie. Kiedy tak na nią patrzyłem – chudą, złamaną i zalęknioną – wcale nie byłem pewien, czy podarowane życia nie było gorsze od szybkiej śmierci. Właściciel zawlókł ją na łańcuchu do pobliskiego lasku i tam pozwolił jej trochę pobiegać. Wystarczyło, żeby zawołał i natychmiast reagowała. Nie było w niej nic z pewnego siebie i rozbrykanego Kazana, ani nawet Wikiego, który przecież swoje przeżył i był bardziej uległy niż brat. Ta białoruska wilczyca była smutnym wygłodzonym cieniem wilka. Może dlatego dawało się nią tak łatwo manipulować.

Ostatniego dnia pobytu Wadim zabrał Henryka i mnie na bagna. Wiktor został w swojej wsi. Białoruś to bagienne królestwo: jedna piąta kraju to mokradła. Właściwie szliśmy po wielkim jeziorze pokrytym mchem. Na początku chodzenie po uginającym się i bujającym „dywanie" było nawet zabawne, bo czułem się jak w wesołym miasteczku. Ale po kilometrze lub dwóch przestało mnie to cieszyć, a po pięciu czułem, że mam dosyć. Przy każdym kroku trzeba było wyciągać nogę, która zapadała się w mchach. No i ile można się tak bujać? Błędnik szaleje. Na dodatek trzeba było

uważać, na jaki mech stawia się stopy, bo jak się nadepnęło na rudy, można było się znaleźć w głębinach jeziora.

– Przebijasz dywan, wpadasz, on się zamyka i śladu po człowieku nie ma – uśmiechał się Wadim. Oprócz mchów gdzieniegdzie rosły małe sosenki. Drzewka nie były wyższe niż dwa metry, a mogły mieć nawet kilkaset lat. W tym ubogim środowisku nie miały szansy urosnąć większe. Podobnie jak okonie – jedyne tu ryby, które skupiały się w miejscach, gdzie mchy się rozstąpiły, tworząc małe oczka wodne. A ponieważ ryby nie bardzo miały co jeść, zjadały się nawzajem.

– Dlatego tutejsze okonie też są małe i stare – wytłumaczył nam Wadim. Przed nami była wystająca z morza mchów i sosen wyspa porośnięta wielkimi świerkami. Do tej pory lasy na Białorusi nie zrobiły na mnie specjalnego wrażenia. Może i były dzikie, ale brakowało w nich wielkich drzew, które znałem z Puszczy. Na tej wysepce było inaczej. Wielkie drzewa i wykroty robiły niesamowite wrażenie. Wadim miał nadzieję, że na którejś z nich znajdziemy wilki. Nagle zrobiło się zimno i nieprzyjemnie. Zaczął padać śnieg. Wadim wyciągnął zza pazuchy olbrzymią piersiówkę.

– Spirytus. Trzeba się rozgrzać! – wyjaśnił i butem zrobił w mchach dziurę, która napełniła się natychmiast brązową wodą o konsystencji zupy, pełną przeróżnych paprochów. Zmieszał ją w kubku ze spirytusem i podał nam.

– Pijcie – zachęcił. Widząc, że trochę się brzydzę tego bagiennego drinka, dodał: – To dobra woda. Mchy mają właściwości bakteriobójcze. Partyzanci, gdy zostali postrzeleni, zatykali sobie nimi rany.

„Z pewnością właściwości bakteriobójcze ma spirytus", pomyślałem i łyknąłem. Raz i potem jeszcze kolejny. Najpierw przestałem się przejmować, po jakim kolorze mchów stąpam,

a potem stwierdziłem, że jest mi tu bardzo dobrze, i zaległem pod jedną z małych sosenek albo brzózek. (Henryk zrobił mi wtedy zdjęcie. Nuria, gdy przyjechała do Puszczy rok później, zobaczyła je wśród innych zdjęć Henryka z Białorusi:

– A ten, co tu leży, to kto to taki? – A to taki nasz kolega, znany dziennikarz, trochę słabo się poczuł – wyjaśnił jej Henryk. Nuria do dziś złośliwie mi przypomina, że tak naprawdę gdy zobaczyła mnie pierwszy raz, byłem kompletnie pijany).

Nie wiem, jak Henryk i Wadim wyciągnęli mnie z tych bagien, ale dali radę. A ja od tego czasu alkoholu w terenie nie tykam.

Wilków oczywiście nie znaleźliśmy.

Przed wyjazdem do Polski pojechaliśmy do miasteczka pożegnać się z szefem miejscowych myśliwych, który załatwił nam sfilmowanie wilka. Urzędował tam, gdzie przyjmuje się skórki z zabitych szczeniaków. Zaprowadził nas do garażu. Takiego na niewielką ciężarówkę. Trochę w nim śmierdziało. Kiedy włączył światło, zdębiałem. Cała podłoga była zasłana głowami wilków. Nie czaszkami, ale właśnie głowami – z uszami, oczami, a nawet wywalonymi z pysków językami. Jedne były świeże, inne, zapewne ze zwierząt zabitych zimą, zaczynały się rozkładać. Żadne wilki, ani dorosłe, ani młode, nie mogły się czuć na Białorusi bezpiecznie. Nawet w parku narodowym.

Wśród myśliwych często się mówi, że wilki idą do nas ze Wschodu. Kiedyś może była to prawda, ale dawno już nie jest. Bogusia Jędrzejewska z Zakładu Badania Ssaków pokazała mi dane, z których wynikało, że natychmiast po polowaniu na wilki w białoruskiej części Puszczy u nas spada ich liczba. Po prostu wilki z naszej części natychmiast zajmują zwolnione terytoria. Watahy, które przechodzą przez granicę, czasami wracają w pomniejszonym składzie.

Wyjechaliśmy z Białorusi w niezłych nastrojach. Filmowcy mogli nakręcić wilka, ja zobaczyłem kawał egzotycznego kraju i ludzi, którzy tropią jak Indianie. A co do szczeniaków, to cieszyliśmy się, że Wiktor ich nie znalazł. Może wreszcie nadszedł ten rok, w którym wilki przechytrzyły Wiktora. Po blisko miesiącu zadzwoniłem do Wadima:

– I co, Wiktor znalazł wilki?

– Tak, w tym roku miał siedemnaście szczeniąt – usłyszałem w słuchawce. – Pierwsze gniazdo znalazł dwa dni po waszym wyjeździe, drugie i trzecie w ciągu dwóch kolejnych dni. Pierwsze było na poligonie, niedaleko tego miejsca, gdzie próbowały kopać nory. Pamiętasz?

• • • • • •

POLOWANIE na wilki

• • • • • •

Na drodze stało zwierzę. I nie było w tym nic dziwnego. Tu, w Puszczy Białowieskiej, często widuję zwierzęta na leśnych drogach. W samym lesie nie tak łatwo coś zobaczyć. Jest tam zbyt gęsto, a poza tym wszędzie pełno zwalonych pni i sterczących niczym olbrzymie parawany wykrotów. Wszystko to znakomite kryjówki, za którymi może się schować dzik, sarna, jeleń, wilk albo ryś. Ba! Wiele razy przeszedłem obok leżącego żubra. Wydawałoby się, że nie sposób nie zauważyć tak wielkiego zwierza. Tymczasem pomylić żubra z wykrotem to rzecz zupełnie normalna. Nawet w tej części lasu, gdzie pełno starych wysokich niczym kolumny drzew, które zwykle rosną rzadko, zobaczenie jakiegoś zwierzaka nie jest łatwe. Prędzej widać oddalający się pędem i niknący między drzewami zadek. Dzikie zwierzę prawie zawsze zobaczy nas pierwsze. Jak nie zobaczy, to wyczuje. A jak nie wyczuje, to po prostu usłyszy, bo nie da się chodzić po lesie tak, żeby liść nie zaszeleścił albo nie trzasnęła pod butem gałązka. Nie da się i już. Wyjątkiem są wietrzne dni, kiedy to cały las szeleści i trzaska, a nasze szelesty oraz trzaski w tym wszystkim giną. Ale wtedy z kolei pojawia się strach, że na głowę zleci nam gałąź.

FLADRY WYGLĄDAJĄ BARDZIEJ jak ozdoba na kościelne uroczystości niż groźne narzędzie eksterminacji.

Najlepiej więc wypatrywać zwierząt na drodze. Człowiek, idąc, nie szeleści, nie łamie gałązek i jeszcze sięga wzrokiem daleko przed siebie. Zwierzę, gdy wychodzi na drogę z gąszczy (i nie jest przepłoszone), zwykle przystaje i się rozgląda. Ludzie też tak zresztą robią. To odruch. Puszcza Białowieska jest usiana drogami – została nimi pocięta z rozkazu carów, a raczej carskiej administracji. Drogi i przecinki są proste jak w mordę strzelił, jak tory kolejowe w Rosji. Podobno przez te drogi w czasie wojny nie było tu za wielu partyzantów, kryli się tylko gdzieś na obrzeżach. Z tego samego powodu nikt tu nie pędzi bimbru w lesie, jak się to robi na całym Podlasiu, tylko po domach. Władza carska, sanacyjna, okupacyjna, milicyjna albo jakakolwiek inna dzięki drogom mogła sprawnie dojechać w najdalsze zakątki Puszczy, a przynajmniej zbliżyć się do nich i je skontrolować. Pocięty drogami jest nawet rezerwat ścisły Białowieskiego Parku Narodowego, czyli najlepiej chroniony

las w Polsce. Jedną z takich dróg jest tryb Masiewski, przecinający wschodnią część rezerwatu i ciągnący się tak prosto, jakby ktoś wyznaczył go, przykładając linijkę z Polany Białowieskiej na południu do wsi Masiewo na północy.

Tamtego wiosennego dnia wędrowałem nim, aby dojść do trybu Niedźwiedziowskiego. Zawdzięcza swą nazwę temu, że w tym miejscu, w najdzikszej części Puszczy w latach 30. ubiegłego wieku stała klatka z niedźwiedziami, które miały się stać dzikie i zacząć żyć na wolności. Chciałoby się powiedzieć: na własną łapę. Skąd taki pomysł? W drugiej połowie XIX wieku administracja carska wydała wojnę drapieżnikom: wilkom, rysiom, niedźwiedziom i wszelkim ptakom drapieżnym. Kiedy latem 1915 roku Rosjanie czmychnęli przed zbliżającą się niemiecką ofensywą i zabrakło w lesie prześladowców, ptaki, rysie i wilki jakoś do Puszczy wróciły albo odbudowały swoje populacje. I tylko niedźwiedzie w sposób naturalny nie mogły do Puszczy wrócić, bo nie żyły nigdzie w pobliżu. Przed wojną władze polskie uznały, że warto te wspaniałe zwierzęta przywrócić Puszczy. Niestety, to się nie udało, program przerwała wojna, a ostatnie niedźwiedzie zginęły w latach 50. Została po nich nazwa drogi. Jednak w tamtej chwili ani niedźwiedzie, ani nic innego nie zaprzątało mi głowy. Maszerowałem dziarsko do dziupli sóweczki, najmniejszej europejskiej sowy, która jest wielkości szpaka i potrafi zabijać ptaki swojej wielkości. Pod dziuplę wysłała mnie Bogusia Jędrzejewska z Zakładu Badania Ssaków, czym byłem zachwycony. Miałem nie tylko zobaczyć sóweczkę, ale też wykonać misję naukową. Moje zadanie polegało na tym, żeby pod tą dziuplą pozbierać wypluwki, czyli kluseczki z kości, piór i sierści, które wypluwa sowa. Taka kluseczka formuje się u niej w żołądku z niestrawionych resztek ofiary i dzięki tym pozostałościom naukowcy mogą badać sowią

dietę. Maszerowałem więc dziarsko z południa na północ z przewieszonym przez ramię aparatem, zaopatrzonym w radziecki trzystumilimetrowy teleobiektyw. Liczyłem na to, że pierwszy raz w życiu zrobię zdjęcie legendarnemu ptasiemu drapieżnikowi. I kiedy to zwierzę wyszło na drogę, nie myślałem o niczym innym, jak tylko o sóweczce. Było daleko, może 200 metrów ode mnie. Trochę szare, trochę rudawe, mniejsze od jelenia, nieco wyższe od dzika, ale nie takie korpulentne jak on. „Sarna? Na pewno sarna", pomyślałem i dalej energicznie szedłem do przodu, bo przecież nie będę opóźniał spotkania z wymarzoną sóweczką z powodu pospolitej sarny. Ale im bliżej zwierzęcia byłem, tym mniej dostrzegałem u niego cech sarnich. Masywna niesarnia głowa miała krótkie niesarnie uszy i była osadzona na zupełnie niesarniej krótkiej szyi. Nie pamiętam, ile to trwało, może kilka sekund, może kilkanaście. Ale z każdą chwilą coraz bardziej docierało do mnie, że nie mam przed sobą ani sarny, ani dzika, ani też małego jelenia. „Ogon! Muszę zobaczyć ogon", przeleciało mi przez głowę. I właśnie wtedy dostrzegłem grubą i całkiem długą kitę opadającą łagodnie wzdłuż tylnych nóg. Na drodze może 50 metrów przede mną stał i patrzył na mnie najprawdziwszy wilk! Nigdy wcześniej nie spotkałem się z wilkiem oko w oko. Poczułem, jak robi mi się najpierw ciepło, a po chwili zimno. Zdrętwiałem, a potem zaczęły mi drżeć kolana. Drżeć ze strachu, oczywiście.

„Uciekać!" – przeleciało mi przez głowę. Ale przez te galaretowate kolana uciekać nie mogłem. Tymczasem wilk nie rzucał się na mnie, żeby mnie zjeść, tylko zupełnie spokojnie stał i patrzył w moją stronę. Mój strach mijał z każdą sekundą, a zastępowała go ciekawość. A gdyby tak zrobić mu zdjęcie? Aparat miałem pod ręką. Niewiele myśląc, podniosłem go do oka i złożyłem się jak do strzału. Ale nie zobaczyłem wilka w kadrze. Drugim okiem

dostrzegłem, jak wyskakuje w powietrze i wykonuje dziwaczną ewolucję: zwija się i nawet nie dotykając ziemi, znika gdzieś w zaroślach. Zatkało mnie. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Płochliwe jelenie albo sarny nie uciekały przed człowiekiem w ten sposób. To był unik jak z filmu z efektami specjalnymi, takiego „Matrixa" albo może z gry komputerowej. Podobnie zachowują się superbohaterowie, chcąc uniknąć uderzenia kuli ze świstem tnącej powietrze. No właśnie, kuli. Bo przecież ja z tym moim aparatem złożyłem się zupełnie jak do strzału. „On chyba bardzo się mnie przestraszył", pomyślałem, gdy w końcu ochłonąłem.

To nie tak, że strach przed człowiekiem jest u większości ssaków i ptaków wrodzony. Na terenach najmniej zmienionych przez człowieka, gdzie naprawdę rządzi się natura, w Arktyce, na Antarktydzie czy na wyspach Galapagos, zwierzęta nie boją się człowieka. To, że się go nie boją, nie oznacza, że chcą się z nim zaprzyjaźnić albo go zjeść. Po prostu tolerują to, że człowiek jest gdzieś obok, i tyle. Nawet tak groźne zwierzęta jak niedźwiedzie polarne, którym zdarza się polować na ludzi, zwykle po prostu mijają ich obojętnie. Sam, a także w towarzystwie Wojtka Moskala, który jest doświadczonym polarnikiem, spotkałem się z nimi kilkanaście razy. Zawsze przechodziły gdzieś obok i nawet nas nie zaczepiały. Tylko raz Wojtek musiał przepłoszyć strzałami w powietrze matkę z podrośniętym młodym, która chciała spenetrować nasze bagaże. Nie jest więc niczym dziwnym to, że w Tatrach niektóre niedźwiedzie nie boją się ludzi i spokojnie zjadają jagody blisko szlaków pełnych turystów. Podobnie jak to, że kozice, świstaki i rzadziej jelenie tuż przy szlakach, pod nosem ludzi, pasą się na tatrzańskich roślinach. Świadczy to jedynie o tym, że w parku narodowym zachowujemy się wobec nich na tyle przyzwoicie, że nie mają powodu, aby się nas obawiać.

MŁODE ZWYKLE SĄ CIEKAWSKIE i raczej nie boją się ludzi.

Z drugiej strony nie jest tak, że zwierzę musi mieć złe doświadczenia z człowiekiem, żeby się go bać. Strach przed ludźmi kumuluje się przez pokolenia i myślę, że matki przekazują go swoim dzieciom. Młode zwykle są ciekawskie i raczej nie boją się ludzi, ale wystarczy, że taki jeleni, lisi albo wilczy maluch zobaczy, jak jego matka albo któreś z dorosłych kuzynów reaguje na widok człowieka strachem, żeby zapamiętać to na całe życie. Strach odkłada się w pamięci przedstawicieli gatunku, a u wilków w Europie są to podkłady olbrzymie, spowodowane prześladowaniami, jakich nie doznał chyba żaden inny gatunek.

Trudno powiedzieć, kiedy przyszły do Polski prześladowania wilków, które w innych częściach Europy praktykowano od wieków. (Mam na myśli obszar obecnej Polski). Oczywiście w naszym kraju także polowano na wilki, ale dla skór. Agnieszka Samsonowicz we wspomnianej już książce „Łowiectwo w Polsce Piastów i Jagiellonów" pisze, że wilcze skóry były równie cenne jak

bobrowe. Jednocześnie wilki nie wzbudzały szczególnego strachu, nie prowadzono więc wielkich akcji tępienia ich. Sytuacja zmieniła się w XIX, a być może już w XVIII wieku.

Trudno prześledzić, jaki był stosunek do tych drapieżników we wszystkich częściach kraju, ale to, co się działo z wilkami w Puszczy Białowieskiej, jest dość dobrze opisane. W 1802 roku car Aleksander I zabronił polować w Puszczy na wszelkie zwierzęta, w tym na drapieżniki. Na tamte czasy była to decyzja dość niezwykła. Tym samym rozpoczął się jeden z najlepszych okresów dla puszczańskich gatunków, w tym wilków. Niestety, trwał krótko. Jak pisze Georgij Karcow, carski kronikarz, w wydanym w 1903 roku dziele „Puszcza Białowieska", po przemarszach i walkach w czasie rosyjskiej kampanii Napoleona, a szczególnie w czasie jego odwrotu spod Moskwy, „w Puszczy zalegały trupy koni i ludzi, często niepogrzebanych lub pogrzebanych zbyt płytko". To sprawiało, że przybyło tu drapieżników, a raczej padlinożerców, jakimi są też wilki. A przynajmniej panowało przekonanie, że w tamtym czasie było ich tu więcej. Ale to nie rozwleczone ludzkie i końskie szczątki sprawiły, że administracja carska postanowiła wydać im wojnę. Poszło oczywiście o żubry, które, podobnie jak wcześniej dla polskich królów, były dla carskiej administracji najcenniejszą częścią Puszczy. W 1827 roku, już po śmierci cara Aleksandra I, do imperialnego ministra finansów i skarbu Georga Kankrina dotarła informacja o tym, że wilki zagryzły cztery żubry. Coś trzeba było z tym zrobić! Nie można przecież pozwolić na to, żeby jakieś wilki zagryzały carskie żubry. Nieukrywający swojej antypatii do tych drapieżników Karcow zaznacza: „(...) przy czym (nie stało się to) zimą, kiedy jak wiadomo, wilki są szczególnie zuchwałe, ale wiosną w kwietniu. W doniesieniach opisywano nawet, że udało się widzieć, jak wilki

prześladują całe stada żubrów". Karcow przytacza opisy ataków: wilki oddzielają od stad słabsze sztuki, potrafią też wpędzić żubra na lód i tam zagryźć ślizgające się zwierzę. Karcow przyznaje z niechęcią, że wilki to „mądre drapieżniki". Według niego cielęta żubrów porywane były przez wilki bez kłopotu, bo wilki potrafią rozproszyć stada, które powinny chronić młode. Mało tego, uciążliwe drapieżniki potrafiły nawet zabić dorosłe byki. Trudno powiedzieć, czy to prawda, czy fantazja autora. Sądzę, że raczej fantazja, bo wilki jeżeli już atakują żubry, to młode, a jeśli zjadają dorosłe żubry, to te, które padły ze starości albo z głodu. Nie przypominam sobie ani jednego dobrze udokumentowanego przypadku, kiedy wilki zabiłyby dorosłego żubra. A wilków i żubrów dziś w Puszczy nie brakuje. Za to jesienią 2014 roku spotkałem niezwykle sędziwą, bo mającą ponad 20 lat krowę, która chodziła samotnie (bez ochrony stada) z kalekim, bo pozbawionym oka cielakiem. Najpierw zniknął cielak, a potem znalazłem martwą staruszkę leżącą z głową opartą o wykrot i napoczętą przez wilki.

O tym, że Karcow trochę fantazjuje, świadczy też korespondencja przytaczana przez innego badacza historii Puszczy, Ottona Hedemanna. Streszcza on w artykule zamieszczonym w 1935 roku w roku w „Echach Leśnych" korespondencję między ministrem finansów i skarbu Georgiem Kankrinem a gubernatorem grodzieńskim Michałem Bobiatyńskim. Ten ostatni na monity w sprawie żubrów stwierdza, że wilków, owszem, sporo, bo przecież nie wolno na nie polować, i że, owszem, wilki raczą się żubrami, co jest zupełnie normalne, ale są to żubry stare, chore i ślepe, które odłączają się od stad. Dopóki żubry żyją w stadach, „żaden drapieżnik nie jest dla nich straszny" – konkluduje Bobiatyński. Niestety, nie oznaczało to, że gubernator Bobiatyński miał zamiar odpuścić wilkom. W końcu znalazł się powód, żeby się do nich

dobrać. Tylko trzeba to było zrobić tak, żeby nie zaszkodzić żubrom i nie zakłócić ich spokoju. Zaczęły się rozważania, czy lepiej do wilków strzelać, czy łapać je w sieci. Tylko z czego zrobić takie wielkie sieci? Jak podaje Karcow, na sieci o długości 1500 sążni (jeden sążeń to około 2 metrów) trzeba było 525 pudów (jeden pud to około 16 kg) konopi, a w puszczańskich wioskach produkowało się tylko 35 pudów konopi rocznie. Oznaczało to, że robienie sieci na wilki trwałoby blisko 20 lat. Do tego nie było dróg, które ułatwiałyby polowanie z sieciami. Gubernator obstawał przy tym, żeby strzelać do wilków tylko dwa razy do roku, we wrześniu i w styczniu, i to poza miejscami, w których żyją żubry. Chodziło o to, żeby ich nie niepokoić. Pojawił się więc pomysł, żeby wzorem sąsiednich Prus wypłacać za wilki nagrody. Przeciwnicy takiego rozwiązania twierdzili, że może to prowadzić do nadużyć, bo myśliwi będą zabijać wilki poza Puszczą, a pobierać nagrody jak za te zagrażające żubrom. Gubernator grodzieński był za, ale minister skarbu kręcił nosem. W końcu stanęło na strzelaniu. Drapieżniki mogły być odstrzeliwane tylko dwa razy w roku przez dwa tygodnie i tylko przez służby leśne. Jednocześnie, jak wspominałem w poprzednim rozdziale, nakazano miejscowym wybierać szczenięta z gniazd. Jednakże mieszkańcy puszczańskich wiosek robili to niechętnie.

Hedemann konkluduje co prawda, że dla wilków „przyszły czarne godziny", ale Karcow narzeka, że „walczyć z nimi nie umiano i nie starano się". Myślę, że różnica bierze się z tego, iż Hedemann opisuje okres, kiedy zaczęły się prześladowania, czyli początek XIX wieku, a Karcow pisał swoje dzieło na przełomie XIX i XX wieku, gdy strzelanie do wilków tylko dwa razy w roku uznano by za dziecinne patyczkowanie się ze „szkodnikami". W 1846 roku w Rosji wprowadzono prawo nakazujące tępienie drapieżników, a urzędy

skarbowe każdemu, kto przyniósł wilcze uszy i ogon, wypłacały nagrody. W drugiej połowie XIX wieku Puszcza była już podzielona drogami, a machina eksterminacji drapieżników była solidnie rozpędzona. Wybito niedźwiedzie, wybijano rysie, strzelano się do orłów, jastrzębi, myszołowów sów i kruków. Eksterminacji podlegały też wydry, norki, tchórze, kuny i lisy. Miejsce w Puszczy miało być tylko dla roślinożerców, takich jak żubry, jelenie, sarny, daniele, albo ptaków, takich jak głuszce. Las właściwie stał się czymś w rodzaju wielkiej zagrody, w której zwierzęta dokarmia się na potęgę, z czego korzystać może tylko człowiek, a wszystko, co ma kły i pazury albo zakrzywiony dziób i je mięso, jest szkodnikiem.

Choć takie podejście może się nam wydawać niedorzeczne, nadal funkcjonuje w wielu miejscach w zachodniej Europie. W Alpach, w Parku Narodowym Las Bawarski lub czeskiej Szumawie jelenie na zimę schodzą się do wielkich zagród, gdzie są dokarmiane i gdzie dokonuje się czynności zwanych redukcją lub selekcją. Inaczej mówiąc, zabija się te, które nie podobają się zarządzającym nimi leśnikom lub myśliwym. Latem 2014 roku European Wilderness Society, organizacja zajmująca się ochroną dzikiej przyrody na naszym kontynencie, przytoczyła wyniki badań, z których wynikało, że 13 procent mieszkańców Austrii byłoby zaniepokojonych o los owiec w przypadku powrotu do tego kraju wilków. Jest to o tyle zrozumiałe, że Austriacy, którzy od dawna nie mieli u siebie wilków, mogą nie mieć pojęcia, jak chronić swoje stada. Ale, jak się okazuje, nie martwią się tylko o trzodę – aż 30 procent Austriaków jest zatroskanych o los dzikich zwierząt takich jak jelenie, sarny lub dziki, które mogłyby się stać ofiarą wilków. Według EWS wielu ludzi także w Niemczech, Francji oraz Szwajcarii wciąż uważa, że lepiej, aby dzikie zwierzęta ginęły „humanitarnie" od kuli myśliwego, niż miały być rozszarpywane przez wilki.

„Traktujemy dzikie zwierzęta jak maskotki", konkludują eksperci EWS. Sarenka ma mieszkać w lesie, w którym nie czyha na nią zły wilk, bo strzeże jej leśniczy z dubeltówką i całą masą innych narzędzi, żeby w razie czego złego wilka wykończyć. (Zupełnie jak w bajce o Czerwonym Kapturku, gdzie sarenką jest dziewczynka). Sarenka jeżeli ma zakończyć żywot, to tylko z ręki etycznego myśliwego, który następnie ją wypcha, ewentualnie odetnie jej główkę, którą następnie powiesi na ścianie w pałacyku. Tu będzie ją można bezpiecznie obejrzeć i pogłaskać.

Ten model gospodarowania lasami i żyjącymi w nich zwierzętami trafił do Rosji – a co za tym idzie, do Polski – z Niemiec, a właściwie z niemieckiego obszaru kulturowego (również z ówczesnej Austrii) na przełomie XVIII i XIX wieku. Tam wilki zwalczano od czasów Karola Wielkiego, a Rosjan w Cesarskiej Szkole Leśnej w Petersburgu uczyli leśnictwa Niemcy. O tym wszystkim opowiadał mi zajmujący się historią Puszczy Tomasz Samojlik z Instytutu Biologii Ssaków PAN. W dodatku członkowie służby łowieckiej i administracji leśnej rekrutowali się z Niemiec i Austrii. Nie przypadkiem główny łowczy Puszczy nazywał się oberjegermajstrem. Na przełomie XIX i XX wieku został nim Józef Newerly, dziadek słynnego pisarza Igora. Józef urodził się na Morawach, a łowieckiego rzemiosła uczył się w dobrach hrabiego Georga von Stockau i hrabiego Berchtoltza. Niemieckie wpływy widać również w puszczańskiej architekturze i modzie: carski pałac w Białowieży albo pawilon myśliwski na Zwierzyńcu, tam gdzie dziś stoi pomnik spiżowego żubra, wyglądały, jakby zostały przeniesione z podnóża Alp. Z kolei rosyjscy arystokraci polujący w Puszczy na fotografiach z epoki ubrani są tak, jakby zaopatrywali się u krawców w Wiedniu lub Monachium.

MIMO WSZYSTKO WILKI w Puszczy przetrwały.

Tyrolskie kapelusiki i zielone marynarki z kościanymi guzikami, które do dziś uwielbiają polscy myśliwi, mają to samo pochodzenie. Podobnie jak ich iście XIX-wieczne podejście do drapieżników.

Józef Newerly podobnie jak jego rosyjski poprzednik, łowczy Andriejewski, zwalczał drapieżniki z niemiecką dokładnością. Co prawda potrzaski, wnyki i zapadnie zostały zakazane, bo trudno byłoby wykazać, czy należą do straży leśnej, czy do kłusowników. Za to służby łowieckie wybierały młode z gniazd i truły wilki na potęgę. Pigułek ze strychniną zaprzestano używać dopiero wtedy, gdy wilków było jak na lekarstwo i truły się nimi głównie dziki i myśliwskie psy. Karcow mógł z zadowoleniem podsumować: „Wilk przestaje być stałym mieszkańcem Puszczy. Z mińskich i wołyńskich lasów przychodzą niekiedy do Puszczy wilki (...), wykazują zamiar osiedlenia się tu, lecz zupełnie się im to nie udaje. Jak tylko nieproszony gość zostaje wyśledzony – przeciwko niemu rozpoczyna się kampania: telefonicznie we wszystkie strony wydawane są polecenia o ostatecznym wyśledzeniu i ofladrowaniu

i nie mijają dwa-trzy dni, w rzadkich wypadkach tydzień, jak wilcza skóra zostaje złożona w specjalnie wybudowanej dla przechowywania skór szopie".

Mimo wszystko wilki w Puszczy przetrwały. Karcow pisze, że przychodziły spoza Puszczy. Nie sądzę. Myślę, że tymi słowami chce on ukryć fakt, że administracji leśnej i łowieckiej nigdy nie udało się wilków w Puszczy całkiem wybić. Jak wynika z przytaczanych przez niego danych o zwalczaniu drapieżników, w 1897 roku zabito osiem wilków, rok później dwa, potem znów dwa, w 1900 roku trzy, a 1901 roku dwa, a gdy Karcow kończył swoje dzieło w 1902 roku, znów trzy.

Pierwsza wojna światowa dała drapieżnikom moment wytchnienia. Nikt nie miał głowy do ich tępienia. Ale niechęć do nich przetrwała. W niepodległej Polsce, choć niektórzy przyrodnicy zabiegali o okres ochronny, wilk został uznany za zwierzę szkodliwe. Można było strzelać do niego przez cały rok, a także łapać w różnego rodzaju sidła i paści. „Wilka, tego czworonożnego naszego łupieżcę, nie wszędzie się teraz spotyka na ziemiach polskich. Królestwo pozbyło się zupełnie tego dokuczliwego rabusia, z racji którego żadna porządna hodowla zwierzyny prowadzona być nie może" – pisał w wydanym w 1922 roku w Poznaniu „Roku Myśliwego" Włodzimierz Korska. Wilki ostały się wyłącznie na Kresach. Jednym z najdalej na zachód wysuniętych wilczych przyczółków była Puszcza Białowieska. Tu traktowano je zresztą specjalnie. Tomek Samojlik pokazał mi „Plan gospodarczy nadleśnictwa Hajnówka na 10-lecie 1930-31–1940-41" (obecnie to jedno z trzech nadleśnictw polskiej części Puszczy). Zapisano tam wyraźnie, że trzeba dążyć do zwiększenia liczby wilków i rysi (zapewne nie tępiąc ich) i to nie tylko dlatego, że z tych zwierząt są cenne trofea łowieckie, ale też dlatego,

że drapieżniki utrzymują na odpowiednim poziomie liczbę roślinożerców i dzięki nim las może się odnawiać.

Po drugiej wojnie światowej znów wilków było sporo, bo ludzie nie mieli głowy do ich prześladowań. Pojawiły się nawet w zachodniej Polsce. Nowe władze jednak nie miały zamiaru się z nimi patyczkować. W 1955 roku Rada Ministrów nałożyła na wojewódzkie rady narodowe nakaz eksterminacji wilków. Jak podaje Henryk Okarma w monografii przyrodniczo-łowieckiej „Wilk", na zabijaniu można było nieźle zarobić. Jeżeli myśliwy sam zabił wilka, dostawał tysiąc złotych, jeżeli na polowaniu zbiorowym, czyli takim, gdzie mu zwierzę nagoniono, połowę tej sumy, a za każdego wybranego szczeniaka 200 złotych. Średnia pensja w przemyśle wynosiła wówczas 1100 złotych. Myśliwi traktowali strzelanie do wilków jako sposób na dorobienie. Nie robili więc tego tylko biedacy z zapadłych leśnych dziur, dla których mordowanie wilków było szansą na poprawę bytu. Robert Mysłajek ze Stowarzyszenia dla Natury „Wilk" pokazał mi pismo z 22 lutego 1966 roku, które skierował do wydziału leśnictwa prezydium Rady Narodowej w Koszalinie Jan Edward Kucharski, w swoim czasie znany pisarz, autor poczytnych książek dla dzieci i młodzieży opowiadających o przyrodzie. „We wrześniu ubiegłego roku upolowałem w łowisku Płytnicy, powiat Wałcz, wilka (waderę). (...) Do dnia dzisiejszego należnej mi premii za odstrzelenie drapieżnika nie otrzymałem. Kilka razy zapytywałem o los tej nagrody, odpowiadano mi, że sprawa poszła do wykonania" – piekli się Kucharski. Myśliwym strzelanie do wilków musiało się bardzo opłacać, bo nie dość, że wypłacano im nagrodę, to jeszcze zwracano koszty podróży np. prywatnym samochodem. Nic dziwnego, że na wilki ruszyli też zwykli ludzie. Zwierzę zostało wyjęte spod prawa i uśmiercić je w dowolny

sposób mógł każdy. Nie brakowało też cwaniaków, którzy ganiać za wilkami nie mieli zamiaru, a zarobić chcieli. W mojej wsi ludzie dotąd opowiadają o parze wilczych uszu, za które dostawało się solidną nagrodę – zanosiło się je leśnikom, a potem wykradało z ich magazynu, po to żeby zainkasować za nie jeszcze raz pieniądze. I tak w kółko. Na konto wilków ginęły też wilkopodobne psy, bo mało kto przejmował się szczegółami. Kto przyniósł skórę albo tylko uszy, dostawał sowitą nagrodę.

Wreszcie w styczniu 1956 roku minister leśnictwa rozporządzeniem powołał wojewódzkich komisarzy do spraw tępienia wilków. Ci, koordynowani przez naczelnego komisarza, zajęli się organizacją eksterminacji, która w międzyczasie przestała już być pospolitym ruszeniem. Dopuszczone zostało trucie za pomocą strychniny, jak za czasów carskich w Puszczy. Jedną z podstawowych i zalecanych przez komisarzy metod było wybieranie i zabijanie szczeniąt.

Mógłbym oczywiście szukać świadków albo uczestników tej eksterminacji, żeby pokazać, jak my, ludzie, potrafimy być bezwzględni, ale nie muszę. Mam coś lepszego. To kartonowa teczka z plikiem pożółkłych kartek. Dostaliśmy ją z Nurią wiele lat temu od Bogumiły Olech, świetnej biolożki zajmującej się jastrzębiami, mojej przyrodniczej mistrzyni, która gdy byłem dzieckiem, zabierała mnie na ornitologiczne wyprawy do Puszczy Kampinoskiej. Teczkę odziedziczyła po członku rodziny, który należał do administracji leśnej. Na pierwszej pożółkłej stronie jest rysunek trzech wyjących wilków i tytuł „Wabienie wilków". W środku przepisane na maszynie artykuły instruujące, jak to robić, niektóre jeszcze przedwojenne. Nie chcę przepisywać tych bardzo dokładnych instrukcji, bo wiem, że wciąż wielu ludzi dybie na życie wilków. Poza artykułami dla zwykłych myśliwych o tym, jak zasadzić się

na te drapieżniki, jest tu też coś specjalnego. To sygnowane przez „naczelnego komisarza do spraw tępienia wilków" instrukcje mówiące o tym, jak sprawnie zabijać wilki. Nie jest to typowa literatura myśliwska, w której wilkom dorabia się gębę „rabusia" i „krwiożerczego bandyty", żeby uspokoić sumienie łowców. To suchy, pozbawiony emocji, ale też niezwykle szczegółowy poradnik dotyczący tropienia, lokalizowania i wreszcie zabijania tych zwierząt. Jedyny ślad ideologiczny, jaki w tych papierach odnalazłem, to częste i trochę przesadne powoływanie się na doświadczenia radzieckich wilczarzy i wskazywanie ich jako mistrzów w swym fachu. Jest to, oczywiście, znak czasów, w których rzecz powstała. Poza tym to beznamiętna instrukcja napisana beznamiętnym językiem. Komisarz zapewnia podległe mu służby, że wilków nie ma się co obawiać i że nie zaatakują człowieka nawet w obronie szczeniąt. Wybierania z gniazd dotyczą osobne „Wytyczne do wykrywania i tępienia gniazd wilczych opracowane dla służby wilczarskiej". Zostały one napisane w Warszawie 2 maja 1957 roku. Nigdy dokładnie ich nie czytałem, bo nie interesuje mnie szukanie wilczych gniazd. Zresztą suchy urzędowy język dokumentu z zamierzchłych czasów zupełnie do tego nie zachęca. Ale niedawno z myślą o tej książce przeglądałem „Wytyczne" i natknąłem się na coś, co mnie zaintrygowało. Komisarz instruuje, żeby na wybieranie szczeniąt z gniazd wybrał się wilczarz, czyli ten, który wybiera szczenięta, w towarzystwie tropiciela. Trochę się zdziwiłem, bo gdy byłem na Białorusi, gdzie wciąż szuka się wilczych gniazd, zwykle chodził z nami tylko jeden tropiciel. Po co aż dwóch ludzi do zabicia bezbronnych szczeniąt?

Jeszcze większe zdziwienie wzbudził punkt dotyczący wyposażenia szukających gniazda: „Wyposażenie poszukiwacza gniazda (…) powinno stanowić broń śrutowa (śrut 0000), łopatka,

siekiera, worek, torba z siatki oraz kilka metrów miękkiego niegrubego drutu". Siekierkę rozumiałem, łopatkę też – to zapowiedź szybkiej śmierci szczeniąt i tego, że wilczarz je na miejscu zakopie. Worek ma służyć do zabrania dowodów, może głów, może uszu. Ale po co dubeltówka naładowana śrutem zwanym cztery zera albo, jak kto woli, loftkami? To specjalna amunicja, składająca się nie z jednej kuli, ale z kilku: pięciu, sześciu całkiem dużych kawałków ołowiu. Strzelając taką amunicją, trudno nie trafić i nie zranić lub nie zabić całkiem dużego zwierzęcia, takiego jak dzik, wilk albo niedźwiedź. No dobrze, kombinowałem, może broń była na wypadek, gdyby tropiciel trafił na dorosłego wilka. Za nic nie mogłem jednak zrozumieć, po co ten drut i torba siatkowa. Czytałem więc kolejne pożółkłe strony maszynopisu opowiadające o tym, że przy obławie oraz szukaniu gniazda należy brać pod uwagę ukształtowanie terenu, pogodę, że trzeba wstrzymać pracę leśne w rejonie albo że nocą za pomocą tyczek można zaznaczyć kierunek, z którego wyły szczenięta, a potem za dnia za pomocą mapy i kompasu odnaleźć gniazdo. W kolejnych punktach nie zaskoczyło mnie nic poza tym, że tak beznamiętnie można pisać o wilkach, ich tropieniu i zabijaniu. Ale kiedy na jednej z ostatnich kartek dotarłem do punktów dotyczących drutu i torby siatkowej, poczułem, jak powoli zaczyna ściskać mnie w żołądku. Oto, do czego miały służyć: „Sposób pierwszy. Wykryte szczenięta należy niezwłocznie zabić, pozostawiając parę przy życiu. Jeżeli jest w pobliżu legowiska odpowiednie drzewo na prowizoryczną czatownię, jeden z tropicieli zajmuje stanowisko na czatach, a drugi przywiązuje żywe szczenięta drutem na miejscu. Po unieruchomieniu szczeniąt tropiciel odchodzi w kierunku pod wiatr. Sposób drugi: Włożyć ujęte szczenięta do torby siatkowej. Tropiciele odchodzą, ciągnąc torbę ze szczeniętami jako obwłokę (wskazane z wiatrem). Na trasie jeden

z tropicieli pozostaje w odpowiednim terenie, na czatach przy śladzie, a drugi z obwłoką posuwa się dalej. Wadera, ciągnąc za śladem szczeniąt, wychodzi na strzał".

Z czasem, gdy wilków już prawie nie było, władze złagodniały. W 1975 cały rok można było zabijać wilki tylko w województwach: krośnieńskim, nowosądeckim i przemyskim, czyli tam, gdzie jest ich najwięcej – jeżeli w ogóle można tak mówić w sytuacji, gdy w całym kraju było ich około stu. W pozostałych województwach ograniczono okres polowań na czas od 1 sierpnia do 31 marca. Nagrody za zastrzelenie wilka nadleśnictwa przestały wypłacać dopiero wtedy, gdy zawalił się system komunistyczny, czyli w 1989 roku.

W wolnej Polsce sytuacja wilków zmieniła się diametralnie. Na samym początku lat 90. zaprzestano polowań w Puszczy Białowieskiej. Potem trzech wojewodów z zachodniej Polski: gorzowski, pilski i poznański, zakazało zabijania. Wreszcie w 1997 roku wilk został skreślony z listy zwierząt łownych. Od 1998 roku już na wilki polować nie wolno. To zasługa prężnie działających organizacji chroniących przyrodę, ale też nastrojów społecznych.

– Pamiętam, że w uzasadnieniu do rozporządzenia obejmującego wilka ochroną w pierwszych zdaniach było napisane, że dzieje się tak również z woli społeczeństwa, które domaga się jego ochrony – opowiadał mi niedawno miłośnik wilków prof. Andrzej Bereszyński. Coś w tym jest. Sympatia była wtedy i myślę, że wciąż jest całkowicie po stronie wilków, które są symbolem niezależności i nieokiełznanej wolności, a nie po stronie uzbrojonych w sztucery i często powiązanych z władzą panów w niby-tyrolskich kapeluszach. Wielu z nas z zapartym tchem słuchało, jak Jacek Kaczmarski, największy bard opozycji, śpiewał:

Ujrzałem małe wilczki dwa na strzępy rozszarpane!

Zginęły ślepe, ufne tak puszyste kłębki dwa
Bezradne na tym świecie złym, nie wiedząc, kto je zdławił
I zginie także stary wilk, choć życie dobrze zna
Bo z trzema naraz walczy psami i z ran trzech naraz krwawi!
Obława! Obława! Na młode wilki obława!
Te dzikie zapalczywe
W gęstym lesie wychowane!
Krąg śniegu wydeptany! W tym kręgu plama krwawa!
Ciała wilcze kłami gończych psów szarpane!

Dziś w Polsce żyje około tysiąca wilków – na południu, na wschodzie i na zachodzie kraju. Jest to rewelacyjny wynik, bo przecież Polska ma mało lasów, około 30 procent powierzchni (a np. Szwecja aż 70 procent), do tego ma wysokie zaludnienie – 120 osób na kilometr kwadratowy (w Skandynawii to sześć razy mniej). Pomimo to obecność wilków nie budzi w Polsce wielkich emocji.

Owszem, obecnie władze mogą wydać zezwolenia na odstrzał wilków, które porywają zwierzęta domowe, ale takie zezwolenia nie są wydawane często. W 2013 roku straty, jakie spowodowały wilki wśród zwierząt gospodarskich w całej Polsce, wynosiły ponad 500 tysięcy złotych. To naprawdę niewiele – dla porównania: za szkody autorstwa bobrów wypłaca się około 15 milionów rocznie. Wychodzi więc, że państwo polskie na każdego wilka wydaje 500 złotych rocznie (wilków jest około tysiąca). I, co ciekawe, pomimo tego, że wilków przybywa, straty ciągle są na podobnym poziomie.

Polacy okazują się wyjątkowym narodem na tle tego, co dzieje się w innych krajach, w których żyją spore wilcze populacje. Dotąd na wilki można polować na Słowacji, Litwie, Łotwie i w Estonii. Wilki masowo zabijane są na Białorusi. Ale żeby było jasne: wilki nie są w Polsce całkowicie bezpieczne. Nie mam wątpliwości,

że wciąż się do nich strzela. Nielegalnie. Wśród myśliwych, sądząc po wielu wypowiedziach i wpisach na forach, powszechne jest myślenie o wilkach rodem z XIX wieku. Ponadto wiedzą oni doskonale, że szanse na ukaranie kogokolwiek są bliskie zera. Co jakiś czas znajduje się martwe wilki z kulą w ciele. „Wczoraj rano (16.05.2009) znalazłam zastrzelonego dorodnego samca wilka w lesie, tuż koło drogi w Bełwinie koło Przemyśla (Podkarpackie). Zwierzę zostało trafione kulą w brzuch z lewej strony. Trafione zostało przedwczoraj, 15.05.2009 (po południu było słychać strzały), i uciekło, po czym nad ranem padło na skutek wykrwawienia. Widać było spory kawałek okrwawionej drogi (około 400 metrów, którymi zwierzak szedł, przewracając się)" – pisze w mailu do mnie Pani Marta. Niedawno Sabina Nowak ze Stowarzyszenia dla Natury „Wilk" opowiadała mi z kolei o martwym wilku znalezionym w jednym z nadleśnictw w zachodniej Polsce. Sekcja wykazała, że miał w ciele kulę myśliwską. A ile takich wilków pozostaje nieodnalezionych? Nikt nie wie, jaki procent wilczej populacji ginie. Policji nie udaje się wykryć sprawców nawet wtedy, gdy zastrzelony wilk zostaje znaleziony pod myśliwską amboną, tak jak było to w Bieszczadach w 2007 roku.

Wiem, że od strzałów giną nie tylko przypadkowo spotkane przez myśliwych wilki. Po cichu organizowane są nielegalne polowania. Jedno z nich widział z ukrycia w październiku 2011 roku w Bieszczadach mój kolega, znakomity fotograf przyrody. Nazwijmy go Piotrek. Nie chcę ujawniać jego prawdziwego imienia, bo on często bywa w tych górach. Rozmawiałem z nim dzień po tym zdarzeniu. Piotrek, podobnie jak wielu fotografów, marzył o zrobieniu dobrego zdjęcia wilkom i często właśnie po to jeździł w Bieszczady. Ale tym razem pojechał fotografować rykowisko, czyli czas jeleniej miłości, gdy góry trzęsą się od ryku. Piotrek ma

upatrzoną dolinkę, gdzie podgląda zwierzęta i robi im zdjęcia. Co prawda jest ona oznaczona tabliczkami „Zakaz wstępu – ostoja zwierzyny", ale Piotrek ma to w nosie. Bo choć wydawałoby się, że „ostoja zwierzyny" to takie miejsce, w którym zwierzęta powinny mieć spokój, to zgodnie z prawem nie może tam wchodzić tylko zwykły zjadacz chleba, za to drwal, żeby wycinać drzewa, i myśliwy, żeby zabijać, może jak najbardziej. Piotrek zawsze wchodził do ostoi tak, że go nikt nie widział, i wychodził tak, że nikt nie wiedział, że tam był. Kładł się zamaskowany i czekał na jelenie. Tak jak tamtego dnia. Ale zamiast jeleni na łąki wyjechał samochód. Oto dokładna relacja, którą spisał na moją prośbę: „Około godziny 16 przyjechał samochód terenowy UAZ z dwoma ludźmi, kierowcą był prawdopodobnie miejscowy leśniczy, który po dojechaniu do ambony wysiadł, wyjął z samochodu dwie skrzynki i wyrzucił z nich wnętrzności jakiegoś zwierzęcia, po czym szybko odjechał. Druga osoba po wyjściu z samochodu od razu weszła na ambonę. Około 17 pojawiły się cztery wilki, biegły prosto w stronę ambony. Około 17.20 padł strzał. Musiał być celny, bo usłyszałem pisk. Było już ciemno. Wyszedłem ostrożnie z ukrycia i zobaczyłem, jak myśliwy schodzi z ambony i z latarką przeszukuje polanę. Po kwadransie przyjechał ktoś UAZ-em i we dwóch jeszcze przez blisko godzinę szukali postrzelonego wilka. W tym czasie zrobiło się całkiem ciemno, więc nie wiem, jaki był efekt poszukiwań, ale z pewnością wilk został raniony".

SYMPATIA POLAKÓW była i myślę, że wciąż jest całkowicie po stronie wilków.

Wraz z relacją Piotrek przesłał mi zdjęcia wilków na moment przed strzałem. Są zrobione z daleka, ale widać na nich, że to młode niedoświadczone zwierzęta. Być może ich rodzice zostali zastrzeleni wcześniej. To wyjaśnia, dlaczego biegły jak po sznurku do wyrzuconych pod amboną wnętrzności. Nie tylko brakowało im ostrożności starszych, ale zapewne nie bardzo same radziły sobie z polowaniem na jelenie i były po prostu głodne. Z zachowania myśliwego i osoby, która go przywiozła, wynika, że wiedzieli, jakie zwierzęta przyjdą.

– Piotrek był tak wkurzony, że niewiele brakowało, a poszedłby po jakąś piłę i ściął im tę cholerną ambonę w diabły – opowiadał mi nasz wspólny przyjaciel. Nie dziwię się. Przecież Piotrek marzył o dobrym zdjęciu wilka, a zamiast tego zobaczył, jak ktoś morduje to zwierze. Jego wściekłość brała się też z bezsilności. Polskie prawo wyjątkowo ulgowo traktuje zabijanie zwierząt chronionych. Samo zabicie nie jest przestępstwem. Staje się nim, jeżeli okaże się, że przy

okazji uczyniono znaczną szkodę w populacji. Sprytny adwokat mógłby wykazać, że zabicie jednego wilka, gdy w Bieszczadach żyje ich przynajmniej dwieście, zupełnie populacji nie zaszkodzi. Wreszcie w sądzie byłoby to słowo Piotrka, który przebywał w ostoi nielegalnie, przeciwko słowom dwóch ludzi, zapewne leśniczego i myśliwego, którzy zapewnialiby, że polowali na lisy. A ciała wilka nie było, bo albo ranny gdzieś skonał, albo został w końcu znaleziony i obdarty ze skóry w jakimś garażu.

Nie sposób opowiadać o prześladowaniach wilków bez opisu pewnego sprytnego wynalazku, dzięki któremu możliwe było wybijanie całych wilczych rodzin. Nie jest to pułapka ani trucizna, ale – wydawałoby się – zupełnie niewinne kolorowe szmatki, najczęściej wstążki, umocowane do sznurka lub linki. Fladry wyglądają bardziej jak ozdoba na kościelne uroczystości niż groźne narzędzie eksterminacji. Ich skuteczność oparta jest na wilczym strachu. Wbrew pozorom nie powstały one tam, gdzie wilki były najbardziej prześladowane, ale tam, gdzie wilki mimo polowań przez wieki miały się całkiem dobrze. W lasach wschodniej Polski i Litwy. Gdy nie było broni palnej albo była ona na tyle nieskuteczna, że trudno było z niej zabić ruchliwego i sprytnego wilka, drapieżniki łapano po prostu w sieci. Z używaniem sieci wiązał się jednak pewien podstawowy problem: jak tu zagonić w nie wilki? Trzeba było otoczyć zwierzęta szczelnym pierścieniem ludzi. W Europie Zachodniej, gdzie ludzi przybywało, a lasów ubywało, nie było z tym problemu. W puszczach Polski i Litwy nie było to już takie łatwe. Ale, jak mi wytłumaczyła Bogusia Jędrzejewska, ktoś w końcu zauważył, że wilków nie musi otaczać gęsty kordon ludzi. Wystarczy, żeby na wysokości wilczych oczu zawiesić coś, co kojarzy się z człowiekiem, na przykład płaszcz. Kiedy taki płaszcz czy inna część garderoby wisiały na gałęzi, wilki

tam nie podchodziły, a do obławy potrzeba było o jednego człowieka mniej. Szybko zorientowano się, że właściwie większość członków obławy można zamienić nawet nie na płaszcze, ale na niezbyt wielkie kolorowe szmatki, które dla ułatwienia należy po prostu przymocować do sznura rozwijanego z bębnów. Tak powstały fladry. Dziś to najczęściej przyszyte do długich sznurów czerwone, żółte lub pomarańczowe wstęgi. Otoczone nimi wilki zachowują się tak, jakby zostały zamknięte w klatce. Jeżeli nie miały nigdy wcześniej z nimi do czynienia, nie wyjdą poza nie, nie przeskoczą ich – tak się ich będą bały. Wilków, które doświadczenie z fladrami mają i które przełamały się i je przeskoczyły, nie było za wiele, bo od czasów, gdy broń palna stała się skuteczna, mało któremu udawało się ujść z życiem z takiej obławy. Zamknięte we fladrach wilki podpędzane były pod strzelby ukrytych myśliwych, niczym pod lufy plutonu egzekucyjnego.

Mogę sobie wyobrazić, jak łatwo można było przeprowadzić rozstrzelanie wilczej watahy, korzystając z fladrów, bo wiele razy brałem udział w łapaniu wilków za ich pomocą. Oczywiście, nie chodziło o zabijanie zwierząt – łapaliśmy je po to, żeby założyć im obrożę telemetryczną, czyli taką, która ma nadajnik radiowy umożliwiający ich namierzanie. Dzięki temu można było poznać życie wilków. Zakład Badania Ssaków PAN w Białowieży od początku lat 90. prowadził program badań nad wilkami, który przyczynił się do ochrony drapieżników. Z nadajnikami po Puszczy chodziły nie tylko wilki, ale również rysie. Złapanie rysi, choć trudne, nie wymagało tyle wysiłku co złapanie wilków. Wystarczyło ustawić chwytające za nogi pułapki pętlowe tuż przy zabitej przez rysia sarnie, bo koty wracały do ofiary. Oczywiście było to całkowicie bezpieczne dla zwierząt, bo potem dzięki namiarom z obroży i tropieniom widać było, że złapane rysie

świetnie dawały sobie radę. Polowały i rozmnażały się. Wilki zresztą też, choć nie tak łatwo było je złapać. Trudno było ustawiać pułapki przy wilczych ofiarach, bo zwykle nic z nich nie zostawało. A jeśli nawet coś zostało i wilki do nich wracały, to były bardzo ostrożne. Zauważały każdą, niewielką nawet manipulację przy zabitym przez nie jeleniu lub innym zwierzęciu. Dziś jest cała masa zdjęć wilków z fotopułapek pozostawianych przy ich ofiarach, które jakoś im nie przeszkadzają, ale wtedy były najwyraźniej bardziej czujne. Może dlatego, że od czasu, gdy przestano je prześladować w Puszczy, minęło zaledwie parę lat. Przekonałem się o tym, gdy pewnej zimy, tropiąc wilki, znaleźliśmy z Nurią martwego żubra. Okazało się, że żubr był konsumowany przez odwiedzającą go regularnie co kilka dni wilczą watahę. Wydawało nam się, że to idealne miejsce na zrobienie wilkom zdjęcia z fotopułapki, czyli po prostu aparatu wyzwalanego za pomocą reagującej na ruch fotokomórki. Obok był średniej wielkości świerk, na który dało się łatwo wejść, i właśnie na nim na wysokości kilku metrów umieściliśmy zamaskowane urządzenie. Wilki, jak wynikało z zostawionych przez nie tropów, owszem, jak zwykle przyszły do żubra, zatrzymały się przed świerkiem i... zawróciły. Z powodu naszej dość prymitywnej fotopułapki nie zdecydowały się na darmowy obiad, choć żubrzego mięsa wciąż była góra. I nie mam pojęcia, czy ją tylko wyczuły, czy też zobaczyły.

Otoczenie watahy fladrami i próba złapania wilków w sieci były więc jedyną szansą na założenie któremuś obroży z nadajnikiem. Cała operacja miała charakter iście wojskowy, a potrafiła trwać nawet dwa dni. Zawsze kierował nią Włodek Jędrzejewski, szef prowadzonego w Zakładzie programu badań drapieżników. W sumie udało się złapać 12 wilków. Każdy z nich otrzymał imię. Niedawno Karol Zub przypomniał mi, że były one związane

z cechami wilka. Np. Drab był wysoki i kościsty, Chytra nie dawała się długo złapać, Ruda miała rudawy odcień futra, a Zbój odgryzał się, kiedy go złapali.

Obława zaczynała się, gdy były odpowiednie warunki do tropienia, czyli po prostu śnieg. Naukowcy ruszali w Puszczę kilkoma samochodami, by szukać wilczych łap. Samo znalezienie tropów to był dopiero początek operacji. Oznaczało ono, że wilki weszły w jakiś oddział, czyli kwadrat obejmujący nieco ponad kilometr kwadratowy lasu. Następnie trzeba było ten kwadrat sprawdzić, objeżdżając go samochodem, jeśli się dało, albo na piechotę, często brnąc w błocie lub śniegu z błotem. Chodziło o to, żeby sprawdzić, czy wilki w nim dalej są, czy też poszły sobie gdzie indziej.

KAŻDY Z WILKÓW otrzymywał obrożę z nadajnikiem i imię.

NAUKOWCOM Z BIAŁOWIEŻY w sumie udało się złapać 12 wilków.

Jeżeli nie było tropów wychodzących, znaczyło to, że gdzieś na tym kilometrze kwadratowym wataha odpoczywa. Wtedy ruszała ekipa, przynajmniej 10 osób, z fladrami nawiniętymi na ciężkie jak cholera bębny. Dzieliliśmy się na pary, bo jedna osoba musiała rozwijać fladry z bardzo ciężkiego bębna, a druga wieszać je na krzakach, gałęziach lub owijać linkę o pnie na drzewach. Ważne było, żeby czerwone wstęgi, które zwano kiedyś straszakami, wisiały nieco ponad metr nad ziemią, czyli na wysokości wilczych oczu. Dla poprawy ich właściwości odstraszających Włodek spryskał je kiedyś kupionymi na Białorusi perfumami, więc niektóre bębny miały specyficzny zapach. Czasami wystarczyło otoczyć kilometr kwadratowy, czyli rozwinąć cztery kilometry fladrów, a czasami Włodek decydował, że zamykamy dwa kilometry, czyli nasze kolorowe wstęgi na sznurku musiały wisieć na długości sześciu kilometrów. Wieszanie to była arcyciężka robota, bo łażenie z takim obciążeniem i pilnowanie, żeby wszystko

wisiało jak należy w takim lesie jak Puszcza, nie jest łatwe, ale jeszcze gorsze było zwijanie fladrów, często mokrych i strasznie zimnych. A już najgorsze było zwijanie, gdy okazywało się, że wilki wyszły z okrążania i z łapania ich będą nici. Okazywało się to najczęściej następnego dnia rano, gdy Włodek jeszcze raz sprawdzał zamknięty teren. Wiatr, mokry padający śnieg, gałąź, co spadła z drzewa – wszystko mogło położyć w jakimś miejscu fladry i spowodować, że wilki uciekłyby z pułapki (bo leżących na ziemi fladrów już się nie bały). Ale gdy okazywało się, że nadal są w naszym kotle, akcja trwała. Włodek wybierał miejsce, w którym na wysokich, kilkumetrowych i cienkich tyczkach należało postawić sieci. To były specjalne sieci zrobione według średniowiecznych zaleceń z okami takich rozmiarów, że wilcza głowa przechodziła przez nie momentalnie – wtedy cała konstrukcja opadała i zaplątany wilk był prawie nasz. Prawie, bo jeszcze trzeba go było, przytrzymując drewnianymi rozwidlonymi drągami niczym wielkimi widelcami, unieruchomić i dać zastrzyk usypiający, najczęściej w udo. Zwierzę oczywiście się miotało i gryzło, czasami z poranionych dziąseł lała się krew, bo wilki gryzły sieci, i dla kogoś, kto nie ma pojęcia o łapaniu dzikich zwierząt, mogło to wyglądać okropnie, ale tak naprawdę to był bardzo bezpieczny i dla ludzi, i dla zwierząt sposób ich łapania. Strzelanie ze specjalnej broni z zastrzykiem usypiającym jest dobre w przypadku dużych zwierząt i to w miarę z bliska, gdy ma się pewność, gdzie się je trafi. Bo trafienie na przykład w kręgosłup albo płuca może zabić. Można się w takie rzeczy bawić, ale na otwartych przestrzeniach, gdzieś w lodach Arktyki, gdzie do polarnego niedźwiedzia podlatuje się helikopterem, albo na afrykańskich sawannach, gdzie do lwów podjeżdża się samochodem. To ważne, żeby po trafieniu strzykawką zobaczyć, dokąd zwierzę odeszło i gdzie zasnęło. W pełnym

zakamarków lesie takiego uśpionego zwierzaka można nie odnaleźć, a to oznacza, że nie tylko nie pobierze się próbek ani nie założy obroży, ale również nie poda się antidotum na środek usypiający, a to może się poważnie odbić na zdrowiu zwierzęcia.

Od zamknięcia wilków we fladrach do wpędzenia któregoś w sieci droga zawsze była daleka. Pierwszą rzeczą, którą należało sprawdzić nawet jeszcze przed postawieniem sieci, było to, czy razem z wilkami otoczone fladrami nie są jeszcze jakieś inne zwierzęta. Bo przed idącą nagonką uciekało wszystko. Kiedyś w sieci wpadła nam sarna, którą wyplątywać musiały cztery osoby, z czego dwie leżały na niej i trzymały ją za nogi, żeby wierzgając ostrą racicą, nie trafiła wyplątującego ją człowieka w brzuch. Po doświadczeniu z niewielką sarenką zimny pot oblewał nas na myśl o wpadającym w sieci jeleniu, łosiu, nie mówiąc o żubrze. Więc kiedy pewnego dnia Włodek powiedział mi, że poza wilkami otoczyliśmy cztery żubry, zrobiło mi się słabo. Trzeba było te żubry tak wygonić z naszego ogrodzenia, żeby nie wygonić wilków. Na szczęście udało się to zrobić dość łatwo. W towarzystwie kilku wolontariuszy z Holandii zaszliśmy je tak, że wyszły z fladrów szybciej, niż się spodziewaliśmy. Gdy nas zobaczyły, ruszyły z kopyta na linię fladrów. Nylonowa linka tylko brzdęknęła, gdy te wielkie zwierzaki biegnące galopem przerwały ją, jakby była delikatną niteczką. Nie zwróciły uwagi ani na nią, ani na fladry. Szybko związaliśmy linki i było po kłopocie. Czasami, gdy ofladrowany teren był za duży, a brakowało ludzi do pędzenia wilków, Włodek decydował o jego zmniejszeniu i na przykład odcięciu połowy fladrami. Potem, gdy już wiedzieliśmy, że mamy wilki w środku, rozgradzało się część fladrów przy sieciach tak, aby tworzyły prowadzący do nich korytarz. To właśnie nim miały biec i zaplątać się w sieci wilki pędzone przez nagonkę, do której

angażowano wszystkich, łącznie z pracującymi w Zakładzie sekretarkami i panią księgową. Tak to miało wyglądać w teorii, bo praktyka okazywała się zupełnie inna. Wilki, słysząc idących w nagonce ludzi, wcale nie wpadały w panikę i nie leciały na oślep w kierunku sieci. Lata doświadczeń z człowiekiem i prześladowaniami z jego strony sprawiły, że te zwierzęta doskonale wiedziały, że muszą to rozegrać na zimno. Niektóre potrafiły przycupnąć, inne przemknąć pomiędzy idącymi ludźmi, dlatego linia nagonki musiała być odpowiednio gęsta. Nuria opowiadała, że kiedyś taki cofający się wilk wyszedł prostą na nią.

– Ja skoczyłam w prawo, żeby zagrodzić mu drogę, to on hop, w lewo, ja w lewo, to on w prawo. Jak zabawa z psem. Ale oczywiście w końcu wilk bez trudu obok mnie przemknął.

Jeżeli wilki poruszały się do przodu wzdłuż fladrów, to zawsze truchtem, a nie szaleńczym biegiem. Dzięki temu mogły dobrze ocenić sytuację. Podbiegały spokojnie pod sam koniec prowadzącego do sieci korytarza i gdy widziały, co się święci, albo się cofały, albo przełamywały strach i przeskakiwały przez fladry, po czym znikały w lesie. Gdy jeden to zrobił, cała reszta szła za nim. A im bardziej uczyły się, że fladry są niegroźne, tym trudniej było je zmusić do skoku w sieci. Gdyby zamiast nas byli tam uzbrojeni nawet w zwykłe dubeltówki myśliwi, nie mieliby najmniejszego kłopotu z wybiciem nawet całej watahy, bo wilki zbliżały się do sieci czasami nawet na kilkanaście metrów. Ale co innego strzelanie, a co innego łapanie. Włodek starał się, jak mógł, stawiać sieci w takich miejscach, żeby było je jak najmniej widać. Gdzieś na tle gęstych młodników, gdzie plątanina sznurków ginęłaby w plątaninie gałązek – ale wilki i tak często je dostrzegały. Trzeba było sprawę rozegrać strategicznie. I takie strategiczne rozwiązanie w końcu Włodek wymyślił. Otóż stwierdził, że poza zwykłą linią

naganiającą będzie też linia wpychająca wilki w sieci, składająca się z kilku ludzi stojących, a raczej schowanych, przycupniętych kilkadziesiąt metrów przed sieciami. Cały pomysł polegał na tym, że idące spokojnie wilki miały minąć tych ukrytych ludzi. A gdy ich miną, ci mieli natychmiast pojawić się za nimi i pogonić je tak, aby na tych ostatnich kilkudziesięciu metrach nie miały czasu na kombinowanie i pędem gnały w sieci. Tego dnia, kiedy Włodek pierwszy raz postawił mnie na stanowisku wpychającego w sieci, nie zapomnę nigdy. Zmienił on całkowicie mój stosunek do wilków. Była mroźna, śnieżna zima. Do zadania przygotowałem się odpowiednio. Założyłem białą maskującą kurtkę i takie same spodnie. Białe ubranie nie zawsze musi sprawiać, że zimą na śniegu staniemy się niewidzialni. Może być wręcz odwrotnie, jeżeli zaczniemy w nim łazić w zimowym lesie, bo wtedy na tle ciemnych pni widać nas po prostu idealnie. Ale jeżeli w czymś takim przycupniemy wśród śniegu w bezruchu, to stajemy się wręcz niewidzialni. Taki zamaskowany i przycupnięty przy drzewie czekałem na wilki. Najpierw usłyszałem, że nagonka ruszyła. Głosy zbliżających się ludzi były jeszcze bardzo daleko, kiedy pojawił się on. Wielki, piękny szary wilk. Biegł sobie niespiesznie spokojnym truchtem niemal prosto na mnie. Gdy mnie mijał, przytuliłem się do pnia, a gdy wychyliłem się zza niego i zobaczyłem tylko puszysty ogon, podniosłem się i wyszedłem zza drzewa. Stojąc niemal dokładnie za nim, powiedziałem: „Hej!". Wilk odwrócił się, spojrzał na mnie i wystrzelił biegiem jak z armaty. A spod jego ogona wystrzeliła czarna maź. Poszedłem kawałek za nim. Rzadka kupa rozbryzgana na śniegu znaczyła drogę ucieczki. Z przerażenia puściły mu zwieracze. Nie złapał się. Nie pamiętam, czy przeskoczył sieci, czy uderzył w nie tak, że się tylko od nich odbił. To nie było jednak ważne. Zrobiło mi się strasznie głupio i smutno, że jestem

przedstawicielem gatunku, którego inne istoty tak panicznie się boją. Ale też tego dnia ostatecznie i raz na zawsze przestałem się bać wilków.

• • • • • •

SUPERTROPICIELKA

• • • • • •

– Ona nam pomoże – powiedziała Nuria i wskazała na Antonię, która leżała na podłodze z wyciągniętymi przed siebie łapami. Te łapy zawsze układała bardzo dystyngowanie, czasami delikatnie je krzyżując. Elegancji dodawało im jeszcze to, że były na biało zakończone. O to, by biel była nieskazitelna, Antonia dbała aż do przesady i każdy brudek, jaki się na nich pojawiał, natychmiast zlizywała. Nawet gdy była już bardzo stara, chora i ledwo chodziła, pilnowała, aby jej białe skarpety zawsze pozostawały czyste. Ale w 1997 roku Antonia nie była ani stara, ani chora. Była młodą rezolutną suczką, która patrzyła na nas z zaciekawieniem swoimi małymi, ale wyjątkowo bystrymi oczkami. Szybko pogodziłem się z tym, że nasza kundelka nie była ani wilkiem jak Kazan, ani nawet nie przypominała psów Północy. Dość szybko zdążyłem odkryć jej chuligański charakter i upodobanie do włóczęgostwa. Antonia, jak przystało na psa wychowanego na ulicy, szybko pojęła, że gdy mamy ją z Nurią na oku, musi być grzeczna, ale gdy nas nie ma w domu, może się wylegiwać w łóżku.

UWIERZCIE MI, można przejść obok zabitego przez wilki jelenia i nawet go nie zauważyć.

Z kolei gdy znajdowała się na ulicy, gdzie z miną „jestem bezpańskim i bardzo głodnym psem" zaczepiała turystów, była tak skuteczna, że jedni oddawali jej kanapkę przeznaczoną na drugie śniadanie, a inni gnali do pobliskiego sklepu Jarzębinka, żeby kupić jej kawałek kiełbasy. Antonia pochłaniała wyłudzony smakołyk z taką szybkością, jakby to był pierwszy kęs, jaki miała w pysku od wielu dni, po czym szła do domu, gdzie czekała na nią pełna micha ryżu z mięsem i warzywami. Przyznaję, uczyła się bardzo szybko i wszelkie proste polecenia rozumiała w lot. „Siad" i „podaj łapę" umiała już po pierwszym, może drugim dniu u nas. Nigdy jednak nie robiła tego bezinteresownie – jeżeli nie widziała, że mam w ręku coś smacznego, mogłem sobie mówić „siad" i „podaj łapę" do końca świata. Gdy ludzie zaczęli nam znosić młode połamane lub chore bociany, a kury i koty sąsiadów nauczyły się wyjadać im

z kuwety ryby albo mielone mięso, wystarczyło wydać komendę „kura" lub „kot" i Antonia natychmiast goniła złodziei. Oczywiście, gdy my nie widzieliśmy albo ona myślała, że nie widzimy, natychmiast sama wyjadała bociani pokarm. Innymi słowy, była bardzo zaradna.

Ale psia, a dokładnie kundla zaradność to jedno, a to, co wymyśliła Nuria, to już całkiem inna sprawa. Otóż przyszło jej do głowy czyste szaleństwo, ba, marzycielstwo, pomysł zupełnie nierealny, co do którego od razu wiedziałem, że nie wypali. Nuria ubzdurała sobie, że Antonia wywęszy, gdzie leży padlina, że będzie tropić wilki i znajdować ich ofiary, jak jakiś superpies tropiący. Tłumaczyłem jej, że pies, który potrafi tropić i szukać padliny, musi być przecież długie miesiące, a może lata szkolony przez kogoś, kto się na tym zna. A my nie mamy o tym bladego pojęcia. To musi być zwierzak, który ma jakieś predyspozycje, jest odpowiedniej rasy, jak na przykład posokowiec, a nie zwykła kundelka znaleziona na ulicy, o której wiadomo tylko, że wśród przodków miała owczarka szkockiego. Wreszcie, jak pies ma tropić wilki, skoro od myśliwych i z książek wiedziałem, że psy jak ognia wilków unikają. Byłem pewien, że Antonia jak każdy normalny pies, gdy tylko wejdzie do lasu i poczuje wilka, skuli się i będzie mi skamleć pod nogami. I tyle będzie tego tropienia.

– Oszalałaś?! Nic z tego nie wyjdzie – powiedziałem z bólem, bo trochę rozumiałem Nurię. Nuria była zdesperowana, ja zresztą też. Mieliśmy kłopot, i to poważny. Byliśmy w sobie zakochani, ale jak zamek z piasku sypał się nasz pomysł na wspólne życie. W skrócie polegał on na tym, że Nuria zostawia Sewillę i Hiszpanię, a ja Warszawę i razem przeprowadzamy się do Puszczy. Nie chcieliśmy, żeby nasze wspólne życie oznaczało rezygnację z pragnień albo ambicji któregoś z nas. Puszcza wydawała się

idealna. Tu Nuria mogła robić karierę naukową, a ja pisać o zwierzętach. I choć z moją częścią planu nie było kłopotu, bo wystarczyło wyjść do lasu, żeby znaleźć zwierzęcy temat dziennikarski, to wiele wskazywało na to, że część dotycząca marzeń Nurii będzie bardzo trudna do zrealizowania. Dlaczego? Przez tę padlinę, a raczej jej brak. Nuria przyjechała do Polski, żeby pisać pracę doktorską o padlinożercach. Chciała zbadać, kto taki pożywia się mięsem martwych zwierząt. Ale żeby to zrobić, trzeba spełnić jeden bardzo podstawowy warunek, a mianowicie umieć znajdować te martwe zwierzęta, które są pokarmem dla padlinożerców. Wiem, co powiecie: a dlaczego nie tropiliście wilków i rysi? Pewnie, łatwo powiedzieć. Doskonale wiedzieliśmy, że jednym z najważniejszych dostarczycieli padliny są duże drapieżniki, czyli rysie i przede wszystkim wilki, więc aby znaleźć ich ofiary, wystarczyło je tropić. To dobry pomysł. Ale wykonalny tylko zimą, i to przy dobrym śniegu. Można wtedy kilometrami iść za drapieżnikiem, żeby w końcu znaleźć to, co upolował. Niestety, na śnieg trzeba było czekać. Pierwszy śnieg prószy tu, na wschodzie Polski, najwcześniej w listopadzie. I często spada, a potem momentalnie znika. Prawdziwa zima zaczyna się w grudniu i zwykle trwa do końca marca. Przed Nurią były więc miesiące czekania, potem cztery miesiące tropienia, a potem znów czekanie.

NURIA UBZDURAŁA SOBIE, że Antonia wywęszy, gdzie leży padlina, i że będzie tropić wilki.

Oczywiście przy założeniu, że zima będzie śnieżna. Pozostałe pory roku: wiosnę, lato, jesień, musiałaby siedzieć bezczynnie, ze świadomością, że wilcze ofiary w lesie gdzieś na pewno są, tylko my nie potrafimy ich znaleźć. Tak nie dało się prowadzić badań naukowych.

Owszem, niektóre wilki miały obroże telemetryczne z nadajnikami pozwalającymi ustalić ich pozycję, ale to nie była taka technologia jak obecnie. Dziś namierzanie zwierząt, choć nie zawsze jest łatwe, w porównaniu z tamtymi czasami wydaje się po prostu bezproblemowe. Standardem w badaniach dzikich zwierząt jest to, że noszą one na szyi urządzenia, które są skrzyżowaniem telefonu komórkowego z GPS-em. GPS zbiera dokładne pozycje, a telefon komórkowy przesyła je do naukowców SMS-em. Dzięki nim badacz z GPS-em w ręku trafia dokładnie w miejsce, w którym było zwierzę.

Wtedy wyglądało to zupełnie inaczej. Obroża nadawała sygnał radiowy, który trzeba było namierzyć ręcznie anteną połączoną z odbiornikiem – przypominającym radio samochodowe – i określić kierunek, w którym gdzieś tam w lesie jest wilk. Częstotliwość i siła wydawanych przez odbiornik dźwięków, brzmiących jak pikanie, była bardzo ogólną i zwodniczą wskazówką mówiącą o tym, w jakiej odległości od nas jest drapieżnik. Dlaczego zwodniczą? Wystarczyło, że wilk się położył i sygnał słabł. Wilk mógł być blisko, a pikało, jakby był daleko. Do tego, żeby określić w miarę precyzyjnie pozycję zwierzęcia, trzeba było namierzyć je z kilku miejsc. W każdym z tych miejsc za pomocą kompasu należało określić azymut, z którego nadchodził sygnał. Zgodne z tym azymutem linie nanosiło się na mapę i tam, gdzie się przecinały,

był wilk. Tam, albo raczej gdzieś tam. Mały ruch anteną lub kompasem albo jednym i drugim powodował całkiem spore odchylenie od prawdziwej linii wskazującej miejsce pobytu wilków, a błąd rósł wraz z odległością. Mogliśmy więc udawać się na miejsce, gdzie teoretycznie wilki były od jakiegoś czasu, co wskazywało na to, że mają tam coś do jedzenia, a tak naprawdę ich ofiara leżała sto, dwieście albo trzysta metrów dalej. Skąd mieliśmy wiedzieć, w którym kierunku należy iść? Wydaje się, że sto metrów to niewiele, ale w Puszczy pełnej zwalonych pni i wykrotów to kosmiczna odległość. Uwierzcie mi, zabitego przez wilki jelenia schowanego za pniem można minąć o dziesięć metrów. Na początku liczyliśmy, że ten błąd skorygują kruki. One uwielbiają padlinę i odnajdują ją momentalnie. Nie ma w lesie bystrzejszych ptaków. Ale w lecie na kruki nie ma co liczyć. Owszem, jedzą padlinę, ale robią to bardzo skrycie. Para, która zajmuje terytorium, siada na jeleniu i skubie go, dopóki nie powlecze go ruchomy kobierzec muszych larw.

Mimo wszystko próbowaliśmy szukać padliny we wskazanych przez namiary telemetryczne miejscach, ale z marnymi efektami. Chodziliśmy w miejsca, w których miały być wilki, i wracaliśmy z niczym. Coraz częściej z braku tej cholernej padliny siedzieliśmy więc w domu i ogarniała nas frustracja. Doglądaliśmy kolejnych przynoszonych bocianów i gadaliśmy z dziadkami. Mieszkaliśmy wtedy w małym drewnianym domku przy ulicy Olgi Gabiec w Białowieży, tuż obok hotelu Żubrówka, który wtedy nie był żadnym eleganckim hotelem, ale zwykłą restauracją, w której całkiem tanio można było zjeść wielki talerz żurku albo barszczu ukraińskiego, nie mówiąc już o zupie opieńkowej. Domek wynajmowaliśmy od Ani i Janka Buszko, którzy mieszkali w dużym domu obok, i to ich kury i koty objadały nasze bociany, a właściwie

kury i koty dziadków. Razem z nimi mieszkali dziadkowie, jak o nich mówiliśmy, czyli rodzice Janka – Nadzieja i Dymitr Buszko. Byli to bardzo piękni, starzy ludzie o srebrnych włosach i błękitnych jak niebo, radosnych oczach. Dziadkowie, jak to dziadkowie, mieli dużo czasu, podobnie jak my, więc gadaliśmy i gadaliśmy. Szczególnie z dziadkiem Dymitrem, który był niezwykle oczytanym człowiekiem. Książki uwielbiał i trzymał je wszędzie. Kiedyś w poszukiwaniu jakiejś informacji ruszył w kierunku lodówki, ale zanim zdążyłem pomyśleć, że coś mu się pomieszało, okazało się, że zepsuta lodówka służy mu za całkiem wygodną biblioteczkę. Mogłem go słuchać godzinami. Dziadek Dymitr opowiadał na przykład o tym, jak kiedyś z kolegami zamknął dwa niedźwiedzie w szopie i sprał je witkami wierzbowymi za to, że wcześniej podkradały im gęsi. Jak już wspomniałem, niedźwiedzie wróciły do Puszczy w drugiej połowie lat 30., a właściwie zostały tu sprowadzone, po tym jak w XIX wieku wybiła je carska administracja leśna w ramach akcji tępienia drapieżników. Te niedźwiadki przywiezione z Rosji były oswojone, nie bały się ludzi i strasznie rozrabiały.

– One nie były co prawda duże, ale chyba rozumu nie mieliśmy, żeby się tak zamykać z niedźwiedziami w szopie – śmiał się dziadek Dymitr. Pamiętam też historię o rowerze. Dziadek Dymitr kupił go przed wojną u żydowskich kupców za pieniądze zarobione w urzędzie gminy. Podobno zapłacił tyle, ile wówczas kosztowała krowa. Tuż przed tym, jak dziadek poszedł na wojnę w 1939 roku, rozebrał swój rower na części, naoliwił i ukrył tak, że był jak nowy, gdy z niej wrócił. Podczas gdy inne rowery skonfiskowali Sowieci, którzy weszli do Białowieży po 17 września. Bardzo mu tego roweru złożonego przez przedwojennych zazdrościłem. Nazywał się Splendid, czyli po angielsku „wspaniały” i po tym jak raz

pojechałem na nim do lasu, wiem, że zasługiwał na swoją nazwę. Ten rower płynął, a nie jechał. W życiu, ani wcześniej, ani później, nie jeździłem na lepszym rowerze.

Z Nurią dziadek starał się rozmawiać po włosku, bo Nuria znała tylko kilka słów po polsku, a włoski jest w końcu podobny do hiszpańskiego. Zresztą nie tylko on. Po włosku zagadywał też Nurię pan Borys Glad, który mieszkał naprzeciwko. Obaj nauczyli się tego języka w czasie wojny. (Z tą różnicą, że pan Borys, bo był w polskiej armii na Zachodzie i pilnował niemieckich jeńców we Włoszech, a dziadek Dymitr jako jeniec wzięty do niewoli w 1939 roku, bo z Włochami zetknął się w Niemczech). Kiedy Nuria wskakiwała na rower (swój, zwyczajny), żeby pojechać do Zakładu Biologii Ssaków PAN, najpierw machał jej dziadek Dymitr, wołając: „Buongiorno signorina", a chwilę potem „Buongiorno signorina" wołał pan Borys Glad z naprzeciwka. Za to między sobą babcia Nadzieja, dziadek Dymitr i Janek mówili po swojemu, inaczej po tutejszemu. Trudno powiedzieć, czy ta mowa to tylko białowieska gwara, czy może język. Jest to mieszanina ukraińskiego, białoruskiego, polskiego i chyba trochę rosyjskiego, czyli wszystkich języków, jakie w Białowieży się spotykają albo kiedyś spotkały.

A MIASO ostałos?

Rzadko można go usłyszeć na ulicy czy nawet w sklepie – tu wszyscy mówią po polsku. Język tutejszy to język domowy albo, jak kto woli, rodzinny, bo mówi się w nim do członków rodziny, bliskich sąsiadów, ale nigdy do kogoś, kogo uznaje się za obcego. Wkrótce miało się okazać, że właśnie dzięki Antonii dziadkowie przemówią do nas już nie po polsku ani włosku, ale po swojemu, tutejszemu.

Siedzielibyśmy więc nie wiadomo ile, gadając z dziadkami, ratując bociany i popadając we frustrację, która skończyłaby się niewątpliwie tym, że Nuria wróciłaby do Hiszpanii, gdyby ktoś z Zakładu Badania Ssaków nie przywiózł nam pewnego sierpniowego dnia kolejnej wilczej lokalizacji do sprawdzenia, a Nuria w rozpaczy nie przekonała mnie do tego, żeby zabrać w to miejsce Antonię. Próbowałem się opierać nie tylko dlatego, że pomysł z odnajdywaniem wilczych ofiar przez naszą suczkę

wydawał mi się nierealny, ale również dlatego, że wzięcie Antonii oznaczało, że na miejsce poszukiwań, które było dość daleko, musieliśmy jechać rowerami. Od czasu gdy Wiki i Kazan zarzygały zakładową Nyskę przy próbie przewiezienia ich na małą odległość, istniał w tej instytucji niepisany, ale surowo przestrzegany zakaz wożenia służbowymi samochodami jakichkolwiek wilków albo psopodobnych zwierząt. Jechaliśmy więc rowerami, co było potworną udręką. Z początku Nuria wymyśliła, że Antonię, żeby się nie zmęczyła, będziemy wieźć w koszyku na bagażniku powiązanym linkami. Oczywiście bardzo szybko się to wszystko rozwaliło, Antonia spadła, a może sama wyskoczyła z trzęsącego się roweru i nie było mowy o tym, żeby wsadzić ją tam z powrotem. Biegła więc na smyczy tuż obok rowerów, wbiegała pod koła, plątała się albo co chwila chciała się zatrzymać i coś powąchać. Jej niesubordynacja dawała się nam z każdym metrem we znaki. No i jak takie coś miało się okazać psem tropiącym wilki?

W końcu dotarliśmy na miejsce. Był to suchy kawałek Puszczy, pełen świerków i sosen. Nie czuliśmy padliny, na drodze nie było wilczych tropów, nie słychać było kruków. Nic, ale to nic nie wskazywało na to, że znajdziemy tu coś interesującego.

– Szukaj – powiedziałem do Antonii, bo niby co miałem jej powiedzieć? Nic mądrzejszego nie przychodziło mi do głowy, a „szukaj" mówił w filmach z mojej młodości Janek z „Czterech pancernych" do Szarika albo sierżant MO Walczak do bohaterskiego psa Cywila. Oczywiście nie liczyłem ze strony Antonii na nic wielkiego. Tymczasem ona podniosła swój dziwaczny pysk à la Lassie w górę, wciągnęła powietrze do nosa, po czym opuściła go do ziemi i pociągnęła mnie za sobą. Nuria ruszyła za mną. Szła tak, ciągnąc nas w głąb lasu, raz niuchając przy ziemi, a raz zaciągając się tym, co unosiło się u góry. Szarpała smyczą naprawdę mocno,

co utwierdzało mnie w przekonaniu, że idzie po zapachowym śladzie jakiegoś dzika, sarny albo jelenia, czyli zwierząt, za którymi białowieskie kundle lubią ganiać. Właściwie byłem pewien, że jak przystało na psa nieszkolonego, zmienia obiekty tropienia co chwila, kluczy. Może zaczęła iść za dzikiem, a skończy się na tropie jelenia, albo na odwrót. Tak czy inaczej, nie jest to konsekwentna tropicielska robota. Dlatego gdy nagle smycz zwiotczała, nie zwróciłem na to uwagi. Antonia zatrzymała się, po coś szybko się schyliła i zaczęła to coś obgryzać. To coś okazało się nogą jelenia. A dokładnie oderwaną albo raczej odgryzioną nogą jelenia z racicą i resztkami skóry. Kość udowa, czyli ta, która łączy się z miednicą, była zmiażdżona przez wilcze szczęki. Zatkało mnie. Nurię chyba też. No bo skoro jest noga, to musi być i reszta. Tylko gdzie? Jakoś udało się nam tę jelenią nogę odebrać Antonii, która na tym chciała zakończyć poszukiwania.

– Szukaj, szukaj – powiedziałem już z olbrzymim entuzjazmem, a Antonia znów uniosła swój nochal do góry, opuściła go do ziemi i pociągnęła nas dalej. Po kilku minutach staliśmy przy najprawdziwszej wilczej ofierze. Jeleni samiec musiał zostać zagryziony około tygodnia wcześniej. Niewiele z niego zostało. Jak to po uczcie wilków. Za resztę zabrały się owady i ich larwy. Gdzieniegdzie walały się pogruchotane żebra, a resztki mięsa na rozciągniętej skórze objadały białe larwy much. Jedynie czaszka z kawałkiem kręgosłupa i sterczącym pięknym ciemnym porożem wskazywała na to, że są to doczesne szczątki pięknego byka. Wilki czasami wracają do takich ofiar. Może po to, żeby przegryźć coś zgniłego i śmierdzącego? Antonia od razu wzięła się do żucia kawałka skóry. Skoro i psy lubią takie specjały, proszę bardzo. Choć padlina śmierdziała potwornie, byliśmy zachwyceni.

JELENI SAMIEC musiał zostać zagryziony około tygodnia wcześniej.

Pierwsza wilcza ofiara Antonii została obfotografowana, a my wreszcie wracaliśmy z lasu do domu szczęśliwi. Na podwórku spotkaliśmy babcię Nadzieję i dziadka Dymitra.

– Mamy jelenia po wilkach. Antonia znalazła.

– Sobaczka jeho naszła? – dziadkowi, który był człowiekiem Puszczy, aż oczy zabłysły z wrażenia.

– A miaso ostałos? – spytała o bardziej przyziemne sprawy babcia Nadzieja.

– Nic nie zostało. Tylko głowa z porożem – odpowiedziałem, a po chwili dotarło do mnie, że i babcia, i dziadek mówią do nas po tutejszemu. Byliśmy swoi, bo mieliśmy psa, który potrafił znaleźć zagryzionego przez wilki jelenia.

Jak to się stało, że Antonia wiedziała, czego ma szukać, że potrafiła znaleźć zagryzionego jelenia, choć nikt jej nie szkolił? Dlaczego nie bała się wilków, których świeży zapach musiała czuć? Dobre pytania, ale do dziś nie znam na nie odpowiedzi. Nie

potrafiłem ich znaleźć przez te wszystkie lata, kiedy razem łaziliśmy za wilkami i szukaliśmy ich ofiar. Znajdowała je zawsze tak samo szybko jak za pierwszym razem. Nos do góry, nos do dołu i już byliśmy przy wilczej ofierze. Gdzie się nauczyła tej sztuki? Albo dlaczego ją po prostu umiała? Nie wiem. To, co się stało, traktuję trochę w kategoriach cudu.

• • • • • •

APETYT na psy

W drugiej połowie lutego 1998 roku, gdy śniegi już prawie stopniały, leśnicy donieśli Włodkowi, że przy leśnej drodze leży zabity przez wilki łoś. Dla Nurii była to nie lada ciekawostka, bo wilki rzadko zabijały łosie. Zapewne nie tylko dlatego, że w Puszczy łosi jest mało, ale również dlatego, że łosie potrafią się bronić. Nie uciekają, tylko ustawiają się frontem do atakujących drapieżników i stają dęba, tłukąc przednimi racicami. Potrafią w ten sposób miażdżyć wilcze karki. Piotr Dombrowski, leśniczy z Biebrzańskiego Parku Narodowego, opowiadał mi, że znalazł kiedyś takiego pogruchotanego przez łosie wilka. Ciężki łoś nie może uciekać przed wilkami tak szybko jak rączy jeleń. Dlatego najlepszą strategią w jego przypadku jest po prostu zatrzymać się i bronić. Wtedy wilki, a nawet niedźwiedzie, często rezygnują z ataku.

Ale nie wszędzie tak jest: od szwedzkiej badaczki wilków Camilli Wikenros dowiedziałem się, że w jej kraju jest nieco inaczej. W latach 60. ubiegłego wieku po bardzo intensywnych prześladowaniach wilki w Szwecji i Norwegii zostały praktycznie wytępione.

CIĘŻKI ŁOŚ NIE MOŻE UCIEKAĆ przed wilkami tak szybko jak rączy jeleń.

Powróciły 20 lat później i dziś w obydwu tych krajach żyje ich około 300. Ponieważ Szwecja jest królestwem łosi, badaczy bardzo interesowało, jak ułożą się relacje między drapieżnikiem a ofiarą. Okazało się, że szwedzkie łosie nie za bardzo wiedzą, jak sobie radzić z wilkami, w efekcie dla skandynawskiego łosia ryzyko, że zostanie zabity przez wilki, jest od dwóch do dziecięciu razy większe niż w Ameryce.

Dlaczego wilkom aż tak łatwo idzie ze szwedzkimi łosiami? Odpowiedź jest prosta: bo się rzadko bronią. Jeżeli w Ameryce od jednej trzeciej do połowy łosi staje do walki, to w Skandynawii mniej niż co dziesiąty. Czyżby łosie w Szwecji zapomniały, jak się zachowywać wobec drapieżników? Zapewne to też, ale jest również inne wytłumaczenie. Łosie zawdzięczają brak umiejętności obrony przed wilkami... myśliwym. Co roku na Półwyspie Skandynawskim zabijanych jest około 100 tys. łosi, a jednym z najpopularniejszych sposobów jest polowanie z psem. To właśnie pies szczekaniem lub

dzięki nadajnikowi GPS, który ma na obroży, wskazuje myśliwemu, gdzie jest łoś. Tymczasem w Ameryce nie poluje się z psem. Myśliwi w Skandynawii dokonują selekcji w zupełnie innym kierunku niż naturalna, która promowałaby zwierzęta broniące się przed drapieżnikami. Tu w pierwszej kolejności i najczęściej giną te łosie, które na widok psa stają do walki. Znacznie większą szansę na uniknięcie kuli mają te, które zwiewają co sił w nogach. Tylko że to, co się sprawdza, gdy trzeba się uratować przed myśliwym, nie działa w wypadku, gdy do ataku ruszą wilki. Jednym słowem, łosie nie są łatwą ofiarą dla wilków, ale nie wszędzie i pod warunkiem, że w relacje między zwierzętami nie wtrąca się człowiek.

Na szczęście nasze polskie łosie doskonale wiedzą, jak się bronić przed wilkami. Tym bardziej byliśmy więc z Nurią ciekawi ofiary, o której powiedział nam Włodek. Zapakowaliśmy się do samochodu razem z Antonią, bo choć wiedzieliśmy mniej więcej, gdzie leży łoś, to przecież z naszą supertropicielką zawsze łatwiej będzie go namierzyć. Na miejscu okazało się, że Antonia nie musi nawet wyskakiwać z samochodu. Leśna droga okazała się czymś w rodzaju grobli, a raczej nasypu kolejowego. Takich nasypów w Puszczy jest bardzo wiele, to pamiątka po kolejkach wąskotorowych, dzięki którym Niemcy w czasie pierwszej wojny światowej mogli się dobrać do wielkich puszczańskich drzew. Po jednej stronie tej grobli leżał trochę nadjedzony łoś, a po drugiej krwawo wyrwana jego tylna noga. Widzieliśmy wiele wilczych ofiar i przestały już robić na nas wrażenie, ale tym razem było troszkę inaczej. Mieliśmy przed sobą wielką tylną nogę z olbrzymim udźcem. To, że została oderwana od reszty ciała, było dowodem na to, jak silnymi zwierzakami są wilki. Łoś, a dokładnie klępa, czyli dorosła samica, musiała zginąć dwa dni wcześniej i wszystko było jeszcze bardzo świeże. Kruki właśnie się zlatywały i coraz więcej ich

krążyło nad samochodem, kracząc nerwowo. Nie mogły się doczekać, kiedy wreszcie stamtąd znikniemy i damy im ucztować. Nuria chyba wiedziała, o co chodzi krukom.

– Wiesz co, odjedźmy stąd – zaproponowała. – Zatrzymamy się tam dalej i z odległości popatrzymy, co się będzie działo. A ja przy okazji policzę kruki.

Tak też zrobiliśmy. Odjechaliśmy dalej, na jakimś leśnym skrzyżowaniu zawróciliśmy i przez lornetki obserwowaliśmy, jak kruki (z notatek Nurii wynika, że było ich dziesięć oraz jeden myszołów) najpierw obsiadają drzewa, a potem jeden po drugim lądują przy łosiu i jego nodze. Trwało to kilka minut, aż nagle wszystko się zmieniło. Kruki poderwały się, krzycząc nerwowo i tak głośno, że usłyszeliśmy je w samochodzie. Obsiadły znów drzewa, a na groblę wyszło jakieś czworonożne zwierzę.

– Lis – powiedziałem, bo z daleka zwierzak wydawał mi się niezbyt duży. Ale kiedy przyłożyłem lornetkę do oczu, od razu zobaczyłem, że to wilk. Po nim pojawił się następny i następny. Prawie że na naszych oczach cała wataha pałaszowała łosia. Piszę „prawie", bo samego łosia i jego nogi nie widzieliśmy. Tylko wilki przechodzące raz na jedną, raz na drugą stronę nasypu i kruki siedzące na drzewach i z żalem gapiące się w dół. Nie wiem, ile to trwało. Może kilkanaście minut. W pewnym momencie wilki zniknęły. A przynajmniej przestały przechodzić z jednej na drugą stronę nasypu, a na dół jeden po drugim zaczęły zlatywać kruki.

– Poszły – stwierdziła Nuria, ale na wszelki wypadek, żeby mieć pewność, że wilków nie będzie w pobliżu, wyciągnęła antenę i odbiornik telemetryczny. Widzieliśmy, że jedna z wilczyc w tej rodzinie miała obrożę z nadajnikiem.

„Pik, pik, pik" usłyszeliśmy, gdy Nuria nakierowała antenę na sygnał, który wyraźnie słabł.

– Odchodzą, na pewno. Są całkiem daleko, możemy jechać – powiedziała.

Kiedy dotarliśmy do łosia, zobaczyliśmy, że jest bardziej nadjedzony. Płuca, wątroba, serce zniknęły w czeluściach wilczych paszczy i straszyła po nich tylko ciemna dziura otoczona sterczącymi żebrami. Wilki musiały w ciągu tych kilkunastu minut pochłonąć dobre 20-30 kilogramów podrobów.

– Zaraz, zaraz, a gdzie jest noga? – zapytała Nuria. Rzeczywiście nogi nie było. Wilki poniosły ją ze sobą. Zapewne, jak to zwykle bywa, niedaleko, może kilkadziesiąt metrów dalej. Też zostały z niej już najprawdopodobniej obgryzione kości z racicą na końcu.

Nuria w opisywaniu ofiar była bardzo dokładna. Musiała więc wiedzieć, gdzie jest ta oderwana noga, gdzie wilki zaciągnęły skórę albo głowę. Wszystko to starannie notowała.

– Bierz Antonię i poszukajcie nogi – powiedziała, a mnie nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Wolałem ruszyć z Antonią w las, niż obwiązywać ciało klępy łańcuchami po to, żeby je zważyć. Sprawdziłem, czy szelki naszej suczki są na tyle dobrze zapięte, że mi się z nich nie wywinie, powiedziałem magiczne „szukaj" i ruszyliśmy na poszukiwania. Antonia, tym razem zupełnie nie niuchając raz w górę, raz w dół, pociągnęła mnie na czerwonej smyczy za sobą w las. Nie kluczyła, jak to zwykle miała w zwyczaju robić, gdy ślad zapachowy był niezbyt wyraźny, tylko dziarsko zasuwała do celu. Ciągnęła mnie z taką parą i zacięciem, że musiałem bardzo uważać, żeby się nie wywalić. I nagle zobaczyłem coś kątem oka. A właściwie nie zobaczyłem, ale najpierw usłyszałem uciekające zwierzę, a później mignął mi szary kształt. „Wilki? Niemożliwe. Wilki już sobie poszły. To dzik albo sarna" – przemknęło mi tylko przez głowę, bo pędziłem za Antonią dalej. Nagle wybiegliśmy z gęstego lasu na polanę, a może stary

zrąb, na którego skraju rósł wielki dąb. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby na tym dębie nie siedziało kilka kruków i nie patrzyło w dół jak sroka w gnat. Bo oto pod dębem leżał wielki szary wilk i obgryzał poszukiwaną nogę łosia. Przez kilka sekund wilk był zaskoczony naszym wtargnięciem na polanę. Patrzył na nas znad tej wielkiej nogi, jakbyśmy byli kosmitami, którzy raptem wylądowali mu przed nosem. Ja zresztą na jego widok też zamarłem zdumiony. Antonia chyba również była w szoku, bo stanęła jak wryta. A później wszystko potoczyło się bardzo szybko. Antonia wyrwała do przodu. I naprawdę nie wiem, czy chodziło jej o tę nogę, czy też chciała się z wilkiem po prostu pobawić. Ten zerwał się na równe nogi i najpierw się wyprostował, a później ruszył w naszą stronę. I naprawdę nie wiem, czy chodziło mu o obronę nogi, czy o dołączenie Antonii do posiłku w charakterze dania. Ja jedną ręką chwyciłem za szelki, a drugą mocno objąłem rwącą się do przodu suczkę. Wilk bardzo szybko zorientował się, że Antonia nie jest sama i że towarzyszy jej człowiek, czyli najbardziej przerażające zwierzę na naszej planecie, i bardzo szybko prysnął do lasu. Mimo to wciąż obiema rękami mocno trzymałem psa. Wyglądało na to, że część watahy wraz z wilkiem, który nosił nadajnik, odeszła, ale część została w okolicy. Nie wypuszczałem więc Antonii z objęć – za nic na świecie nie mogłem pozwolić, żeby mi się wyrwała. Dobrze wiedziałem, co wilki mogą zrobić z psem, gdy zostaną z nim sam na sam.

Dowiedziałem się tego zaledwie miesiąc, może dwa wcześniej. Ówczesny łowczy nadleśnictwa Białowieża Tomek Werkowski poprosił, żebyśmy odnaleźli jego psa. Jakiś myśliwy postrzelił łanię, której nie potrafił odnaleźć. Musiała być akurat odwilż, bo nie dało się tropić po śniegu, który zalegał w Puszczy wielkimi, ale oddalonymi o siebie płatami. Zwrócił się więc o pomoc łowczego,

który miał psa. Piesek nazywał się Tropik i był chyba jagd terierem, czyli niezbyt dużym zwierzęciem. Teoretycznie miało być tak, że gdy Tropik trafi na postrzeloną łanię, to głośnym szczekaniem da znać, gdzie ona jest. Pies szybko podjął ślad i ruszył w las, ale jego szczekania nikt już nie usłyszał. W lesie panowała cisza, mijały godziny, a Tropik nie wracał. Wyruszyliśmy więc z Nurią i Antonią na jego poszukiwania. Antonia znakomicie namierzyła postrzeloną łanię.

KRZYŻÓWKA WILKA z psem może wyglądać niemal jak wilk.

Prowadziła nas od jednej plamki krwi do drugiej. Zranione zwierzę biegło przed siebie. Gdy przechodziliśmy przez płat topiącego się śniegu, okazało się, że Tropik też bezbłędnie podążał śladem łani. Na śniegu poza odciskami jej racic i kroplami krwi kapiącej z rany były też odciski łapek teriera. Szliśmy dalej za Antonią, która ciągnęła nas od jednej do drugiej śnieżnej łaty, śladami zranionego zwierzęcia i Tropika. Zaczynało się ściemniać, a w lesie powoli

rozsuwała się mgła powstająca z parujących resztek śniegu. Zaczęliśmy już tracić nadzieję, że rozwiążemy zagadkę zniknięcia Tropika, gdy wyszliśmy na wielką śnieżną połać. Na samym jej początku było to, co na wszystkich poprzednich: tropy broczącej już coraz bardziej krwią łani i tropy podążającego za nią psa. W połowie śnieżnego pola po obu stronach pojawiło się coś jeszcze. Tropy wilków. Odciski wielkich łap nagle zeszły się z tropami łani i Tropika i tu tropy teriera zniknęły. Dosłownie wyparowały. Nie znaleźliśmy po nim ani włoska, ani kosteczki, ani plamki krwi.

– O matko, wtrząchnęły go całego w powietrzu, i to jeszcze w biegu – powiedziałem Nurii, która oczywiście, patrząc na tropy, doskonale widziała, co się stało. Kilkadziesiąt metrów dalej leżała do połowy zjedzona łania.

Okropne? No pewnie, że tak, szczególnie dla psa i jego właściciela. Ale tak naprawdę wilki, zabijając ganiające po lesie psy, robią dobrą robotę dla przyrody. Las to nie jest miejsce dla wolno hasającego psa. Psy są drapieżnikami, a ponieważ w przeciwieństwie do wilków mogą wrócić do domu i się najeść, a potem dalej polować, ich gra z ofiarami takimi jak sarny, jelenie, dziki albo zające, nie jest zbyt uczciwa – w przeciwieństwie do wilków, które jeśli niczego nie upolują, to umrą z głodu.

Mnie zastanawia co innego: na czym właściwie polega kosa między wilkami i psami. Są oczywiście takie psy jak Antonia albo przedstawiciele takich ras jak owczarki podhalańskie, które pilnują owiec i nie boją się wilków. Pewien baca w Bieszczadach opowiadał mi, że owczarki potrafią znakomicie bronić owiec, bo wilki zwykle uciekają na widok wielkiej białej ujadającej bestii. A żeby naprawdę mieć z wilkami spokój, trzeba mieć przynajmniej kilka takich psów. Bo jeśli jest tylko jeden, to część wilczej watahy

odciąga go od owiec, a druga część je porywa. Gdy zaś owczarków jest kilka i są od maleńkości zżyte z owcami, wilki nie mają szans.

Ale większość normalnych psów boi się ich panicznie. Kiedy tylko wilki pojawiają się w okolicach Teremisek, psy od razu reagują nerwowym szczekaniem i wyciem, w którym jest czysty strach. Ilekroć słyszałem to przerażone ujadanie, zawsze wiedziałem, że wilki są w pobliżu, zresztą zwykle było też słychać ich wycie. Jak już wspomniałem, pies w lesie to z kolei dla wilków potencjalna ofiara, i to taka, którą zjada się ze smakiem. Jest to zresztą trochę dziwne, bo gdy wilki zabijają na przykład w pobliżu swoich ofiar lisy, to tylko łamią im kark i zostawiają je w spokoju. Nie ruszają ich, bo lis może być nosicielem wielu chorób i pasożytów niebezpiecznych dla wilków. Skąd w takim razie ten apetyt na psy, które są jeszcze bardziej z nimi spokrewnione?

Psy to przecież nic innego jak udomowione gdzieś między 27 a 40 tysiącami lat temu wilki. Do tego udomowienia doszło w różnym czasie i w różnych miejscach, ale najwcześniej w okolicach Tajmyru na Syberii. Najprostsza z hipotez głosi, że wilki po prostu podążały za ludźmi, którzy byli już wtedy bardzo sprawnymi i posługującymi się wieloma narzędziami oraz ogniem myśliwymi i korzystały z resztek jedzenia zostawianych przez naszych przodków. Nie sądzę jednak, aby w ten sposób mogły zostać udomowione dorosłe wilki. Co prawda niedawno pojawiło się nagranie wideo z pewnej kanadyjskiej stacji polarnej pochodzące z października 2014 roku, na którym widać, jak jej pracownicy karmią parę białych polarnych wilków, do których po chwili dołącza trzeci. I cała trójka zachowuje się jak psy. Myślę, że mechanizm był inny. Prawdopodobnie co jakiś czas przy ludzkich obozowiskach mogły się pojawiać młode wilczki, które z jakichś powodów musiały opuścić watahę – albo wataha musiała je zostawić, albo po prostu się zgubiły i głodne

dołączyły do ludzi. Wilki nie pozbywają się młodych ot tak, są niezwykle rodzinne. Sabina Nowak ze Stowarzyszenia dla Natury „Wilk" opowiadała mi o pewnej wilczej rodzinie z lekko niepełnosprawnym maluchem, która nigdy go nie zostawiła. Jednak wilcze szczenięta mogły się po prostu zgubić. To zdarza się zresztą do dziś, niedawno w archiwach prasowych znalazłem notkę o młodym, całkiem zdrowym wilczku, który po prostu przybłąkał się do jednego z gospodarstw w Puszczy Piskiej. Wcześniej ktoś opowiadał mi o wilczku, który przyszedł do grillujących ludzi, ale tej historii nie udało mi się potwierdzić.

Ludzie wiedzieli, jak pomocne podczas polowania mogą być wilki, bo z pewnością wielokrotnie widzieli je w akcji. Zapewne korzystali z takich wilczków, a gdy im ich brakowało, to być może wybierali je z gniazd zupełnie tak, jak zabrano Kazana. Te, które były zbyt wilcze, walczyły o dominację i nie chciały się podporządkować, po prostu zabijali. I tak w wyniku silnej selekcji powstały psy. To udomowienie opłaciło się człowiekowi. Dzięki psom, a może wówczas wilkopsom, byliśmy jeszcze skuteczniejszymi myśliwymi. Zranione przez nas zwierzęta były odnajdywane przez nasze psy albo jeszcze wilko-psy. Profesor Pat Shipman z Uniwersytetu Stanowego Pensylwania twierdzi nawet, że człowiekowi udało się wyprzeć neandertalczyka właśnie dlatego, że miał do dyspozycji psy. Dla człowieka współczesnego polowanie z psami też stało się łatwiejsze i bezpieczniejsze, choć już nie ma bezpośredniego kontaktu z dużymi i groźnymi zwierzętami jak mamuty albo prehistoryczne żubry.

Psy też na tym skorzystały, i to bardzo. W porównaniu ze swoimi dzikimi pobratymcami osiągnęły prawdziwy sukces. Podczas gdy mamy dziś w Polsce około 7 milionów psów, to w lasach żyje około tysiąca wilków, czyli 7 tysięcy razy mniej.

Poddane silnej presji ze strony człowieka wilki powoli przeistaczały się w psy, czyli w istoty bardziej uległe i z czysto zwierzęcego punktu widzenia bardziej naiwne. Zmieniły się im nie tylko cechy zewnętrzne, ale również wewnętrzne i fizjologiczne. Chociażby to, że psy mają cieczkę, czyli są płodne, dwa razy do roku. Wilki tylko raz. Co ciekawe, przeciętny wilczy mózg jest większy od psiego i wiele wskazuje na to, że wilki są nieco mądrzejsze i lepiej im idzie współpraca w obrębie stada. Dwie badaczki z Uniwersytetu Weterynaryjnego w Wiedniu Friederike Rangi i Zsófia Virányi obserwowały zachowania w grupie wilków i psów, które wychowywały się od maleńkości w tych samych warunkach. Podczas jedzenia wilki może i na siebie warczały, ale każdy, nawet najsłabszy w grupie, mógł się pożywić. U psów dochodziło do walk. Wilki były znacznie lepsze w rozwiązywaniu problemów, na przykład w dobieraniu się do zamkniętego w pojemniku jedzenia albo odnajdywaniu ukrytych smakołyków, bo wataha współpracowała. Psy czekały na to, co zrobi lider. Oznacza to, że dla naszych pupili ważniejsza od rodziny jest narzucona hierarchia. Nic w tym dziwnego, bo człowiek nie potrzebował tak bardzo partnera jak wykonawcy poleceń. Jeszcze jedna cecha odróżnia obydwa bardzo blisko spokrewnione zwierzęta: to moment socjalizacji, czyli okres, w którym zwierzę (albo człowiek) uczy się podstawowych praw otaczającego go świata, reakcji na obcych i swoich. Kathryn Lord, amerykańska uczona, która badała siedem wilczych i kilkadziesiąt psich szczeniaków, twierdzi, że w przypadku obu gatunków dzieje się to w różnym czasie i ma nieco inny mechanizm. I małe psiaki, i wilczki na pierwszy rzut oka rozwijają się podobnie. Powonienie u jednych i drugich zaczyna pracować w wieku około dwóch tygodni, słuch – czterech, a widzieć szczenięta zaczynają w wieku sześciu tygodni. Tylko że okno

socjalizacji otwiera się u wilków w wieku dwóch tygodni, a u psów – czterech.

WIĘKSZOŚĆ NORMALNYCH PSÓW panicznie boi się wilków.

Małe wilczki, choć nie słyszą i nie widzą, a jedynie potrafią węszyć, już łażą i się wspinają, w ten sposób poznając najbliższe otoczenie. Kiedy już zaczynają słyszeć i widzieć, każdy dźwięk i zapach jest dla nich szokiem poznawczym, do wszystkiego, co nowe, podchodzą z rezerwą i wszystko wydaje im się podejrzane. A psy wchodzą w świat ufnie i bez strachu. Myślę, że ten mechanizm zakładający nieufność jest znakomitym przystosowaniem do życia w bezwzględnej przyrodzie. Z kolei późniejsza socjalizacja u psów przy w miarę rozwiniętych zmysłach pozwala lepiej ułożyć sobie relacje z ludźmi.

Oczywiście nie zawsze jest tak, że wilki stronią od psów, a psy od wilków. Czasami tam, gdzie wilki kolonizują nowe tereny albo

gdzie w czasie polowań rozbijane są wilcze rodziny, dochodzi do krzyżowania się z psami. Takie krzyżówki mogą wyglądać niemal jak wilki i mogą być niezwykle groźne, bo mają wilczą umiejętność zabijania i psi brak strachu przed człowiekiem. Ale dochodzi do nich niezwykle rzadko, gdy wilki nie mają wyboru. Bo na ogół wilki traktują dziś psy niemal wyłącznie jak potencjalne ofiary, a psy ze swą naiwnością są ofiarą bardzo łatwą.

Te wszystkie myśli miałem w tyle głowy zawsze, gdy pracowałem z Antonią w lesie. Kiedy na samym początku okazało się, że nasza suczka w sekundę potrafi wyjąć głowę z obroży, zamieniliśmy ją na szelki. Z tych też potrafiła się wyplątać, cofając się i wyginając, ale trwało to na tyle długo, że wiedziałem, co ma zamiar zrobić, i potrafiłem złapać ją za fałd skóry na karku. Pewnie, podziwiałem wilki, ale nie miałem zamiaru pozwolić, aby moja ukochana sunia pognała do nich na pożarcie.

Pewnego jesiennego dnia byłem z nią w lesie. Szliśmy sobie spokojnie, gdy nagle Antonia ruszyła do przodu. Nie podobało mi się to, bo nie chciałem, żeby ganiała za zwierzakami. Momentalnie skróciłem smycz i chwyciłem ją za skórę. „Miii, mii, mimm" – zapiszczała bardzo niezadowolona z tego, co jej zrobiłem. A potem znów „miii, mii". Trwało to chwilkę, a potem usłyszałem, że coś biegnie w naszą stronę, i nagle z zarośli wypadł na nas jeden, a potem drugi wilk. Oba momentalnie zrezygnowały ze zjedzenia Antonii, gdy tylko zobaczyły, że jest w moim towarzystwie. Owszem, byłem troszkę zszokowany tym nagłym spotkaniem, ale kiedy Antonia się już uspokoiła, spojrzałem na nią i spytałem:

– Sunia, jak to było? „Mii, mii, miimm"? Popatrz, wilki lecą na to twoje skomlenie.

DOPAŚĆ jelenia

Wyszliśmy z Antonią z chaszczy na leśną drogę. Z daleka zauważyłem kolorową grupkę ludzi wpatrujących się w coś na ziemi. Obok stała łada niwa, samochód Białowieskiego Parku Narodowego, o którą opierało się trzech strażników. Gdy podszedłem bliżej, od razu poznałem, że ta grupka to byli „westmani", jak mówiliśmy o przybyszach z zachodniej Europy. Wtedy, pod koniec lat 90., można ich było łatwo od Polaków odróżnić. Mieli znakomite kurtki, spodnie i buty, o których mogłem tylko pomarzyć. „Westmani" przede mną otoczyli kręgiem coś, co leżało na ziemi. Wszyscy wpatrywali się w dół z nabożeństwem, a jedna z osób filmowała znalezisko. W przeciwieństwie do skupionej na nie wiadomo czym grupce strażnicy, ubrani w brzydkie zielonkawe leśne ciuchy, gumofilce oraz czapki z daszkiem z tworzywa sztucznego, wyglądali na niezwykle rozbawionych.

– Cześć! Co oni tam mają? – zagadnąłem ich.

– Sam spytaj – odpowiedzieli, po czym złapali się za brzuchy i wybuchli gromkim śmiechem. Wyglądało to tak, że gdyby nie samochód, o który się opierali, zaraz zaczęliby się tarzać z radości po piaszczystej drodze.

JELENIE ZNAJĄ PUSZCZĘ I WIEDZĄ, gdzie muszą uważać na wilki bardziej, a gdzie są względnie bezpieczne.

– Cześć! Przepraszam, co tam macie ciekawego? – zapytałem po angielsku „westmanów", którzy okazali się Holendrami. Na moje słowa grupka się rozstąpiła, a ja zobaczyłem, że ich uwagę przyciągnął krzyżyk wydrapany patykiem na piasku. Nie zdążyłem zapytać nawet, co ten krzyżyk ma znaczyć, gdy pewna starsza dama z niezwykłą powagą wskazała go palcem i powiedziała z namaszczeniem.

– Tu, właśnie w tym miejscu, znaleźliśmy kupę wilka.

– Serio? – zapytałem i już czułem, że na twarzy pojawia mi się złośliwy uśmieszek. Ale go opanowałem. Dla strażników codziennie przemierzających las kupa wilka na drodze to coś normalnego. My, pracując w programach badawczych, zbieraliśmy je do analiz wilczej diety dziesiątkami, a nawet setkami. Ładowaliśmy je do papierowych toreb, żeby ładnie wyschły, a nie spleśniały. Z „westmanami" było inaczej. Dla tych ludzi wilk to było mityczne

stworzenie. Niewielu miało szczęście i szansę go zobaczyć, nawet tu, w Puszczy. Tropy mogli zobaczyć jedynie ci, którzy przyjeżdżali zimą. Ale gdy śniegu nie było, jedynym znakiem świadczącym o tym, że są w miejscu, gdzie żyje wilk, była jego kupa. Dlatego powstrzymałem pogardliwy uśmiech i udając zdziwienie, grzecznie spytałem:

– O! A jak ją znaleźliście?

– Z psem oczywiście – odpowiedział ktoś z grupy. Pokiwałem głową. Wiedziałem, o jakiego psa chodziło. Chłopak, który prowadził tę grupę i od lat przyjeżdżał do Zakładu pomagać w wilczych badaniach, tym razem pojawił się z psem. Wspaniałym, rasowym i trochę wilkowatym, podobnym do łajki. Miał to być specjalny pies na wilki i do szukania ich ofiar. Podobno był szkolony w zoo, w którym są wilki, i nie bał się ich zapachu. Do tego był bardzo karny i wiedział, że jak się mu zakłada niebieskie szelki, to ma nie tropić, a jak czerwone, to ma tropić. A może na odwrót? Mniejsza z tym. Oczywiście ten pies, kiedy już pojawił się w Puszczy, niczego nie znalazł. Bał się lasu potwornie, a w końcu zaciągnięty do jakiejś wilczej ofiary, którą znalazła Nuria, jedynie ją obwąchiwał ze strachem. Ofiarę, a nie Nurię, ma się rozumieć. Namierzenie kupy wilka, zrobionej na środku drogi, nie było szczytem tropicielskiego kunsztu.

Tymczasem Antonia, ta dziwna przygarnięta przez Nurię kundelka, nieszkolona przez nikogo, która w niczym nie przypominała wymarzonego wilkowatego psa, szła jak burza. Od ofiary do ofiary. Bardzo szybko moje serce zaczęła przepełniać duma, która wymazała z pamięci to, że początkowo nie chciałem wziąć Antonii. Zapomniałbym o tym zupełnie, gdyby nie Nuria, która co jakiś czas mi małostkowość wypominała.

– Co to za dziwny pies? Z takim pyskiem jak mrówkojad! – przedrzeźniała, a mnie robiło się głupio. Już kilka dni po znalezieniu pierwszego zabitego przez wilki jelenia Antonia znalazła następnego. Zrobiła to jak za pierwszym razem i w takim stylu, jakby robiła to całe życie: nos do góry, nos do dołu i już byliśmy przy wielkim byku, który stracił życie przy leśnym ogrodzeniu. To była prawie klasyczna wilcza ofiara. Prawie klasyczna, bo od zupełnie klasycznej różniła ją płeć. Byki jako ofiary wilków nie zdarzają się często. Wilki zabijają głównie młode i łanie – to łatwiejsze ofiary, poza tym jest ich po prostu więcej. Wilki nie są przywiązane do jakiegoś określonego typu ofiary. Oczywiście tam, gdzie jest sporo jeleni, będą polować na jelenie, bo te wielkością najlepiej odpowiadają ich potrzebom. Jeleń jest większy od sarny, za którą trzeba się tak samo albo i jeszcze bardziej naganiać. W miejscach, gdzie jest więcej dzików, zabijają głównie je, a szczególnie lubią polować na młode, czyli warchlaki. I nawet tu, w Puszczy, gdzie jeleni jest sporo, gdy pojawią się młode dziczki, ich udział w wilczej diecie wzrasta. Wiadomo to oczywiście z analiz odchodów, ale kiedyś Antonii udało się wywęszyć kawałeczek wątroby małego dzika.

TYMCZASEM SŁAWA NASZEJ ANTONII tropicielki rosła.

Poza takimi podstawowymi ofiarami jak jelenie albo dziki (w Puszczy rzadziej) wilki potrafią też polować na gryzonie, w tym największe z nich, czyli bobry. Zapewne trudno upolować je w wodzie. Wilki mogą rozkopywać żeremia, ale najczęściej polują na nie, gdy lód skuwa rzeki i rzeczki. Bobry korzystają wtedy z zatopionych gałązek, ale pod koniec zimy wyłażą na lód – żeby zjeść coś świeżego albo dlatego, że kończą im się zapasy. I wtedy wilki mogą je łatwo dopaść. Po takim bobrze zostaje na lodzie krwawa plama i bobrza sierść.

Takie ofiary należały jednak do rzadkości, bo głównie znajdowaliśmy jelenie. O wilkach często mówi się, że to selekcjonerzy zwierząt. Coś w tym jest. Kiedyś znaleźliśmy jelenia, który miał odstrzeloną przednią nogę. Wilki musiały dopaść go bez najmniejszych kłopotów. Ale inne ofiary? Czy one też były w jakiś sposób słabsze? Na pierwszy rzut oka bardzo trudno poznać, czy jeleń jest zdrowy, czy coś mu dolega. Wilki oczywiście sprawdzają

to, goniąc ofiarę – te słabsze mają mniejsze szanse ucieczki, bo wolniej biegną i szybciej się męczą. To, w jakiej kondycji była ofiara, można sprawdzić po zawartości tłuszczu w szpiku kości – małe ilości świadczą o słabej kondycji. Badania wskazują na to, że szczególnie młode jelenie, które zostały upolowane pod koniec zimy, miały małą zawartość tłuszczu. Z badań kanadyjskich i amerykańskich wynika, że wiele zabijanych przez wilki łosi miało choroby i pasożyty. Tu też wilki różnią się od myśliwych, u których odsetek zabitych zwierząt w dobrej kondycji jest znacznie większy niż u drapieżników. Być może tłumaczy to, dlaczego wilki tak naprawdę mają niewielki wpływ na liczebność populacji swych ofiar: bo zabijają i zjadają zwierzęta, które by i tak umarły. Wilki potrafią też wykorzystywać inne słabości ofiar. Szczególnie zimą sporo jeleni było zabijanych nad ranem – wówczas często zapadają w stan delikatnego odrętwienia, torporu. Temperatura ciała spada im wtedy z trzydziestu kilku do ledwie dwudziestu kilku stopni. Bardzo obniża się też tętno. Taki prawie zahibernowany jeleń powraca do świata żywych dopiero wtedy, gdy wzejdzie słońce. W ten sposób zwierzęta te starają się zachować jak najwięcej energii potrzebnej do przetrwania zimy. Ale jednocześnie łatwiej stają się ofiarami wilków.

Mnie bardziej niż zdrowie wilczych ofiar interesowało co innego. Przy kolejnych martwych zwierzętach znajdowanych przez Antonię albo odnalezionych zimą dzięki tropom na śniegu okazywało się, że prawie zawsze wilki zabijały przy jakiejś przeszkodzie. Gdy szedłem za nimi na nartach, widziałem, jak potrafią całymi kilometrami iść po drogach – bo tak po prostu jest wygodniej, niż kluczyć po lesie między zwalonymi drzewami – by w pewnym momencie wejść do lasu w poszukiwaniu ofiary. Potem często się rozdzielały i szły pojedynczo lub dwójkami, by nagle zejść się

w miejsce, w którym dopadały jelenia. Nie mam pojęcia, czym się kierowały i co im podpowiadało, gdzie najlepiej uderzyć. Najprostsza, ale czysto teoretyczna odpowiedź jest taka, że wilki świetnie znają swoje terytoria i wiedzą, gdzie będzie najłatwiej zabić. Być może z rozmysłem pchają jelenia do określonych miejsc. Może to być drewniany płot ogradzający jakąś leśną uprawę, jak to było przy tym byku znalezionym kilka dni po pierwszym. Albo mała rzeczka, kanał, nasyp czy kłoda. Nie są to przeszkody pułapki, których jeleń nie potrafiłby sforsować. Nawet przez płot mógłby bez trudu przeskoczyć. Ale wydaje mi się, że w tej wilczo-jeleniej grze chodzi o spowolnienie ofiary, a nie o jej całkowite zatrzymanie. Przy przeszkodzie, która na pierwszy rzut oka wydaje się zupełnie niewinna, jeleń się zawaha. Na sekundę, może na ułamek, ale to wystarczy, żeby go dopaść. Są i przeszkody, a może raczej pułapki, bardziej oczywiste, jak na przykład lód. Jelenie ze swoimi twardymi racicami ślizgają się po nim niczym dziecko robiące pierwsze kroki na łyżwach. Nie ma szans na ucieczkę przed wilkami, które dzięki miękkim i antypoślizgowym opuszkom łap nie mają problemu z przyczepnością. Mało tego, ciężki jeleń szybciej się zapada, kruszy cienki lód, grzęźnie. Lżejsze wilki poruszają się po lodzie bez problemu i używają zamarzniętych rzek jako tras przelotowych (chodzi im się po nich równie wygodnie jak po drogach).

GDY ZAUWAŻYŁEM WILCZE tropy zmierzające w kierunku doliny rzecznej, wiedziałem, że mogę tam znaleźć coś ciekawego.

I oczywiście jako genialnych pułapek. Dlatego gdy zauważyłem wilcze tropy zmierzające w kierunku rzecznej doliny, wiedziałem, że mogę tam znaleźć coś ciekawego. Takie miejsca wilki często wykorzystują wielokrotnie. Kiedyś w Bieszczadach na lodzie pewnego szeroko rozlewającego się potoku znalazłem resztki zabitego przez wilki cielaka, po czym kilka lat później w tym samym miejscu znalazłem inną wilczą ofiarę. Podobnie działa głęboki zmarznięty na wierzchu śnieg, po którym wilkom łatwiej się poruszać niż jeleniom. Tak więc mitem jest twierdzenie, że zimą wilki chodzą głodne. Raczej nie. Akurat w srogie zimy, o ile nie brakuje w okolicy jeleni, jest im wyjątkowo łatwo polować. Innym takim momentem jest wiosna, a konkretnie okolice maja, gdy przychodzą na świat młode jelenie, sarny i łosie. (Zresztą wtedy także wilki mają młode).

Ponieważ śnieg i lód nie pomagają im już wówczas w polowaniu, strategicznie wykorzystują teren. U bieszczadzkich wilków widać to bardzo wyraźnie, bo wiele swoich ofiar zabijają w potokach, które wcinają się wąskimi i stromymi dolinami w zbocza. W takiej dolinie jeleń jest całkiem bezradny i musi być w znakomitej kondycji, żeby prysnąć po stromej ścianie jaru do góry, zamiast biec potokiem, w którym niechybnie czeka go śmierć. Biec w potoku pełnym śliskich kamieni i zwalonych drzew musi być bardzo trudno.

Do takiego zapędzania jeleni w pułapki, poza genialnym rozpoznaniem i znajomością terenu, potrzebne jest doświadczenie, zaufanie i ścisła współpraca w wilczej rodzinie. Jeżeli rodzina jest w komplecie, to świetnie sobie daje radę z polowaniem na dzikie zwierzęta. Jeżeli jednak jest rozbita przez myśliwych, to polowanie na jelenie może się stać na tyle trudne, że bardziej będzie się opłacało przełamać strach przed człowiekiem i wyruszyć na owce. To nie tylko teoria. Wspomniane już amerykańskie i hiszpańskie badania pokazują, że strzelanie do wilków i rozbijanie watah prowadzi do tego, że wilki znacznie częściej atakują zwierzęta domowe.

Nigdy nie widziałem, jak wilki zabijają swoją ofiarę. Podejrzewam, że w Polsce mało kto widział. Ale mogę przypuszczać, jak to robią. Nie tylko na podstawie filmów z Ameryki Północnej, gdzie na otwartych przestrzeniach nagrywano wilki polujące na bizony, ale również na podstawie znalezionych przez nas ofiar. Często znajdowałem ślady krwawienia na śniegu długo przed miejscem ostatecznej śmierci. Raz zostałem wezwany do łani, która leżała ranna przy drodze. Wszystko wskazywało na potrącenie przez samochód, ale kiedy cierpiące zwierzę zostało dobite przez łowczego Tomasza Werkowskiego, okazało się, że była to ofiara wilków, której drapieżniki nie zdążyły zabić, bo ktoś je spłoszył. Biedaczka miała

kompletnie rozerwane uda. Mogę podejrzewać, że wilki, zanim dopadną ofiarę, kąsają ją z tyłu, a raczej lekko z boku, po to by ją osłabić. Atak w taki sposób jest też najbezpieczniejszy dla wilków, bo nie narażają się na uderzenia racic. A potem albo miażdżą kręgosłup, albo zaciskając szczęki na szyi, duszą lub odcinają dopływ krwi do mózgu. Zapewne walcząca o życie ofiara jest w takim stresie, że niewiele czuje. Chyba że ma takiego pecha jak łania, o której wspominałem. Myślę też, że zabijają najbardziej doświadczone wilki w rodzinie. Reszta, czyli młode, może się po prostu bać i ich rola ogranicza się do zaganiania.

Oczywiście jelenie nie są w tej rozgrywce całkowicie bezbronne. Ich podstawową bronią jest ucieczka oraz wiedza o lesie, którą posiadają. Ludziom na pierwszy rzut oka Puszcza wydaje się wielkim lasem pełnym starych drzew i powalonych pni. Ale są tu miejsca, gdzie martwych powalonych drzew jest więcej, i takie, gdzie jest ich mniej. Tak naprawdę naturalne lasy Puszczy to coś w rodzaju patchworku: układanka mikrolasów różniących się od siebie, i to bardzo. Na przykład miejsce, przez które trudno przejść, bo jest zawalone upadłymi świerkami niczym szalonymi bierkami, sąsiaduje z kawałkiem, w którym rosną proste lipy albo trochę poskręcane graby, a na ziemi jest zupełnie gładko i tylko gdzieniegdzie leży jakaś gałąź. W takich miejscach widoczność jest całkiem dobra i na przykład w czasie rykowiska, czyli czasu jeleniej miłości, najłatwiej tam o ryczące byki. Jelenie znają Puszczę i wiedzą, gdzie muszą uważać na wilki bardziej, a gdzie są względnie bezpieczne. Ta wiedza w nauce nazywa się krajobrazem strachu. Taki krajobraz w głowach jeleni kształtują wszyscy ich wrogowie, zarówno ludzie, jak i wilki. Wykreowany przez człowieka krajobraz jeleniego strachu jest dość toporny i przewidywalny. Zwierzęta doskonale wiedzą, że myśliwi siedzą

na ambonach, wiedzą, w jakich porach dnia polują, wiedzą też, kiedy rozpoczyna się sezon polowań. Dowiadują się tego zapewne nie z myśliwskiego kalendarzyka, ale – jak sądzę – widzą i czują obecność myśliwych, którzy przybywają do lasu. Z wilkami jest inaczej. One są w lesie stale. Są miejsca, gdzie szansa na ich spotkanie jest większa, o czym jelenie bardzo dobrze wiedzą. Dries Kuijper z Instytutu Biologii Ssaków PAN w Białowieży i jego współpracownicy rozstawili specjalne kamery i okazało się, że w miejscach, w których wilki często przebywają, i gdzie na dodatek są zwalone drzewa, jelenie zachowują się niezwykle ostrożnie. Wolą tam długo nie zostawać, niechętnie podgryzają młode drzewa, jeśli już, rozglądają się strachliwie. Nic dziwnego. Przecież tam, gdzie są zwalone drzewa i gorsza widoczność, wilki niezauważone mogą podejść bliżej, a i ucieczka przez pnie może być trudniejsza. Przez jedno zwalone drzewo, które trzeba przeskoczyć, jeleniowi może zabraknąć ułamka sekundy, który uratuje mu życie. Dzięki temu mechanizmowi i jelenim strachom naturalny las znakomicie się odnawia. Wilki nie tylko wpływają na to, ile jest w lesie jeleni, ale też na to, jak się one zachowują – wyjaśniał mi niedawno Dries.

WILKI ZABIJAJĄ GŁÓWNIE młode i łanie.

Tymczasem sława naszej Antonii tropicielki rosła. Pewnego dnia pan Lisicki, nasz sąsiad, pomachał mi za płotu. Bardzo go lubiliśmy. Codziennie rano, gdy piliśmy kawę w kuchni, widzieliśmy przez okno ten sam powtarzany przez niego rytuał. Pan Lisicki, który wozi turystów dorożką po Puszczy, wyprowadzał konia ze stajni do studni, z której wyciągał kubeł świeżej zimnej wody. Zanim koń wsadził wielki łeb do kubła, pan Lisicki nabierał sobie z niego wody za pomocą emaliowanego kubeczka, który wisiał na studni. I tak sobie razem pili tę wodę co rano, pan Lisicki i jego koń. Więc kiedy pomachał, od razu podszedłem, a Antonia przydreptała za mną.

– Aaale pies! Wiem, wiem, bardzo dobry. Też kiedyś takiego miałem. Bardzo dobrego, świetnego nawet – panu Lisickiemu,

opartemu o płot, zebrało się na wspomnienia. – Panie, to był pies, który wszystko w lesie znalazł. Jak trzeba było, to i dzika brał. A dzielny był taki, że na podwórko nikogo obcego nie wpuścił. Co to był za pies, mówię panu.

– I co się z nim stało? – zapytałem, bo zrozumiałem, że psa od dawna już u Lisickich nie ma.

– Najpierw chcieli go po dobroci kupić, pan wie, te kłusowniki, co z psami do lasu chodzą. Nie dałem. To pewnej nocy, gdy nikogo w domu nie było, kłusowniki przyszły i chciały go zabrać, a on się nie dał, bo ostry był i tylko za mną szedł.

– I co? – zaciekawiłem się.

– Jak to co? On się nie dał wziąć, to go bagnetami pokłuli. Jak tylko go znalazłem z tymi ranami, to od razu na ręce i do weterynarza. Mówię mu, panie, ratuj, każde pieniądze zapłacę. Ale się nie dało. Ech, co to był za pies! – pan Lisicki westchnął, zaszkliły mu się oczy, po czym machnął ręką i poszedł do swojej roboty.

Ja też wróciłem do swojej. O rozmowie z sąsiadem opowiedziałem Nurii. Postanowiliśmy, że już nie będziemy się chwalić osiągnięciami Antonii. Jej zdolności miała od tej pory okryć tajemnica. Zdecydowaliśmy też, że dopóki Antonia żyje, nie napiszę o nich ani słowa. Moi czytelnicy wiedzą więc, że wychowała wydrę, że pilnowała bocianów (można o tym przeczytać w „Kunie za kaloryferem"), ale o jej tropicielskich zdolnościach nie słyszeli. Bo z kłusownikami nie ma żartów. Nie tylko znajdowaliśmy wnyki, które zakładali, ale też nawet w środku parku narodowego słyszeliśmy strzały. Wiedzieliśmy też, że ktoś za nami chodzi, ktoś, kto wie, że łatwo udaje nam się znajdować wilcze ofiary. Nie wiedzieliśmy tylko, czy są to groźni kłusownicy, czy zwykli złodzieje jelenich głów.

KRUKI I ZŁODZIEJE jelenich głów

• • • • • •

To był szczyt bezczelności. Moja frustracja sięgała zenitu. Mijał kolejny dzień, a właściwie drugi tydzień siedzenia. Tkwiłem zamknięty w budce o wymiarach półtora metra na półtora metra, w której mimo niezłej izolacji było zimno jak cholera. Musiałem siusiać do butelki, bo opuszczać budki nie mogłem. Wchodziłem do niej dwie godziny przed wschodem słońca, a wychodziłem godzinę po zachodzie. Wszystko po to, żeby mnie nie wypatrzyły. A te cholery za nic na świecie nie chciały usiąść na padlinie. Słyszałem świst ich skrzydeł, gdy się zbliżały, krakanie trochę nerwowe, a trochę złośliwe. No i te gałązki, które leciały na moją budę. Nie wiem, czy one strącały je przez przypadek, czy specjalnie zrywały i rzucały na moją kryjówkę. Intensywność uderzenia patyczków o dach wskazywała raczej na to drugie. Kruki zachowywały się tak, jakby chciały powiedzieć: wiemy, wiemy, że tam jesteś, wyłaź, koniec zabawy w chowanego. Ale skąd, do diaska, wiedziały? No skąd?

Dopiero później zrozumiałem, że przy całym moim doświadczeniu i świadomości tego, że kruki to sprytne bestie, zapomniałem o jednym, z pozoru mało istotnym szczególe, jakim jest położenie budy. Okienko, z którego ledwo co wystawał mój obiektyw, skierowane było na południe i nisko świecące zimowe

słońce co chwila się w nim odbijało. A ponieważ w lesie mało co się błyszczy, kruki wiedziały, że mają przed sobą coś podejrzanego. I za nic nie chciały zlecieć do padliny. To był kolejny raz, kiedy przegrywaliśmy z krukami. Kiedy w końcu po tych dwóch nieszczęsnych tygodniach zorientowałem się, o co chodzi, zmieniłem ustawienie budy. Kilka dni później pojawiły się – najpierw kruki, a potem bieliki.

Ale zanim opowiem, co ta historia ma wspólnego z wilkami, muszę wam coś przypomnieć. Poszukiwałem wilczych ofiar z pomocą Antonii nie po to, żeby poznać strategię polowań tych drapieżników. Było to szalenie ciekawe, ale nie chodziło wcale o wilki. Chodziło o padlinę. Nuria miała w ramach swojej pracy naukowej zbadać, kto zjada to, co pozostało po wilczych posiłkach. Wiem, ludziom padlina kojarzy się ze smrodem i białymi robalami, czyli larwami much. Ja sam w lecie nie lubiłem towarzyszyć Nurii w jej eskapadach, bo mój zmysł powonienia jest zbyt delikatny. Stałem gdzieś z boku i jedną ręką zatykałem nos, żeby nie poczuć smrodu padliny, a drugą zasłaniałem usta, żeby nie zaciągnąć się nim nawet przypadkiem, gdy wiatr powieje w moją stronę. Czasami i to nie pomagało. Pewnego letniego dnia Antonia, tropiąc wilki, zaciągnęła mnie do dzika, który był w takim stanie rozkładu, że wydawał się szarą masą. Nie wiem, co przyciągnęło do niego wilki, bo nie wyglądało na to, żeby go ruszyły.

PTAK SKUBAŁ ŻEBRA, a potem skoczył na kark jelenia.

Wydawało mi się, że był cały, ale mogłem się mylić, bo wyglądał, jakby się rozpuścił niczym czekolada na słońcu. Z tej masy wystawały wspaniałe dzicze kły, które zapragnąłem mieć. Schyliłem się, pociągnąłem jeden i nagle taki smród uderzył mnie w twarz, że zwróciłem obiad. Na szczęście przyszła Nuria, wyciągnęła kły, wsadziła je do woreczka i mi wręczyła. Ona jakoś nie przejmowała się smrodem. Wtykała sobie w nos kawałki papieru, na usta zakładała chustkę, a na ręce długie gumowe rękawice. Kiedy ja trzymałem się z daleka, ona ważyła, mierzyła i notowała. Tak wyglądała jej praca.

Ale padlinowy temat to nie tylko smród i robale. To też ciekawy proces, którego wtedy przed Nurią nikt w Europie nie badał. Rzecz badano za to w Afryce. To, co tam się dzieje, każdy widział na pewno na jakimś filmie przyrodniczym: ledwo lwy coś zabiją, najedzą się i położą się obok, już do padliny zlatują się sępy, przychodzą hieny i szakale. Po chwili z tego, co zostawiły lwy, nic

już nie ma. Zanim ktokolwiek wpadł na pomysł badania padlinożerców w Europie, okazało się, że nie ma już w niej prawie dostarczycieli padliny. Dawniej były nimi wilki, rysie, niedźwiedzie, zwierzęta bardzo już rzadkie na wolności. A żeby móc zobaczyć, co się dzieje z padliną, tam gdzie żyją drapieżniki, muszą jeszcze żyć ich potencjalne ofiary, czyli sarny, jelenie, łosie, dziki, żubry. Takich miejsc, gdzie się jeszcze to wszystko lub prawie wszystko ostało, jest już w Europie nie za wiele. W większości krajów zachodnich nie ma dużych drapieżników, z kolei w innych miejscach brakuje ich ofiar w dużej liczbie. Dlatego Puszcza Białowieska jest wyjątkowa. Jest tu wszystko poza niedźwiedziami. Badania Nurii miały pokazać, że być może fenomen padlinożerców nie jest tylko i wyłącznie afrykański. Tyle że w Europie zamiast lwów mamy wilki.

Kruki już na samym początku dały nam w kość. Teoretycznie jest tak, że kruki przy padlinie są bardzo głośne, zakładaliśmy więc, że właśnie po krakaniu niczym po sznurku będziemy trafiać do zabitych przez wilki zwierząt. W górach to jest całkiem proste: idziesz po stoku, widzisz, jak nad przeciwległym krążą kruki, widzisz, gdzie lądują, i mniej więcej określasz położenie ofiary. Na nizinach już tak łatwo nie jest. Kruki, które są najbardziej spostrzegawczymi ptakami, jakie mieszkają w naszych lasach, wypatrzą każdego – i człowieka, i wilka. Jeśli chodzi o tego drugiego, to podejrzewaliśmy z Nurią, że one potrafią znakomicie śledzić wilcze watahy i są pierwsze na miejscu, gdy tylko wilki coś zabiją, albo przychodzą do upolowanej nocą ofiary.

Nasze przypuszczenia potwierdziły później amerykańskie badania. Kruki zwykle są najszybciej przy wilczej ofierze. Nic dziwnego: z góry coś takiego jak ofiarę wilków, szczególnie zimą, niezwykle łatwo jest wypatrzyć. Ryś, który zabije sarnę, natychmiast przykrywa ją gałązkami, ściółką albo zakopuje

w śniegu. Jak słyszałem, rysie w Karpatach potrafią nawet czasami wciągnąć sarnę na drzewo, żeby nie dobrali się do niej padlinożercy. W Puszczy nigdy się z tym nie spotkałem, za to saren zamaskowanych przez te koty znalazłem co najmniej kilka. Zawsze były tak świetnie schowane, że musiałem niemal w nie wdepnąć, żeby je zauważyć. Rysie robią to nieprzypadkowo. Zabijają przecież w pojedynkę, i to całkiem duże ofiary. Sarna może ważyć tyle co sam ryś. Kot wraca do swojej ofiary, żeby sobie podjeść. Przez trzy-cztery dni raz dziennie, a czasami częściej. Zwykle dopóki nie wpadnie banda dzików, która pożre ją całkowicie. Z wilkami jest zupełnie inaczej. Wbrew temu, co twierdzi wielu myśliwych, wilki nie zabijają dla przyjemności, nie duszą ofiar i ich nie zostawiają. Napoczęte albo wręcz nietknięte ofiary porzucają tylko wtedy, gdy spłoszy je człowiek. Jeżeli ma to miejsce latem, drapieżniki bardzo rzadko wracają do swojej zdobyczy. Wtedy opanowują ją owady, a dokładnie larwy wszelkich much, które za pomocą różnych substancji chemicznych sprawiają, że ofiara przestaje być atrakcyjna dla większych zwierząt, takich jak wilki lub lisy, i dzięki temu mogą ją całą pochłonąć.

KRUKI ZWYKLE SĄ NAJSZYBCIEJ przy wilczej ofierze.

DZIKI WYGLĄDAŁY na takie, które niczym się nie przejmują.

Zimą, gdy konkurencja ze strony larw nie wchodzi w rachubę, wilki wracają i jedzą upolowane zwierzę na raty. Oczywiście, jeżeli

w pobliżu nie czai się ich największy wróg, czyli człowiek.

To, jak wygląda miejsce wilczego ataku, najlepiej opisać słowem „jatka", albo bardziej współcześnie: „totalna krwawa masakra". Oderwane nogi, wywleczone wnętrzności, bo wilki zabierają się zwykle najpierw za serce, płuca i wątrobę, żołądek na wierzchu, masa krwi, strzaskane żebra. Część zwierzęcia tu, druga tam, a trzecia jeszcze gdzie indziej. Jeśli to cielak, czyli młody jeleń, i ma w miarę miękkie kości, często nawet głowa zostaje zmiażdżona i zjedzona. Nie ma tu miejsca na delektowanie się i zakopywanie, tak jak robią rysie. Szczególnie że je nie jedno zwierzę, ale kilka, a na dodatek o lepsze kąski mogą się toczyć drobne spory.

Z góry widać wielką czerwoną plamę na śniegu plus krwawe ślady prowadzące do miejsc, w które wilki odciągały swoje porcje. Nic więc dziwnego, że wścibskie kruki są przy takim pobojowisku pierwsze. W teorii obserwowanie kruków miało nam pomóc w odnajdowaniu wilczych ofiar. W praktyce często było wręcz przeciwnie. Dlaczego? Po pierwsze, kruki nie zawsze kraczą, gdy coś znajdą (o czym za chwilę), a po drugie, szybko się okazało, że znakomicie potrafią wyprowadzać nas w pole. Owszem, jakaś część, kilka, kilkanaście ptaków, była na padlinie i ją sobie dziobała, ale reszta latała po okolicy i dokładnie widziała, czy ktoś, a konkretnie my, się do niej nie zbliża. One z pewnością ze sobą gadają i te patrolujące bardzo szybko informowały te jedzące, że nadchodzą ludzie. I wiecie, co one wtedy robiły? Powoli odciągały nas od swojej stołówki. Wyglądało to tak, że gdy tylko dowiedziały się, że idziemy w kierunku zabitego przez wilki jelenia, przestawały krakać albo, co gorsza, odlatywały i krakały z innego miejsca, potem z jeszcze dalszego i dalszego, a gdy już na dobre wyprowadziły nas w pole, wracały sobie po cichutku do skubania mięsa. Zimą oczywiście nie mogły nas oszukać, bo do ofiary

prowadziły tropy wilków, ale gdy nie było śniegu, robiły nas w konia nadzwyczaj często. Dopiero Antonia nas z tej opresji wyratowała. Ona nie zwracała uwagi na krakanie, a może raczej zwracała, bo zawsze gdy je słyszała, wiedziała, że idzie szukać ofiary, którą odnajdywała, ale nie dzięki krukom, a po śladach zapachowych.

Jak już odnaleźliśmy pierwsze ofiary, okazało się, że mamy kolejny problem do rozwiązania. Trzeba było jakoś ustalić, ile zjadają padlinożercy. Przecież taki jeleń, nawet objedzony przez wilki, to olbrzymi kawał mięcha. Może mieć ponad sto kilo. Nie mogliśmy zabierać ofiar na przykład do Białowieży na jakąś gigantyczną wagę, a potem zawozić z powrotem do lasu, bo to zaburzałoby cały proces padlinożerstwa. Trzeba więc było wymyślić system, który pozwoliłby na ważenie w lesie. Głowiliśmy się nad tym wiele tygodni. Najpierw wpadliśmy na pomysł, że będziemy przerzucać linkę z wagą przez jakąś gałąź i za pomocą systemu bloczków wyciągać ścierwo do góry. Ale jaki miałby być ten system bloczków, który pozwalałby wywindować aż tyle mięsa do góry, nie mieliśmy pojęcia. Poza tym takiego jelenia można by było podciągnąć do góry tylko w dwie osoby, a co zrobi drobna Nuria, gdy będzie sama? Zresztą wilki musiałyby zabić jelenia koniecznie pod gałęzią, przez którą będzie można przerzucić linkę, a nie na przykład gdzieś w dolinie rzecznej. W takim wypadku musielibyśmy ciągnąć zwłoki do najbliższego drzewa z odpowiednią gałęzią – bez sensu.

Próbowaliśmy zważyć pewną łanię za pomocą łopaty. Leżące na ziemi zwłoki opletliśmy taśmą. Jeden koniec wagi (przypominającej wielki zegar z hakiem) przypięliśmy do łani, a drugi do łopaty. Teraz musieliśmy to wszystko dźwignąć do góry, opierając łopatę na ramionach. Waga wskazała, że łania waży 30

kilogramów. Wiedzieliśmy, że to bzdura, że jest tego znacznie więcej.

– Zróbcie statyw – poradził Włodek Jędrzejewski – i na tym wyciągajcie padlinę.

Taki znakomity statyw, składany i superwytrzymały, wystrugał nam z drewna pan Maciek, złota rączka Zakładu Badania Ssaków PAN. Miał trzy długie nogi zrobione ze świerkowych żerdzi. Dało się go składać, dzięki czemu można było go przewozić na dachu samochodu, a w ostateczności nawet na rowerze. Na dodatek dostaliśmy z Zakładu ręczną wyciągarkę, tzw. tirfor, urządzenie służące do wyciągania samochodów albo kłód z lasu. Teraz wszystko było proste: Nuria rozstawiała statyw nad ofiarą, oplatała ją łańcuchami (które w przeciwieństwie do taśmy się nie rozciągały). Do nich podczepiała wagę, no i ręczną wyciągarką ciągnęła to do góry. Wtedy okazało się, że łania, która według poprzedniego ważenia miała 30 kilogramów, w rzeczywistości ważyła aż 80. A kiedy dopadły ją kruki, lisy, kuny, jenoty, bielik, jastrząb i dziki, to po miesiącu została z niej tylko skóra i cztery dokładnie ogryzione nogi – w sumie 7 kilo.

Przecież zimą ponad 70 kilogramów pożywienia, i to wysokiej jakości, to niezły prezent. Okazało się, że padlinożercy chętnie korzystają z resztek po dużych drapieżnikach, takich jak wilki i rysie. Taka padlina znikała znacznie szybciej niż resztki zwierząt, które padły w wyniku chorób czy głodu. To zrozumiałe, bo przy takim obiedzie, szczególnie gdy spożywa się martwego dzika, można się zarazić chorobami albo pasożytami, takimi jak włosień. Ale już do padłych z głodu lub starości żubrów czy postrzelonych jeleni padlinożercy schodzili się i zlatywali chętniej niż do dzików.

Z żubrami całe to towarzystwo miało jeden problem. Skóra tych wielkich zwierząt jest niezwykle gruba. Nie przebije jej dziób kruka

ani nawet bielika, nie rozerwą zęby lisa, nie mówiąc już o kunie. Owszem, można wyjeść oczy, dobrać się do nosa i języka albo próbować wgryźć się w okolicach odbytu, ale to wszystko. Cała reszta, setki kilogramów znakomitego mięsa, jest zamknięta w twardej skórze niczym w puszce. Tylko wilki i niedźwiedzie potrafią rozerwać skórę żubra. Po tym jak wybito w Puszczy niedźwiedzie, cała rzesza padlinożerców musi liczyć na wilki. I one nigdy nie zawodzą. Żubry należą chyba do wilczych przysmaków, bo każdego znalezionego przez nas martwego żubra wilki najpierw otwierały, a później zawsze do niego wracały. Razem z nimi, a raczej zaraz po nich, cała czereda padlinożerców.

Pozostało nam jeszcze sprawdzić, kto taki korzysta z tego, co zostawiają wilki, i czy może są to inni użytkownicy od tych, którzy zjadają ofiary rysiów albo padłe zwierzaki. Dziś sprawa wydaje się niebywale prosta: zostawiamy przy padlinie małą fotopułapkę, która nagrywa filmy i robi zdjęcia.

TRZEBA BYŁO WYMYŚLIĆ SYSTEM, który pozwoli nam na ważenie wilczych ofiar w lesie.

Można ją zaprogramować, jak się chce, można, nie podchodząc do niej, wszystko, co się nagra, ściągać na komputer z odległości kilkuset metrów, można dostawać MMS-y na komórkę. Ale 15 lat temu to wszystko jeszcze raczkowało, a nasza fotopułapka była słabo działającym prototypem. Zimą po prostu czytaliśmy tropy. Z tego, co pozostawiały zwierzaki na śniegu, można było się dowiedzieć wielu ciekawych rzeczy. Jak chociażby tego, że gdy lisy w jakiś sposób dowiedzą się, że wilki coś upolowały, idą za nimi.

Jeżeli widziałem na śniegu odciski lisich łapek towarzyszące odciskom wielkich wilczych łap, byłem pewien, że znajdę ofiarę. (Co ciekawe, podobnie za niedźwiedziami polarnymi chodzą lisy polarne). Nie oznacza to, że śledzenie wilków przez lisy oznacza same korzyści. Biedne rudzielce doskonale wiedziały, że mogą zapłacić za to wysoką cenę. Raz nawet znaleźliśmy zabitego przez wilki lisa, któremu więksi kuzyni przetrącili kark. Lisy przychodziły więc po wilkach i przy ofierze nie zostawały. Najczęściej starały się porwać jakiś ochłap i natychmiast się z nim oddalić. Jenoty, które są znacznie wolniejsze od lisów, raczej unikały wilczych ofiar i wolały po prostu zwierzęta padłe, przy których szansa na spotkanie z wilkami nie była duża. Kuny, owszem, nie stroniły od wilczych ofiar, ale pod warunkiem, że obok były drzewa, na które mogły zwiać. Rysie, które w Bieszczadach czasami podjadają z wilczego stołu, tu, w Puszczy, do wilczych ofiar raczej się nie zbliżały. Za to raz czy dwa zdarzyło nam się przyłapać wilki na wtrząchaniu upolowanych przez rysie saren. Jedynie dziki wyglądały na takie, które niczym się nie przejmują – podkradały zarówno wilkom, jak i rysiom oraz zjadały zwierzaki, które umarły z głodu, w tym swoich pobratymców. Ale dzikom akurat trudno się dziwić – zimą, gdy wszystko zamarza, a na dodatek jest przykryte śniegiem, mają problem z ryciem i cierpią straszny głód.

Wtedy o tym, kto zjadał padlinę, dowiadywaliśmy się po zostawionych na śniegu tropach. Ale latem nie za wiele można było zobaczyć, nawet gdy Nuria ładnie wygrabiała ściółkę wokół ofiar. (Zawsze pamiętała, żeby mieć ze sobą małe grabki.)

– Spoko, będziemy obserwować bezpośrednio, z ukrycia – zapewniłem Nurię, kiedy Antonia znalazła drugą wilczą ofiarę, czyli jelenia zabitego przy leśnym ogrodzeniu. Kiedy do niego podchodziliśmy, z pobliskich drzew zerwało się kilka kruków i dwa

orliki krzykliwe. Jeleń był co prawda cały w białych larwach much, ale przecież to, co ohydne dla człowieka, nie musi być takie dla kruka czy orlika. Wyobrażaliśmy sobie wtedy naiwnie, że bardzo łatwo być niewidocznym. Od znajomych pożyczyliśmy kilka wojskowych pałatek, wycięliśmy parę tyczek i zaplanowaliśmy, że zrobimy coś w rodzaju indiańskiego wigwamu, z którego ma wystawać tylko obiektyw. Jeszcze przed świtem, czyli przed przylotem kruków, byliśmy na miejscu. Śpieszyliśmy się tak bardzo, że Nuria, biegnąc, przewróciła się na wystające z nasypu tory wąskotorówki i, jak się później okazało, złamała dwa żebra. Bolało ją strasznie, ale nie dała po sobie niczego poznać. Zbudowaliśmy wigwam i zamaskowaliśmy go gałęziami. Ukrycie stało się niewidoczne. To znaczy my tak myśleliśmy. Kruki za to doskonale się zorientowały, że coś tu jest nie tak. Kiedy uznaliśmy, że jest gotowe, wlazłem do niego z aparatem, a Nuria wróciła do domu. Byłem pełen nadziei, że wszystko pójdzie gładko. Około szóstej rano usłyszałem krakanie i świst skrzydeł. Przyłożyłem oko do obiektywu, wierząc święcie, że czarne ptaszyska zaraz rzucą się na jelenia. Ale nic takiego nie nastąpiło. Krakanie i świst skrzydeł słyszałem coraz bliżej, kruki siadały gdzieś na gałęziach nade mną, ale do zwłok jelenia wcale nie podchodziły. Na dodatek okazało się, że pałatki pod ciężarem gałęzi zaczęły na mnie opadać i każdy ruch powodował szelest. A każdy szelest tylko powiększał podejrzenia kruków, że coś tu nie gra. Całe szczęście, że było to lato, człowiek nie marzł i mógł długo pozostać w bezruchu. Nic nie widziałem, tylko słyszałem, jak kruki krążą wokół mojego ukrycia. Świst skrzydeł przelatującego blisko kruka ma w sobie coś demonicznego i fascynującego. Dochodziło do tego krakanie w różnych tonach. Zresztą krakanie to nic w porównaniu z innymi głosami, jakie te

ptaki wydawały podczas badania mojej kryjówki. Jęczały nade mną, miauczały, gulgotały...

Piekielna była ta ich podejrzliwość. Nagle usłyszałem świst skrzydeł tuż za plecami, a zaraz potem coś trzepnęło o ściółkę. „O cholera, przygląda mi się z tyłu" – byłem przerażony, bo od tyłu pałatka nie dochodziła do ziemi i została tam dość potężna szpara. Kruk na pewno doskonale widział moje buty. Umierałem z przerażenia, że nie wytrzymam tej gry, że za chwilę się poruszę, bo na przykład ugryzie mnie komar, i wszystko zmarnuję. A kruk skakał sobie wokół ukrycia i jestem przekonany, że zaglądał przez szpary, próbując sprawdzić, co też kryje się w tym dziwnym szałasie. Wojna nerwów trwała cały dzień. Ale dzięki niej zarówno ja, jak i potem Nuria i Grzegorz, nasz kolega, który co roku dojeżdżał na rowerze z południa Polski, żeby nam pomóc w badaniach, doszliśmy w końcu do perfekcji w bezruchu. Najlepszym dowodem było to, że w pewnym momencie po butach zaczęła mi biegać nornica, która zapewne myślała, że jestem jakimś takim dziwnym pieńkiem. Jak myślicie, ile człowiek może wytrzymać, kompletnie się nie ruszając? Dwie godziny, trzy? No, ile? Otóż wytrzymywaliśmy po sześć godzin, raz nawet Grzesiek siedział osiem! Z sikaniem i rozprostowywaniem kości trzeba było czekać na zmianę. A jak dokonywaliśmy zmian? Numer był bardzo prosty i powszechnie stosowany przez obserwatorów przyrody. Polega on na tym, że zwierzak widzi, że ktoś idzie do ukrycia i kręci się przy nim. Wtedy ucieka daleko, ale cały czas, jak to jest z krukami, stara się mieć pod kontrolą okolicę. Widzi więc kogoś, kto przyszedł, ale też po chwili widzi, że ktoś sobie poszedł. (My obaj szybko zamienialiśmy się miejscami). Wszystko się zgadza – kalkuluje więc kruk. To oczywiście zaburzało to, co działo się przy padlinie. Dlatego

w końcu ustaliliśmy, że wchodzimy do ukrycia przed świtem, a wychodzimy, gdy jest ciemno. A siusiać trzeba było do butelki.

Drugiego dnia obserwacji chyba na chwilę przysnąłem, bo nie słyszałem ani krakania, ani świstu skrzydeł. Mogło też być tak, że kruk sprytnie wylądował gdzieś dalej, a do jelenia przyczłapał, a raczej przyskakał. Kiedy zerknąłem w aparat i przez teleobiektyw, zobaczyłem coś czarnego ruszającego się za jeleniem. Z tym zerkaniem w aparat też trzeba było uważać, siedziałem przecież tylko 20 metrów od ofiary. Powstrzymałem się nawet od mrugania, a zmotywowała mnie triumfalna myśl, że oto wygrałem wojnę nerwów z krukami. Ptak skubał żebra, a potem wskoczył na kark jelenia. Tam pojadł sobie chyba z dziesięć minut, ale cały czas bacznie się rozglądał. Po chwili pojawił się drugi ptak. Skubały na zmianę, jeden się rozglądał, a drugi jadł. Już wtedy zacząłem podejrzewać, że taką stosunkowo niedużą ofiarę jak jeleń rezerwuje sobie para kruków. Ptaki te łączą się w związki małżeńskie na bardzo długo, jeżeli nie na całe życie, i być może podobnie jak bronią terytorium wokół gniazda, tak też bronią czegoś, co można by nazwać terytorium, na którym znajduje się właśnie zabite albo padłe zwierzę. Kiedy tylko w pobliżu słyszałem głos jakiegoś innego kruka, zaraz potem dochodziło do powietrznej gonitwy. Domyślałem się, że ten, do którego należało terytorium, gonił przybysza. Nie mogłem tego obserwować, bo pole widzenia miałem ograniczone tylko do kilku metrów wokół jelenia, ale słyszałem odgłosy powietrznej walki. Para kruków co prawda nigdy nie siedziała dłużej niż 15 minut na jeleniu, ale za to stale okupowała drzewa wokół niego. Miała szczęście, że w okolicy nie pojawił się żaden kruczy gang na tyle silny, żeby przejąć jelenia. Już wyjaśniam, o co chodzi z tym gangiem. Para siedzi na takim jeleniu raczej cicho, ale gdy kruków jest więcej, darcia się jest co niemiara.

Po co? Bernd Heinrich, przyjaciel Nurii oraz znakomity amerykański naukowiec i przyrodnik, autor wielu bestsellerów, w tym wydanego po polsku „Wiecznego życia. O zwierzęcej formie śmierci", przez wiele lat obserwował kruki. I nie mógł zrozumieć, dlaczego zachowują się aż tak altruistycznie. Dlaczego gdy jeden znajdzie padlinę, natychmiast kracze i przywołuje inne. Nie lepiej byłoby taki kawał mięcha zostawić dla siebie? Po co wołać tabuny koleżanek i kolegów? Okazało się, że to nie altruizm. Otóż takie miejsca jak Puszcza Białowieska lub północne stany USA, w których robił swoje obserwacje Bernd, są równo i dokładnie podzielone na krucze terytoria. Para dorosłych ptaków zazdrośnie strzeże swojego terytorium i młody, który by się na nim znalazł sam, dostałby po prostu lanie. Jeden młody – tak, dwa, trzy też, ale nie dwadzieścia. Gdy młodych jest więcej... dorosłe ptaki muszą spuścić z tonu. Zupełnie jak u ludzi. Zwrócić uwagę jednemu głośnemu nastolatkowi to żadna sztuka, ale zadzieranie z dwudziestoma może się okazać niebezpieczne. Dlatego dorosłe kruki nie interweniują, gdy gang młodocianych gagatków wkracza na ich terytorium. Jeżeli para dorosłych kruków znajdzie na swoim terytorium padlinę, zachowuje się cichutko jak trusie.

Kiedy młode w lecie opuszczają rodziców, dołączają do takiej – jak to mówi Bernd – latającej dyskoteki. Ptaki razem śpią, patrolują teren i dzielą się informacjami, gdzie jest coś do zjedzenia. Potrafią przemierzać setki, a nawet tysiące kilometrów i dlatego niektórym się wydaje, że kruków jest bardzo dużo. Tymczasem to ciągle te same koczujące młodzieżowe gangi, które jednego dnia są tu, a drugiego tam. Ciekawą rzecz zauważyli Sasza Rosner, niemiecki ornitolog i nasz kolega, oraz Nuria, badając gangi lecące do padliny. Okazało się, że są w nich nie tylko młode ptaki do trzeciego roku życia, ale też zupełnie dorosłe. Takie, które już mają terytoria.

Wtapiają się w tłum młodych i bez obaw, że ktoś je zaczepi, lecą sobie do jedzenia. Jak już dolecą do padliny, takie dorosłe kruki najbardziej się szarogęszą. Przy jedzeniu solidarność znika, dochodzi do kłótni i bójek. Ale niezbyt agresywnych, bo gdy tylko jakiś starszy dominujący przesadzi, to młodszy rozdziawia dziób i pokazuje mu, że w środku jest różowy. Chodzi o to, że z wiekiem wnętrze kruczych dziobów robi się czarne. Pokazując wnętrze dzioba, młode kruki mówią: „Nie bij mnie, jestem młodszy i słabszy!". I wiecie, że to działa? Widziałem to wiele razy. Na szczęście z nieco bardziej wygodnego lokum niż nasze pierwsze ukrycie.

Ponieważ prowadzenie obserwacji z wigwamu okazało się kłopotliwe, musieliśmy wymyślić coś innego, z czego dałoby się obserwować również ssaki. Doszliśmy do wniosku, że najlepsze będzie coś w rodzaju pudełka. No i Janek Buszko, u którego mieszkaliśmy, zrobił pudełko z płyty pilśniowej, zaizolowane styropianem. Pomalowaliśmy je sprayem w barwy maskujące i tak przygotowane ustawiliśmy w dolinie Narewki. To właśnie z niego zobaczyłem kolejnego beneficjenta wilczych ofiar. Co prawda nie na wilczej ofierze, lecz na martwym dziku, którego zastrzelił myśliwy, ale zanim go znalazł, ten nie nadawał się już do konsumpcji przez ludzi. Tego dzika ucharakteryzowaliśmy trochę na wilczą ofiarę, rozpłataliśmy biedaka, a śnieg wokół zrosiliśmy jego krwią. A ja zaczaiłem się w naszym nowym ukryciu. Tym razem było mi nieco wygodniej. Mogłem się przynajmniej ruszać. Wlazłem do środka dwie godziny przed świtem.

Była może siódma rano, a ja trochę przysypiałem. Nic specjalnego się nie działo. Ot, para kruków przede mną skubie martwego dzika. Co 5 minut odnotowywałem ich obecność w specjalnej tabeli. Wyskubane mięso ptaki układały na skórze dzika, a jak już

uskładały odpowiednią ilość, ładowały do dzioba i leciały gdzieś je ukryć. Latały z tym mięsem na zmianę, tak żeby cały czas któryś z nich siedział na dziku. Gdzie kruki to mięso chowają? Nie wiem. Czasami znajdowaliśmy kawałki poutykane pod pniakami, liśćmi albo korzeniami, ale trudno powiedzieć, czy były to magazyny kruka, czy sójki, a może lisa.

No więc siedziałem sobie i drzemałem, zerkając od czasu do czasu na kruki, aż tu nagle zaczęło się dziać coś dziwnego. Moja krucza parka najwyraźniej się zaniepokoiła. Najpierw było nerwowe rozglądanie się dokoła, a potem obydwa ptaki porzuciły swoje śniadanie i odleciały. Słyszałem z pudełka tylko świst ich skrzydeł i nerwowe nawoływanie. Wkrótce do krakania kruków przyłączyło się jakieś inne krakanie, takie dziwaczne, bardzo cienkie. Nigdy wcześniej takiego nie słyszałem. Coś załopotało nade mną. I nie był to kruk. Po paru sekundach w moim obiektywie pojawiło się olbrzymie ptaszysko, nastroszone i wielgachne – w kierunku martwego dzika maszerował bielik. Pierwszy raz byłem tak blisko tego orła. Dzieliło nas nie więcej niż 15 metrów. Widziałem go bardzo dokładnie: każde nastroszone piórko na głowie, czarne pazury, żółte niczym żółtko łapska i solidny gruby dziób. Przez to nastroszenie wyglądał tak jakoś puchato. Nie było w nim nic krwiożerczego i drapieżnego, choć wszystkie atrybuty drapieżności, jak dziób i pazury, miał potężne.

KRUKI ŁĄCZĄ SIĘ w związki małżeńskie na całe życie.

Był raczej misiowaty, jeżeli można tak określić ptaka. Nie ma co, bielik z bliska wygląda na coś takiego, co chciałoby się potarmosić za piórka. Na nic mu groźny wyraz ptasiej twarzy – jakby był zły na cały świat – który sprawia wrażenie trochę groteskowe. Nie pomaga nawet poważny krok. No i jeszcze te łapy przykryte piórami tylko do połowy, jakby był w przykrótkich spodniach. Wszystkie opowieści moich kolegów ornitologów o królewskim ptaku po prostu szlag trafił. Co tu dużo gadać, po paru minutach naszego pierwszego bliskiego spotkania straciłem respekt dla naszego godła, za to moje serce napełniły ciepło, błogość i rozrzewnienie. Poczułem do mojego pierwszego widzianego z bliska bielika to, co czuje dziecko do pierwszego pluszowego misia. Za to bielik, który sądząc po ubarwieniu, miał nie więcej niż dwie zimy, stwarzał wrażenie, jakby cała sytuacja była niezwykle poważna, a on sam musiał się okazać niezwykle groźny. Usiadł na dziku, rozłożył potężne, ponaddwumetrowe skrzydła i nastroszył

jeszcze bardziej pióra na głowie. Po chwili przykrył padlinę skrzydłami, jakby chciał ją objąć, i groźnie rozejrzał się wokoło.

POCZUŁEM DO MOJEGO PIERWSZEGO widzianego z bliska bielika to, co czuje dziecko do pierwszego pluszowego misia.

Wyglądało to trochę tak, jakby komunikował całemu otoczeniu: „To wszystko teraz moje i niech nikt nie waży się tego tknąć". Ale zamiast wyglądać groźnie, był przekomiczny. Tego samego zdania o młodym bieliku były też najwyraźniej kruki. Nie minął kwadrans, a już wylądowały obok niego. Z początku nieco niepewnie obchodziły go dookoła. Gapiły się na niego, kręcąc łebkami. Powoli zbliżyły się do padliny i zaczęły skubać mięsko. Bielik nastroszył się jeszcze bardziej i znów rozłożył wielgachne skrzydła. Krukom nawet się to chyba spodobało. Uznały to za swego rodzaju zaproszenie do gry „Kto komu bardziej utrudni życie". Podskakując do skrzydeł, zaczęły biedaka ciągnąć za pióra. A bielik? Jedyne, na co go było stać, to rzucanie od czasu do czasu groźnych spojrzeń swoim prześladowcom. Prowokacje ze strony

kruków stawały się więc coraz wyraźniejsze. Doszło do tego, że jeden ciągnął bielika za ogon, a drugi za skrzydło. Trwałoby to zapewne w nieskończoność, gdyby znów nie załomotało coś w gałęziach. Kruki od razu poleciały w tamtym kierunku. Młody bielik na padlinie jeszcze bardziej się nastroszył, a mi serce mocno zabiło. W okolicy było coś, czego bały się i kruki, i bielik. Usłyszałem odgłosy krótkiej walki i zobaczyłem, jak przed obiektywem leci białe pierze. Kruki starły się z jakimś drapieżnikiem. Tylko z jakim? Do padliny kroczył godnym defiladowym krokiem kolejny bielik. Był o wiele jaśniejszy i nie tak nakrapiany jak młodziak siedzący na dziku. Bardziej gładki, jasny i z jaśniejszym dziobem, był więc starszy od szczeniaka, który wciąż się puszył. Bieliki z wiekiem jaśnieją i kiedy już są dorosłe, ich ogon jest śnieżnobiały, łeb kremowy, a dziób żółty. Drugi bielik nie był całkiem dorosły, ale już zbliżał się do wieku poważnego. Miał może cztery lata. Młody zszedł z dzika i stanął z boku. Prawie dorosły bielik zaczął skubać z godnością. Nagle skoczył w bok z wysuniętymi do przodu pazurami. To młody znów próbował się zbliżyć do padliny. Rozległ się huk i świst skrzydeł, a potem usłyszałem przekomiczny dźwięk. Trrriii, triii – coś się darło. Bardziej przypominało to kurczaczka niż olbrzyma drapieżcę. Powoli przesunąłem obiektyw. W trawie siedział młody, z szeroko rozwartym z wrażenia dziobem, a obok niego starszy kolega. Młody był nastroszony, za to starszy z ładnie przygładzonymi piórkami wyglądał bardzo elegancko. Patrzył na swego młodego kolegę, jakby chciał powiedzieć: „Słuchaj, ja tu rządzę, nie wchodź mi w drogę". Młody chyba zrozumiał lekcję, bo odleciał. Dla starszego bielika poczuły też respekt kruki. Skończyło się ciąganie za skrzydła i ogon. Skończyło się nawet latanie nad padliną i krakanie. Nowy szef musiał mieć spokój. Kiedy to wszystko oglądałem,

przypomniało mi się, co mówił mi Paolo Volponi, którego kilka tygodni wcześniej spotkałem na zabawie sylwestrowej. Paolo jest Włochem i fotografem przyrody, a na dodatek ma absolutnego hopla na punkcie bielików. Otóż Paolo powiedział mi, że nie wie, jak to się dzieje, ale kruki znakomicie potrafią rozpoznać wiek bielików. Właśnie zobaczyłem, że miał rację. Starszy bielik jadł padlinę przez jakieś pół godziny, zanim odleciał. Wtedy wróciły kruki, a po nich znów młodziak. Hierarchia dziobania powoli się stabilizowała. Z obserwacji w następnych dniach wynikało, że kolejność jest taka: najpierw, kiedy jest jeszcze prawie ciemno, przylatywały sójki. Czasami między sójkami uwijały się sikorki, które skubały, ile się dało. Sójki i sikorki zmykały, gdy w lesie dało się słyszeć krakanie kruków. Kruki szybko wyrywały i pakowały mięso do dziobów i starały się jak najwięcej razy obrócić między swoimi tajemniczymi spiżarniami a padliną. Potem, koło ósmej, pojawia się młody bielik. Kruki już go tak bardzo nie męczyły, ale bez problemu w jego towarzystwie podskubywały mięso. Następnie nadlatywał starszy bielik i wtedy z padliny wszyscy inni zwiewali. Ale starszy bielik nie był zaborczy – jadł 20 minut, może pół godziny i odlatywał. Z tych paru minut nieobecności innych ptaków korzystały sójki, które siedziały sobie w pobliskich krzakach i czekały, kiedy zwolni się miejsce.

Pewnego dnia na dziku pojawił się ktoś nowy. Jastrząb o żółtych oczach. Kiedy przyleciał, nawet sójki w krzakach ucichły. Wszyscy byli przerażeni. Kruki pozwoliły sobie przelecieć nad nim kilka razy i to wszystko. Do bezpośredniego kontaktu nie doszło. To było bardzo dziwne. Nie spodziewałem się, że jastrzębie, które znałem z tego, że świetnie polują na ptaki, są też padlinożercami. Później okazało się, że szczególnie zimą bardzo chętnie korzystają z padliny. Natomiast to, że kruki nie bały się bielika, co prawda młodego, ale

za to potężnego, a bały się jastrzębia, było normalne. Dla jastrzębia schwytanie zwinnego kruka nie jest problemem, dla ociężałego bielika – owszem. Jastrząb na dziku zachowywał się niezbyt przyzwoicie. Najpierw jadł przez pół godziny, co było w porządku, bo mógł być głodny. Ale to, co zrobił później, było zwykłym świństwem. Padlina to skarb, na którym zależy wielu ptakom. A on, choć nie jadł, dalej siedział w bezruchu na dziku. To było wyraźne oświadczenie, że nikt już nie ma prawa do dzika się zbliżyć. Byłem wściekły, bo jastrząb po prostu jak usiadł, tak siedział, nie robiąc nic. Ot, kilka razy się rozejrzał i tyle, raz zrobił kupę. Takie obserwacje można wytrzymać godzinę, ale wpatrywanie się w ptaka, który zachowuje się przez trzy godziny, jakby był wypchany, nie jest niczym przyjemnym. Złorzeczyłem mu więc, jak tylko mogłem. Jedyną moją nadzieją był starszy bielik, ale ten już dziś zaliczył posiłek i wiadome było, że przyleci dopiero następnego dnia – pojawiał się przy padlinie raz dziennie. Młodemu bielikowi natomiast zdarzało się przylatywać także po południu, ale trudno było na niego liczyć, skoro nie dawał sobie rady z krukami; kruki zaś najwyraźniej bardzo bały się jastrzębia. Zrezygnowany czekałem, patrząc na jastrzębia, który sprawiał wrażenie, że nikogo na świecie się nie boi i tylko stado wilków będzie go w stanie zegnać z dzika. Ale kiedy zaczął się nerwowo rozglądać i poderwał się do lotu, zrozumiałem, że jest jednak ktoś, kogo się wystraszył.

Jakie było moje zdziwienie, kiedy zobaczyłem, że tym kimś był misiowaty młody bielik, który tym razem nie maszerował godnym krokiem defiladowym do padliny, ale gładko na niej wylądował. Kiedy się pokazał, w okolicy zaczęły drzeć się sójki i krakać kruki. Po chwili obok młodego pojawił się kruk. Wszystko wróciło do normy.

Bieliki później widziałem na niemal wszystkich ofiarach zabitych zimą przez wilki. Nawet tych zabitych gdzieś głęboko w lesie, gdzie wydawałoby się, że ptak z taką rozpiętością skrzydeł nie ma prawa wylądować. Tymczasem wiele z tych wielgachnych ptaków, które normalnie polują na kaczki lub łyski, na zimę, gdy rzeki i jeziora zamarzają, a kaczki i łyski wynoszą się gdzieś daleko, zlatuje się do Puszczy właśnie dlatego, że są tu wilki. Na początku myśleliśmy nawet, że bieliki śledzą wilki. Ale moim zdaniem jest inaczej. One raczej, krążąc gdzieś wysoko na swoich wielkich i szerokich skrzydłach, rozglądają się za krukami, a te z kolei nie spuszczają z oka wilków i nie tylko wilków. Myślę, że kruki reagują na podejrzane ruchy w okolicy. Są szalenie ciekawskie i nie ma znaczenia, czy to są wilki jedzące łanie, czy ja zasuwający na nartach, czy też myśliwi strzelający do czegoś – kruki przylatują, żeby sprawdzić, co się dzieje, a dopiero za nimi bieliki. Może nawet te wielkie ptaki po krakaniu kruków potrafią poznać, czy te coś znalazły, czy nie.

Nuria obliczyła, że z padliny korzystają w sumie aż 33 gatunki kręgowców, a ile bezkręgowców, w tym owadów, trudno zliczyć. Najatrakcyjniejsza była padlina po wilkach. Świeżo zabita i rozpłatana. Ale w pracy Nurii jest pewna nieścisłość. Do padlinożerców trzeba dodać jeszcze jedno zwierzę. Zaczęliśmy coś podejrzewać już przy pierwszym obserwowanym przez nas zabitym jeleniu. Tym, przy którym postawiliśmy wigwam z pałatek. Czwartego dnia Grzesiek został w namiocie dłużej niż zwykle. Wrócił późno, nocą.

– Najpierw uciekły kruki, a potem nagle zobaczyłem, że świat mi przysłania szkocka krata – opowiadał zasapany. – Szkocka krata nagle zamieniła się w koszulę i zobaczyłem, jak jakiś facet podchodzi do naszego jelenia, wyciąga nóż i zabiera się

do obcinania głowy. Chodziło mu o poroże. Biedak przeszedł ze dwa metry od ukrycia i nic nie zobaczył. No i wtedy ja wyrosłem mu za plecami jakby znikąd i mówię: „Dzień dobry". A facet nóż schował za siebie i opowiada mi o tym, że on tu grzyby zbiera. Na co ja mu, że grzyby tu nie rosną i żeby nie obcinał głowy, bo my tu robimy poważne badania. No i facet sobie poszedł.

– Na pewno wróci. Z samego rana. A to miała być moja głowa! Moje rogi! – krzyknął zrozpaczony nasz miejscowy przyjaciel, gdy to usłyszał opowieść Grześka. Jeszcze tego samego wieczora namówił mnie na eskapadę jego fiatem cinquecento po głowę jelenia. Lało jak z cebra, a my jechaliśmy nocą przez Puszczę z wyłączonymi światłami, żeby nikt nas nie namierzył. Za jazdę można było dostać mandat, za głowę zresztą też. Głowa jelenia należy przecież do państwa, czym mało kto się w Puszczy przejmował. Służby parkowe i leśne na wynoszenie głów z lasu patrzyły przez palce. Przecież robili to ich kuzyni, bracia albo ojcowie. Oni sami też, jeśli tylko mogli. Poza tym lepsze to niż stawianie wnyków. W końcu dotarliśmy na miejsce. Nie wiem do dziś, jak znalazłem tego jelenia w ciemnościach i deszczu. Bez żadnego GPS-u. Mój przyjaciel ukontentowany, że jeszcze nikt jego głowy nie zabrał, przekręcił sprawnie jelenia, a raczej to, co z niego zostało, na wznak i jednym cięciem ostrej siekierki odciął mu głowę. Widać było, że robi to nie pierwszy raz. Potem jakoś tę śmierdzącą głowę opakowaną w folię władowaliśmy do samochodu i wróciliśmy do Białowieży. Do dziś wisi u niego na ścianie w formie czachy z porożem, podobnie jak wiele innych czach w innych domach. Wkrótce okazało się, że każdy w Białowieży i okolicy pragnie mieć głowę jelenia z porożem. Nie jedną. Kilka. Im więcej, tym lepiej. Ot, taki miejscowy sport. Czaszki z porożem w tutejszych domach stanowiły specyficzną ozdobę, oznakę mołojeckiej sławy i tropicielskich umiejętności

domowników. Ludzie, gdy słyszeli rozmowę o rogach (choć tak naprawdę to, co jelenie mają na głowie, to poroże, czyli tkanka kostna, a nie rogi, czyli tkanka rogowa, taka sama jak w paznokciu), wpadali w jakiś amok. Musieli je mieć. Wczesną wiosną objawiało się to tym, że szli za jeleniami, które miały zrzucać poroże. Przemierzali kilometry. Zimą wędrowali za wilkami. A potem, jak się zwiedzieli, że nam udaje się dziwnie łatwo odnajdować wilcze ofiary, zaczęli łazić za nami. W końcu znikające głowy znalezionych przez nas wilczych ofiar przestały nas dziwić. Baliśmy się tylko, żeby się nie wydało, że to Antonia te ofiary odnajduje, bo zapewne niejeden amator czach chciałby mieć takiego psa. Dobrze też pamiętałem smutną historię psa pana Lisickiego, naszego sąsiada z Białowieży.

Kilka razy okazało się, że ludzie zabierają nie tylko głowę, ale też mięso. Nie żeby całego jelenia, oni wycinali najlepsze kawałki. Najczęściej polędwice, bo szynki jako pierwsze zjadały wilki. Kiedy pierwszy raz to zobaczyłem, pomyślałem, że jest coś obrzydliwego w takim dojadaniu po wilkach. Dziś już mnie to nie szokuje. Przecież nasi przodkowie zapewne tak właśnie zaczęli jeść mięso. Ono nie pochodziło z polowań, ale było podkradane dużym drapieżnikom. Mało tego, w Afryce, czyli kolebce ludzkości, niektóre plemiona do dziś okradają lwy z mięsa upolowanych przez nie zwierząt. Na pewnym filmie BBC można zobaczyć, jak kilku Kenijczyków ubranych w kolorowe stroje skrada się do lwów pałaszujących bawoła. Gdy są już blisko, wstają i wyprostowani pewnym krokiem idą w kierunku drapieżników. Te skonfundowane odskakują na kilkadziesiąt metrów i zanim zrozumieją, o co chodzi, panowie już podążają w drugą stronę, niosąc na ramieniu odcięty niezwykle szybko bawoli udziec. Okradanie wilków z pewnością jest o niebo bezpieczniejsze, a jelenie mają mięso równie dobre jak

bawoły. Dopiero niedawno uświadomiłem sobie, że to, co się dzieje w Puszczy, musi być pozostałością jednego z najbardziej zamierzchłych ludzkich zwyczajów.

• • • • • •

WNYKI

– Pupaj, pupaj! Nie przestawaj – Karol Zub delikatnie, ale bardzo zdecydowanie szturchnął mnie w bok. Było mroźne lutowe popołudnie. Słońce świeciło jeszcze mocno, choć było coraz niżej i za godzinę lub dwie miało skryć się za horyzontem. Śnieg skrzypiał nam pod nogami, a mróz szczypał w twarze. Wybraliśmy się do rezerwatu ścisłego Białowieskiego Parku Narodowego. (Niedawno Karol przypomniał mi, że była to wycieczka pożegnalna, bo miesiąc później miałem ruszyć na wschodnie wybrzeże Spitsbergenu). Bardzo lubiłem wędrówki z Karolem z dwóch powodów. Po pierwsze, Karol ma tak ogromną wiedzę o przyrodzie, że zawsze czegoś mogłem się od niego dowiedzieć. Po drugie, nasze wycieczki za każdym razem kończyły się jakąś przygodą. Tak było i tym razem. Staliśmy na trybie Niedźwiedziowskim wśród świerków i olbrzymich martwych sosen o wielkich, poskręcanych pniach. Zatrzymaliśmy się, bo obaj usłyszeliśmy coś, co mogło być wołaniem włochatki. Włochatka to taka niewielka sowa o nieproporcjonalnie dużej głowie i zdziwionym wyrazie twarzy.

GDY POSZEDŁEM NA PATROL ze strażnikami z Białowieskiego Parku Narodowego, na odcinku kilometra znaleźliśmy aż kilkadziesiąt wnyków.

Najczęściej mieszka właśnie w dużych dziuplach wykutych przez dzięcioły czarne w martwych sosnach lub świerkach. Kiedy podchodzi się pod taki świerk i poskrobie w pień, to o ile włochatka jest w dziupli, na pewno wyjrzy. Ale nie zawsze włochatki siedzą w dziuplach w Puszczy. Są lata, że ich nie ma albo siedzą tak skrycie, że nie wiadomo, czy są. Wszystko zależy od tego, czy jest „mysi rok", czyli czy w lesie jest dużo nornic i myszy leśnych. Gryzonie to podstawowy pokarm włochatek. Jeżeli jest ich pełno, bo rok wcześniej obrodziły żołędziami dęby, to samce włochatek wołają. Głównie nocą, ale czasami również za dnia, można wtedy usłyszeć dźwięczne „pu, pu, pu, pu". To znak dla samic, które koczują po całej Europie, że w tym lesie warto się zatrzymać i założyć rodzinę. No bo jak są gryzonie, to nie będzie kłopotu z wychowaniem młodych. I takie śpiewne „pupanie" usłyszeliśmy z Karolem gdzieś w okolicy trybu Niedźwiedziowskiego. A może nam się tylko wydawało?

– Adaś, hukasz jak puszczyk i gwiżdżesz jak sóweczka, a umiałbyś zapupać jak włochatka? – zapytał mnie Karol. No to zapupałem. Ale włochatka nie odpowiedziała. Za to z pobliskiego świerkowego młodnika huknęło wilcze wycie. Tak, „huknęło" to dobre określenie. Bo wilcze wycie, gdy słyszy się je z bliska, nie przypomina niczego melodyjnego. Brzmi jak głos jakiejś szalonej maszyny, a raczej wielu maszyn wyjących i jazgoczących bez ładu i składu. Ten dźwięk przenika człowieka do szpiku kości. Już wcześniej słyszałem wilki w Bieszczadach, ale z daleka. Tym razem były tuż-tuż. Może sto, może dwieście metrów od nas. Ten nagły i niespodziewany atak dźwiękiem sprawił, że mnie zatkało. Stałem na ośnieżonej drodze i z lekkim przerażeniem patrzyłem na Karola. Jego też zatkało, ale na nieco krócej niż mnie. Bardzo szybko zrozumiał, że wilki odpowiedziały na to moje niby-włochatkowe pupanie.

– Pupaj, pupaj! Nie przestawaj – wycedził po cichu i szturchnął mnie, a ja, nie myśląc wiele, zapupałem. Wycie znów przerwało zimową ciszę, ale na krótko. Ucichło tak samo niespodziewanie, jak się zaczęło. A po paru sekundach w tej absolutnej zimowej ciszy usłyszeliśmy delikatny chrzęst zmrożonego śniegu. To był odgłos kroków. Nie topornych, ludzkich, ale bardzo lekkich, a jednocześnie wyraźnych. Pod delikatnie stąpającym zwierzęciem zamrożona z wierzchu warstewka śniegu kruszyła się i chrupała. Chrupnięcia były coraz bliższe i bliższe. Wtedy już doskonale wiedzieliśmy z Karolem, co się dzieje. Szły do nas wilki. Staliśmy jak wryci na środku leśnej drogi w mroźne popołudnie i czekaliśmy na to, co się wydarzy. Upłynęło może kilkanaście sekund (choć wydawało mi się, że cała wieczność), nim je w końcu zobaczyliśmy. Były trzy. Jeden wyraźnie większy. Podeszły bardzo blisko, może na 15-20 metrów. Scena było nieco komiczna: choć były tak blisko i musiały

wiedzieć, że je widzimy, to chowały się za drzewami, co parę sekund wyglądając raz z jednej, raz z drugiej strony. Najwyraźniej bardzo chciały nam się przyjrzeć, ale nie chciały, żebyśmy my je oglądali. Strach przed człowiekiem walczył z ciekawością i chęcią sprawdzenia, co wydało z siebie ten dziwny głos.

Chowanie się za drzewami niewiele im dało, z takiej odległości widać je było jak na dłoni. Dwa młode wilki – poznałem to po trochę naiwnych mordkach i ciekawskich spojrzeniach – i ten trzeci, większy. Choć wcale nie taki duży, to patrzył na nas przenikliwie. Na szyi miał obrożę telemetryczną i był trochę dziwny, wyleniały. Gdy po chwili odwróciły się i ruszyły w las, zobaczyłem, że w okolicach pupy włos miał tak rzadki, że widać różową skórę. Kiedy były już daleko, a my nieco ochłonęliśmy, Karol szepnął z namaszczeniem:

– To była Ruda z młodymi.

Tak to wczesną wiosną lub późną zimą 1996 roku poznałem Rudą. Najsłynniejszą wówczas wilczycę noszącą obrożę z nadajnikiem.

Karol wyjaśnił mi, że jest samicą dominującą, bo gdy została złapana, naukowcy po stanie jej sutków poznali, że miała wiele razy młode. Teraz też zobaczyliśmy ją w towarzystwie młodych. A to u wilków oznacza, że Ruda jest wraz z partnerem przywódczynią watahy, bo tylko te wilki mają prawo się rozmnażać. I to właśnie te wilki prowadzą watahę na polowanie oraz decydują, gdzie wataha zatrzyma się na odpoczynek.

Ludzie często wyobrażają sobie, że wilcza wataha to coś w rodzaju oddziału wojskowego albo bandy rabusiów z silnym przywództwem opartym na wywalczonej pozycji. Takie wyobrażenia biorą się z obserwacji wilków w niewoli, gdzie mieszano zwierzęta pochodzące z różnych miejsc, gdzie wilki nie mogły się rozejść i musiały walczyć. To właśnie dlatego zginął

Kazan. Musiał walczyć, bo został zamknięty w klatce z obcymi wilkami. Nic dziwnego, że z taką wizją wiąże się obraz wilka dowodzącego jako zwierzęcia niezwykle silnego, wyrośniętego, bo tylko taki mógł zdobyć przywództwo. Tymczasem Ruda, która nie była wcale duża i z tą łysiejącą pupą wyglądała nawet trochę żałośnie, stanowiła zupełne zaprzeczenie tego wyobrażenia. Tym samym była znakomitym dowodem na to, że przywództwo w grupie wilków opiera się na czymś zupełnie innym, niż się nam wydaje. Wataha to nie żaden wojskowy oddział, ale po prostu rodzina, gdzie przywództwo wynika z doświadczenia i autorytetu pary rozmnażającej się, czyli rodziców. Ktoś, kto się z nim nie zgadza, po prostu odchodzi i zakłada własną watahę. Ruda musiała mieć i olbrzymi autorytet, i doświadczenie skoro prowadziła największą wówczas w Puszczy, bo liczącą aż osiem wilków rodzinę.

Tu niezbędne jest wyjaśnienie. Liczba wilków w rodzinie zależy od tego, na co polują i jak duże ofiary udaje im się zabić. Rodzina musi przecież zapewnić wszystkim w miarę godziwe warunki życia. To dlatego w Ameryce, gdzie wilki polują na bizony albo o wiele większe od naszych łosie, watahy mogą liczyć nawet do dwudziestu wilków. Podczas gdy u nas, gdzie główną ofiarą wilków są jelenie (i to przede wszystkim łanie, czyli samice, i cielaki, czyli młode), wataha liczy zwykle pięć-sześć osobników. Owszem, co jakiś czas również w Polsce pojawiają się watahy złożone z kilkunastu wilków. Ale rozpadają się one bardzo szybko. Tymczasem prowadzona przez Rudą i jej partnera rodzina składająca się z ośmiu trzymała się razem. Wilki Rudej potrafiły zabijać nawet całkiem spore i doświadczone jelenie o pięknych porożach. Oznaczało to, że każdy z członków rodziny mógł się solidnie najeść. Żeby zabijać takie doświadczone zwierzęta, w rodzinie Rudej musieli być doświadczeni myśliwi, albo przynajmniej para rodzicielska musiała

do takich myśliwych należeć. W Puszczy zwykle są cztery, czasem trzy watahy. Dzielą one między siebie Puszczę, ale granica między ich terytoriami nie jest nieprzekraczalna. Wilki, owszem, znakują swoje terytoria moczem, a potem drapaniem ziemi – ale terytoria potrafią się na siebie nakładać. W polskich lasach wilcza wataha zajmuje od 150 do 300 kilometrów kwadratowych.

Pół roku później, po powrocie ze Spitsbergenu i odkryciu niesamowitych zdolności tropicielskich Antonii, ruszyłem w ślad za watahą Rudej i z każdą znalezioną przez Antonię ofiarą mój szacunek do Rudej i jej rodziny rósł. Ciągle polowała na wielkie dorosłe jelenie. W końcu nadeszła jesień, przyszło rykowisko, czyli okres miłości jeleni, w czasie którego byki, otumanione miłością, ryczą, przez co są łatwiejszymi ofiarami. Może właśnie dlatego można w lesie dość często usłyszeć niezbyt składne wycie młodych wilków, które zaczynają zdobywać łowieckie doświadczenie. Wydawało się, że nic nie zmąci ani spokoju wilków, ani mojego. One będą przemierzać las, polować i odpoczywać, a ja dzięki wybitnym właściwościom nosa Antonii będę podążał za nimi i poznawał tajniki ich życia. Nie mogłem się już doczekać, kiedy spadnie śnieg i dzięki tropom na nim odciśniętym zobaczę jeszcze więcej wilczych śladów. Niestety, jesień 1997 roku miała mi przynieść przygody innego rodzaju.

Zaczęło się od Chytrej, młodej wilczycy z rodziny Rudej, jej córki. Chytra też nosiła obrożę telemetryczną. Była, jak można sądzić po imieniu, sprytna i – jak wszyscy się domyślali – pomagała matce wychowywać młode. Pewnego dnia zaspałem i zamiast jechać z kolegami z Zakładu Badania Ssaków PAN do lasu, wylegiwałem się w łóżku. Wyspany i rześki zjawiłem się w Zakładzie w południe i od razu zobaczyłem, że w lesie musiało coś się wydarzyć. Wszyscy mieli dziwne smutne miny.

– Co się stało? – zapytałem.

– Idź zobacz na trawniku. Rozwalili Chytrą – odpowiedział ktoś i wskazał miejsce między budynkiem a klatkami. Poszedłem tam i oniemiałem. Widziałem wiele zwierząt zabitych przez kłusownicze wnyki, ale nigdy czegoś tak okropnego. Chytra była przecięta jak nożem od pachwiny w górę, prawie do kręgosłupa.

– Musiała się straszliwie męczyć – relacjonował mi Karol, który widział miejsce śmierci wilczycy. – Nie wiem, ile to trwało, może kilka dni, może nawet tydzień. Dzielnie walczyła, żeby się uwolnić. Szarpała się tak, że usypała pokaźną górkę ziemi obok, ścięła wszystkie małe drzewka wokół siebie. Ale wnyki wrzynały się powoli, powolutku.

Wnyki to nic innego jak stalowa linka, a dokładnie pętla ze stalowej linki, przywiązana do drzewa. Taka pętla zaciska się bardzo łatwo. Im bardziej zwierzę się szarpie, tym bardziej się zaciska, a im bardziej zwierzaka boli, tym bardziej się szarpie. Zaklęta spirala bólu, na której końcu jest śmierć w męczarniach albo śmierć zadana przez kłusownika. Wnyki to narzędzie dzięki swej prostocie mordercze. Łatwe do ukrycia, łatwe do przeniesienia i łatwe do założenia.

WNYKI TO NIC INNEGO JAK STALOWA LINKA, a dokładnie pętla ze stalowej linki.

Ma jeszcze to do siebie, że może wisieć tygodniami, miesiącami, a nawet latami i nie straci swoich zabójczych właściwości. Wnyki nie wybierają. Choć są zastawiane na jelenia czy dzika, zabijają też rysie i wilki. Łapią się w nie nawet żubry. Kłusownik stawia wnyki albo na ścieżkach zwierząt, albo tam, gdzie muszą głową rozchylić zarośla. Tak zaczyna się dramat.

Wtedy, w latach 90., aż roiło się w Puszczy Białowieskiej od wnyków. Mój pierwszy tekst o Puszczy, opublikowany w „Gazecie Wyborczej" w 1992 roku, nie był o żubrach, nie był o wielkich drzewach, tylko właśnie o kłusownikach i ich

śmiercionośnych pułapkach. Gdy poszedłem na patrol ze strażnikami z Białowieskiego Parku Narodowego na jego granicy, na odcinku kilometra, może dwóch znaleźliśmy aż kilkadziesiąt wnyków. Kłusownicy zastawiali je głównie na jelenie, sarny i dziki, czyli na to, co się dało zjeść. Ale po pierwsze, gdy często nie sprawdzali wnyków, mięso się marnowało. Po drugie, zdarzało się, że wpadały w nie inne zwierzęta, w tym wilki i rysie.

Na początku wydawało mi się, że to nieprawdopodobne, żeby wilki dały się złapać w tak prostacką pułapkę. Myślałem, że potrafią wyczuć zapach człowieka zostawiony na lince, a sama stalowa linka jest dla nich czymś tak obcym i nienaturalnym, że będą jej unikać. Niestety, dobrze postawione wnyki są ledwo widoczne, a zapach człowieka znika z nich bardzo szybko.

Jakieś trzy tygodnie po zabiciu Chytrej zadzwonił Włodek Jędrzejewski:

– Z Rudą dzieje się coś dziwnego. Już od trzech dni nie rusza się z miejsca. Jedziemy sprawdzić. Bierz Antonię!

Ponieważ cały Zakład wiedział, że nasza Antonia wywęszy wszystko, nikt już nie protestował przeciwko wożeniu jej w samochodzie.

– Myślisz, że to znowu kłusownicy? Daj spokój. Pewnie je sobie spokojnie jelenia, nie będziemy jej przeszkadzać – uspokajałem Włodka, bo przecież wilki, jak się nie ruszają z miejsca, to znaczy, że jedzą. Poza tym miałem nadzieję, że Ruda się przemieszcza, ale na niewielkie odległości. Takie, których nie byliśmy w stanie za pomocą naszej bardzo prymitywnej radiowej telemetrii odnotować. Ruda pewnie podje sobie trochę i odchodzi kawałek dalej spać. Przechodzi 100-200 metrów w jedną albo drugą stronę, a ktoś, kto bierze namiar w Zakładzie, nie jest w stanie tego wykryć. Co prawda trzy dni to trochę dużo na takie jedzenie i odpoczynek,

ale byłem spokojny. Włodek jednak naciskał. Wyszedłem przed dom z Antonią ubraną w szelki przymocowane do długiej smyczy i wsiedliśmy do auta. Sądziłem, że wszystko będzie w porządku i najwyżej znów zobaczę Rudą, a raczej jej wyłysiałą pupę znikającą gdzieś w krzakach. Niepokój pojawił się, gdy okazało się, że nie jedziemy w głąb Puszczy. Minęliśmy wieś Pogorzelce, a Włodek zatrzymał samochód przy szosie prowadzącej dalej do Teremisek.

– To tu – powiedział, a ja czułem, że coś jest nie tak. Nie byliśmy w żadnych ostępach, w których wilk nieniepokojony przez nikogo mógłby sobie jeść. Przeciwnie, byliśmy nie dość, że blisko szosy, tuż obok wsi, to jeszcze całkiem niedaleko od arcyturystycznego miejsca, jakim jest Stara Białowieża.

RUDA nie miała szans.

Turyści przychodzą tu podziwiać wielkie dęby ponazywane na cześć polskich królów i królowych, litewskich książąt oraz biesiadować przy ogniskach. Ruda nie powinna w takim miejscu siedzieć przez

trzy dni. Ktoś by ją w końcu przepłoszył. To nie wyglądało dobrze. Na dodatek Antonia zaraz po tym, jak wyskoczyła z samochodu, coś poczuła. Coś, co ją bardzo podnieciło. Zapach musiał być wyjątkowo intensywny, bo nawet nie wciągała mocno powietrza do swojego wielkiego nochala, nie szukała śladów zapachu na ziemi, nie kluczyła. Tylko ciągnęła mnie za sobą. Bardzo pewnie podążała w kierunku czegoś, co za chwilę mieliśmy znaleźć. Antonia zapewne wiedziała już, co to takiego będzie, ale ja niczego nie podejrzewałem. Nawet starałem się ją trochę powstrzymywać, bo myślałem, że znów chce pogonić za dzikiem, którego mocny zapach nawet ja poczułem. Ale ona nie szła za zapachem dzika. W pewnym momencie szarpnęła i zmusiła mnie do biegu. Po parunastu sekundach przed oczyma zamajaczył mi dziwny kształt. Pień, a może złamany konar. Takich rzeczy jest tu, w Puszczy, pełno. „Pień, na pewno pień", pocieszałem się jeszcze przez parę sekund. Ale w końcu zobaczyłem wyraźnie: pień miał głowę, uszy i wyszczerzone bezsilnie zęby. Widok wiszącego na wnykach wilka był przerażający. Ogarnęła mnie wściekłość i poczułem mdłości. To była Ruda.

Nisko zawieszona pułapka, przeznaczona dla dzika, była zrobiona profesjonalnie. Pierwszy raz widziałem takie wnyki – jedna pętla przymocowana do dwóch drzew. Ruda nie miała szans nawet się ruszyć. Nie męczyła się, jak jej córka Chytra, bo nie mogła walczyć. Musiała się momentalnie udusić. Obok wnyków na liściach dostrzegłem kropelki świeżej krwi. Nie należały do Rudej, ciągnęły się gdzieś daleko w las. Antonia bardzo chciała pójść tym tropem. Rwała się jak szalona, bo krew była świeża. Może kłusownicy zabili tu coś w pobliżu? Ale dlaczego, skoro tu byli, nie wzięli Rudej?

– To krew młodego wilka, mógł się skaleczyć o wnyki, kiedy próbował uwolnić matkę – wyjaśnił mi Włodek Jędrzejewski.

Bardzo możliwe, wnyki były tak powiązane, że w niektórych miejscach odstawały ostre końcówki linki. Stałem i patrzyłem na to zdruzgotany, z rwącą się raz do Rudej, raz za krwawym śladem Antonią. Rudą odciął i położył na pakę swojego tarpana Tomek Werkowski, łowczy nadleśnictwa Białowieża, który został wezwany. Policja wszczęła dochodzenie, z którego oczywiście absolutnie nic nie wynikło.

W końcu przyszła zima. Antonia miała wolne i tylko czasami jeździła z Nurią do ofiar, żeby nie wyjść z wprawy w ich poszukiwaniu. Mnie Nuria wywoziła i zostawiała na świeżym wilczym albo rysim tropie, za którym podążałem na nartach. Pewnego dnia przed naszym wyjściem do lasu zadzwonił telefon. To była Bogusia Jędrzejewska.

– Zbój jest we wnykach – powiedziała mi szybko – jeszcze żyje, choć bardzo z nim kiepsko. Chłopcy razem z Mariuszem Miniukiem, białowieskim lekarzem weterynarii, pojechali go ratować.

Zbój był młodym samcem wilka, też nosił obrożę telemetryczną, która pozwala naukowcom go namierzać. Bogusia poprosiła, żebym znalazł kogoś, kto wie, co zrobić z dzikim zwierzęciem w takim stanie. W stanie bardzo ciężkim. Rzuciłem się do telefonu. Wydzwaniałem do wszystkich znajomych lekarzy z warszawskiego zoo, ale żadnego nie zastałem.

– Zaraz, a pamiętasz tego psa skatowanego przez właściciela, którego pokazywali w telewizji? Ktoś go przecież wyleczył – podpowiedziała Nuria. No tak, ale to było we Wrocławiu, ja tam nikogo nie znam. Ale, ale... przecież w Warszawie takimi przypadkami zajmuje się Maciej Onyszkiewicz z fundacji Animals. To on ratuje psy w strasznym stanie. A wilk niczym się od psa nie różni. Maćka udało mi się zastać w domu. Obiecał, że pomoże, jak tylko będzie mógł.

Przez trzy godziny siedzieliśmy jak na szpilkach – nie wiedzieliśmy, w jakim stanie jest Zbój. Bogusia, która miała z chłopakami kontakt radiowy (wtedy nie było komórek i używaliśmy CB-radia), dowiedziała się tylko, jak go znaleziono. Jego sygnał namierzył Krzysztof Schmidt z Zakładu. W miejscu wskazanym przez namiar znalazł odciski butów. Tropy w śniegu były i świeże, i stare. Ktoś kilka razy podchodził do czegoś i wracał.

– Coś mnie tknęło, poszedłem za śladami – opowiadał później Krzysztof. – Doprowadziły mnie do Zbója. Myślałem, że jest martwy, ale on podniósł głowę. Szybko wróciłem do samochodu. Przez radio zawiadomiłem kolegów z Zakładu i lekarza weterynarii. Na miejscu pojawiła się też straż leśna i policja. Mariusz Miniuk udzielił pierwszej pomocy.

– Zwierzę było wychłodzone i odwodnione. Jama brzuszna pełna ropy, zaczynała gnić, nastąpiła martwica. Tylne łapy prawie nieruchome, bardzo obrzęknięte. Pętla zatrzymała dopływ krwi do tylnej części ciała. Obcięła napletek, wdało się zakażenie – mówił Mariusz.

Wyglądało to bardzo źle. Nie było wiadomo, co robić. W lesie wilk nie miał szans na przeżycie, transport to stres. W końcu Mariusz zdecydował, że zwierzę musi trafić do jakiegoś pomieszczenia. Szczególnie że zimą szybko się ściemnia i na zewnątrz nie byłoby możliwości przeprowadzenia zabiegu.

– Trzeba go było przygotować do podróży, na miejscu podałem glukozę, leki na wzmocnienie, antybiotyki – opowiadał Mariusz. Wycieńczone zwierzę załadowali do samochodu. Tasiemką obwiązali pysk i przednie łapy – to na wypadek, gdyby Zbój poczuł się lepiej. I pognali do Białowieży. Jeszcze nie wiedzieli, gdzie umieszczą wilka, ale najpewniej miał trafić do dużego pomieszczenia w piwnicach Zakładu.

Wieczorem wszyscy byliśmy w Zakładzie – cała ekipa od drapieżników. Przygotowaliśmy pokój w piwnicy. Jedyna szansa dla Zbója to leczyć go w cieple. W końcu samochód z wilkiem zatrzymał się przed budynkiem. Z Włodkiem i Krzysztofem powoli wyciągnęliśmy Zbója na płachcie. Nie ruszał się. Kapała z niego tylko okropnie cuchnąca wydzielina.

– To z brzucha – wyjaśnił Mariusz.

Szybko podzieliliśmy się zadaniami. Włodek, który przez ostatnią noc pracował w lesie i ledwo stał na nogach, wraz z Krzyśkiem na wszelki wypadek zorganizowali klatkę dla wilka. Mariusz pojechał po dodatkowe leki, bo trzeba mu było przemyć ranę i jeszcze raz podać kroplówkę.

– Na razie więcej nie da się zrobić – westchnął.

Ja cały czas próbowałem złapać kolejnych lekarzy weterynarii od dzikich zwierząt. Bez skutku.

– Może Zbója trzeba będzie natychmiast przewieźć do Warszawy, a może nie ma to sensu, bo nie przeżyje podróży? – zastanawiał się Włodek.

Krzysztof opisał stan wilka Maćkowi Onyszkiewiczowi.

– Za godzinę wsiadam do samochodu i jadę do Białowieży – zdecydował szybko Maciek.

Ustaliliśmy dyżury przy wilku. Pierwszy przypadł Nurii. Włodek zostawił jej środek usypiający, gdyby coś się zaczęło dziać. Ustaliliśmy, że w nocy będziemy zmieniać się na warcie, a jutro, gdy stan Zbója się poprawi, przeniesiemy go do klatki.

– Podnosi głowę i zaczyna ruszać łapami. Nie rusza tylko jedną tylną. Reaguje, kiedy słyszy kroki – zrelacjonowała mi Nuria, gdy ją odwiedziłem. Na chwilę nabrałem nadziei, że wilk z tego wyjdzie. Ale nadzieja szybko minęła, bo z jego pyska buchnęły wymioty. Na moment straciłem głowę. Co tu robić? Jego wielki pysk był

związany tasiemką, żeby nikogo nie ugryzł. Ale jeśli go nie rozwiążemy, nie będzie mógł swobodnie wymiotować i się zadusi. W pobliżu nie było ani Włodka, ani Krzyśka, którzy najlepiej wiedzieli, jak obchodzić się z wilkami. Trudno, postanowiłem zaryzykować nasze pogryzienie. Zbój był bardzo osłabiony i chyba niewiele mógłby nam zrobić. Poluzowałem tasiemkę. Delikatnie zsunęła się z pyska. Bałem się, gdy zobaczyłem olbrzymie zębiska. Kiedy już nic nie krępowało jego pyska, na podłogę buchnęła żółć. Po dziesięciu minutach w Zakładzie zjawili się Piotrek Jachowicz i Karol Zub, przynieśli kaganiec, który zabezpieczałby nas przed zębami Zbója, a jemu pozwalał swobodnie wymiotować. Po chwili razem delikatnie przesunęliśmy zwierzę.

– Wiesz, nie można mu pozwolić umrzeć w rzygach – powiedział Piotrek.

W końcu wrócił też Mariusz z kroplówką. Wprawnie wbił igłę, Karol trzymał łapy wilka, a Nuria głowę.

– A co z tylnymi nogami? – zapytałem Mariusza.

– Sam zobacz, jest taki obrzęk, że palec można wsadzić. – Rzeczywiście, łapy były jakby z gąbki. To oznaczało, że z wilkiem było bardzo źle. Zasłoniliśmy mu oczy workiem, żeby zaoszczędzić mu stresu. Gdzieś znalazł się wieszak, na którym zawiesiliśmy butelkę z solą fizjologiczną. Pokój z dziwnymi szafkami i wieszakiem z kroplówką nabrał trochę szpitalnego wyglądu. Na chwilę odetchnąłem. A potem wypadki potoczyły się bardzo szybko. Zbój zaczął poruszać łapami i coraz trudniej było go utrzymać. Z łapy nagle wypadła igła. Sól fizjologiczna pomieszała się z krwią i wydzieliną z brzucha. Mariusz wbił igłę jeszcze raz. Kroplówka kapała. Z butelki ubywało zawartości. Mariusz powiedział, że musimy w niego władować 300-400 mililitrów. Poszło 100 mililitrów, po chwili było 200, 250.

– Wyjdziesz z tego, wyjdziesz – pocieszaliśmy i siebie, i Zbója. Ale nagle oddech zwierzęcia przyśpieszył.

– Coś złego dzieje się z sercem – powiedział Mariusz. – O, w mordę, jego serce nie wytrzymuje.

Ciało Zbója drgało jeszcze przez chwilę. Teraz już wiedzieliśmy, że to koniec, że nic się nie da zrobić. Wstaliśmy. Zrobiło nam się smutno i jakoś tak cholernie głupio, gdy bezsilnie patrzyliśmy, jak Zbój wypręża nogi. Przestaje się ruszać. Nagle z pyska wydobyło się westchnienie.

– Zapadły się płuca – Mariusz otarł ręką czoło. Odstawiliśmy kroplówkę. Karol zadzwonił do Włodka i Krzyśka. Mnie udało się zawrócić doktora Onyszkiewicza. Jego pomoc nie była już potrzebna. Nuria próbowała zamknąć oczy Zbója, ale nie dała rady.

Razem z Karolem wynieśliśmy bezwładne, jeszcze ciepłe ciało Zbója do komórki na zewnątrz. I rozeszliśmy się w milczeniu do domów. Zbój był czwartym wilkiem z obrożą telemetryczną, którego w ciągu czterech miesięcy zabiły wnyki. Chytra została przecięta na początku listopada, Ruda zadusiła się w pętli dwa tygodnie później, Hardą, kolejną wilczycę z obrożą, znaleziono we wnykach w białoruskiej części Puszczy, i teraz Zbój. To były wilki, o których śmierci wiedzieliśmy dzięki obrożom.

Po tym wszystkim odwiedził nas w domu Piotrek Jachowicz.

– Dobrze, że przynajmniej umarł w cieple, że próbowaliśmy go ratować, że nie daliśmy mu umrzeć w tych rzygach – powiedział na pocieszenie. Ale ja miałem w głowie co innego. Spokoju nie dawała mi myśl o człowieku, który zastawił wnyki.

NURIA WYWOZIŁA MNIE do lasu i zostawiała na wilczym tropie.

Zapewne nie postawił ich na wilka. Zbój złapał się przez przypadek. Kłusownik podchodził do szarpiącego się wilka przynajmniej dwa razy. Każda wizyta wywoływała strach Zbója i ból od wrzynającej się coraz bardziej pętli. Dlaczego nie zdobył się na litościwy cios siekierą? Nie zatłukł go, jak to robią kłusownicy, gdy znajdą coś żywego we wnykach. Bał się? Nie chciało mu się? Kim jest ten ktoś, kto przychodził co kilka dni do wilka po to tylko, aby sobie popatrzeć na jego agonię?

Po Zbóju zabili jeszcze Szarą, młodą wilczycę. Kula z wojskowej broni przeszyła ją na wylot. Najwięcej szczęścia miał Drab. Na jego szyi też zacisnęła się stalowa pętla, ale zatrzymała się na obroży, na której był nadajnik telemetryczny. Udało się go uwolnić. To był jedyny nasz wilk, który przeżył spotkanie z kłusowniczymi wnykami.

Z TWARZY poczciwy

• • • • • •

Był piękny mroźny dzień. Świeciło słońce, a w jego promieniach skrzył się lód. Wjechałem na nartach w szeroką dolinę Narewki. Szukałem wydr, norek i bobrów, które często wyłażą na lodowe krawędzie, by się ogrzać w lutowym słońcu. Widać je z daleka, bo ich mokre futerko też błyszczy w słońcu. Ale zamiast norek, bobrów i wydr zobaczyłem narciarski ślad po drugiej stronie rzeki. Od razu wiedziałem, że to mój przyjaciel Janusz Korbel, bo nikt inny poza nami dwoma na nartach w tym rejonie nie łaził. Ślad był świeży, więc śmignąłem przez zamarzniętą rzekę, wszedłem w las i szybko dogoniłem Janusza. Wyciągnąłem termosik, nalałem herbaty do kubeczka i nagle, gdy tak sobie plotkowaliśmy, popijając gorący napój, kątem oka dostrzegłem coś szarego. A dokładnie szary grzbiet, który mignął mi między drzewami. To był wilk. Zawyłem delikatnie.

Wycie do wilków nie jest wcale trudne. Szybko się go nauczyłem. Najpierw wyliśmy, gdy trzeba było lokalizować watahy. Czasami Włodek Jędrzejewski rozwoził wszystkich pracujących w wilczym projekcie po Puszczy, rozstawiał w odpowiednich miejscach.

WJECHAŁEM NA NARTACH w dolinę Narewki.

Każdy wył raz długo, przeciągle, i dwa razy krótko, po kilku minutach znów to samo, a gdy wilki odpowiedziały, wiadomo było, w którym rejonie Puszczy akurat są. To było dobre uzupełnienie wiedzy z namiarów i o tym, ile jest watah w Puszczy. Potem zauważyłem, że często, gdy się zawyje, wilki nie odpowiadają, ale po cichu przychodzą sprawdzić, kto taki wydziera się na ich terytorium.

No więc i tym razem zawyłem. Trochę głupio zrobiłem, bo najpierw trzeba było wyciągnąć aparat, a później wyć. Wilk podbiegł akurat wtedy, kiedy zabrałem się do wyjmowania sprzętu. Był kilkanaście metrów od nas. Popatrzył na mnie i na Janusza i zniknął. Zrobiłem jedno marne zdjęcie. „Ale to nic – pocieszałem się w myślach – one gdzieś tu są". Świadczyło o tym chociażby nerwowe krakanie kruków, które nad czymś latały. Domyślałem się, że tym czymś jest wilcza wataha. Pewności nabrałem, gdy

wracałem do Teremisek. Narty niosły mnie zamarzniętą doliną Narewki na północ. Była noc, granatowa, mroźna i cicha. Na niebie skrzyły się gwiazdy, a czarna linia lasu odcinała się wyraźnie od granatu nieba i bieli doliny. Było cicho, jak to w takie mroźne noce bywa. I nagle z czarnego lasu rozległo się wycie wydobywające się z przynajmniej kilku wilczych gardeł. Narty, mróz, śnieg, zamarznięta dolina i wycie sprawiły, że poczułem się, jakbym nagle wskoczył do powieści Londona albo Curwooda. I zapewne czułbym się tak do końca wędrówki, gdyby nagle gdzieś z południa, czyli od strony Białowieży, nie rozległo się wycie syren strażackich. Coś zapewne się paliło i strażacy ruszali na akcję. Wilki oczywiście usłyszały tę syrenę i odpowiedziały na nią. Im bardziej wyła syrena strażaków, tym bardziej zwariowane dźwięki wydawały z siebie wilki. Te dziwaczne zawody, to przekrzykiwanie się wilków z maszyną było może z pozoru trochę absurdalne, a nawet komiczne, ale potwierdzało, że wilki często reagują na nietypowe dźwięki. Zresztą skoro wataha Rudej odpowiedziała na moje przypominające sowę włochatkę pupanie, to dlaczego te wilki miały nie wejść w dialog z syreną, która przypomina wycie bardziej niż wydawane przeze mnie odgłosy? Najważniejsze jednak było to, że skoro odpowiadają wyciem mniej więcej z tego samego miejsca, gdzie widziałem z Januszem wilka, to zapewne albo mają tam ofiarę, albo odpoczywają. Była więc duża szansa, że dzień później będą gdzieś obok. W końcu syrena ucichła, strażacy dojechali do pożaru, a wilki trochę powyły i też zamilkły.

Następnego dnia rano zabrałem się do przygotowywania nart. Musiały być dobrze nasmarowane, bo miałem na nich zasuwać w miarę szybko. Śnieg nie miał prawa przykleić się do ślizgów. Nawet gdyby załamał się pode mną lód i zamoczyłbym narty. (Do mokrych nieposmarowanych ślizgów śnieg klei się jak cholera). A to

mogło się zdarzyć, skoro wybierałem się w dolinę rzeki Narewki. Wypad musiał być szybki, maksymalnie trzy i pół godziny. I albo się uda, albo nie. Coś mi podpowiadało, że się uda. Tej zimy miałem przecież wyjątkowe szczęście.

Mój pośpiech miał związek z Antonią. Wtedy, w lutym 2011 roku, zaczynała już być psią starowinką. Coraz bardziej dokuczały jej stawy. Mogłem ją zostawić w domu z Nurią, ale tylko na góra trzy i pół godziny. Więcej nie wytrzymywała i siusiała. A ona tak strasznie nie lubiła siusiania w domu. Czuła się z tym piekielnie niekomfortowo, była przecież bardzo dobrze wychowanym psem. Owszem, chodziła jeszcze, ale coraz częściej, bidulka, nie miała już siły wstać. Gdy czuła, że chce się jej siusiu, robiła takie charakterystycznie „hau". Musiałem ją wtedy postawić na nogi i pomóc wyjść z domu albo gdy miała gorszy dzień, po prostu wziąć ją na ręce i wynieść do ogrodu. Nuria sama nie dała rady jej nosić, bo Antonia to był kawał psa – ważyła około 30 kilogramów. Tak więc musiałem wrócić do naszej psiej babci na czas, choćby nie wiem co się działo – i dlatego narty musiały być przygotowane tak, że mucha nie siada. Nałożyłem smar w domu, a potem wystawiłem je przed dom. Teraz czekało mnie szlifowanie i wygładzanie za pomocą kawałka czegoś w rodzaju filcu. Szlifowałem więc spody i czekałem, aż wystygną, gdy przed domem zatrzymał się terenowy samochód, z którego wyjrzał Robert Dróżdż, znakomity fotograf przyrody.

– Idziesz na focenie? – zapytał w fotograficznym slangu.

– Tak – odparłem zgodnie z prawdą.

– A co będziesz robił? – zaciekawił się.

– Wilki – odparłem, po raz kolejny zgodnie z prawdą.

– Taaak? Wilki? Serio? No to cześć! – Robert uśmiechnął się pobłażliwie, machnął ręką, zapalił silnik i odjechał.

Teoretycznie miał rację. Moje słowa zabrzmiały tak, jakbym był pewnym siebie idiotą. Nie można ot tak zaplanować sobie, że w środku dnia pójdzie się do lasu i zrobi zdjęcia wilkom. Te zwierzęta są zbyt płochliwe, zbyt nieprzewidywalne. Raz są tu, raz tam. Nie wiadomo, gdzie ich szukać. Ale ja byłem prawie pewien, że mnie się uda. Po pierwsze, miałem przeczucie. A po drugie, wydarzenia z poprzedniego dnia pozwalały mi tak sądzić. Więc naciągnąłem na siebie anorak, na ramiona zarzuciłem plecak, w którym poza aparatem z olbrzymim obiektywem mieścił się tylko malutki termosik z herbatą owocową wzmocnioną sokiem malinowym i imbirem oraz dwa batoniki. Do plecaka przypiąłem białe ubranie maskujące. Anorak był w kolorze beżowym (a może raczej khaki), dzięki czemu mogłem jako tako zlać się z suchymi trzcinami. Ale jakby trzeba było działać na otwartej przestrzeni, to przykryłbym się tym białym i udawał kawałek śniegu. Jeszcze tylko przewieszony przez ramię statyw, tak abym mógł go w parę sekund zdjąć i postawić. Ukryty w plecaku wielki czterystumilimetrowy obiektyw miał już zainstalowaną osłonę antysłoneczną i był połączony z aparatem. Tu liczył się czas, a spinanie tych wszystkich elementów na miejscu, gdy człowiek jest na dodatek zestresowany, byłoby nie najlepszym pomysłem. Już raz umknęła mi okazja do zrobienia unikalnego zdjęcia. Tym razem wszystko miałem zmontowane w plecaku – wystarczyło wyjąć połączony z obiektywem aparat i przypiąć go do statywu. A to zajmuje nieco ponad 10 sekund. Plecak i statyw założyłem na ramiona, wpiąłem buty w narty – klik, klik – chwyciłem kijki w ręce i w drogę. Poszusowałem wzdłuż doliny rzeczki Łutowni do Starej Białowieży, a potem w dolinę Narewki prostą drogą na starym kolejowym nasypie. W miejscu, w którym dotarłem do doliny Narewki, jest ona wąska i nieco zdradliwa, przez

znajdujące się tam starorzecza i kanały wykopane przez bobry. Na takich kanałach lód zwykle jest cienki i łatwo można wpaść w wodę albo błoto. Ale za wsią Pogorzelce dolina robi się szeroka i piękna. Jeszcze jesienią dolinę zalała woda, która później zamarzła, a lód przyprószył śnieg. Dlatego narty idą tu genialnie.

Narty kojarzyły mi się z wilkami jak mało co. Zimą, jak już pisałem, Antonia zwykle miała wolne – braliśmy ją na poszukiwanie wilczych ofiar tylko od czasu do czasu, żeby nie wyszła z wprawy. Zimą to ja sam, idąc po wilczych tropach, szukałem ich ofiar. Szybko się nauczyłem odróżniać tropy wilków od tropów włóczących się po lesie psów.

– Nie patrz na odcisk łapy, patrz na to, jak idą. Jak idą do wsi, to psy. Jak do lasu, to wilki – radził mi żartem Wadim Sidorowicz, który jest, jak wiecie, tropicielskim mistrzem. A tak naprawdę chodziło mu o to, że pies w lesie nie jest u siebie, kluczy, kręci się. Wilk idzie prosto, przed siebie.

NARTY KOJARZYŁY mi się z wilkami jak mało co.

Wymagało to niezłej kondycji, bo czasami trzeba było przejść kilkanaście, a czasami 20, a nawet 30 kilometrów dziennie, i to w ciągu krótkiego dnia. Wilki nie zabijają codziennie, zwykle mają dwie ofiary w tygodniu, a chodzą bardzo dużo. Z danych uzyskanych dzięki założonym im nadajnikom wiedzieliśmy, że średni dystans pokonywany dziennie przez wilka waha się między 22 a 27 kilometrów. W lesie to ogromna odległość, bo nie da się iść prosto i trzeba kluczyć między stojącymi i zwalonymi drzewami. Lekko licząc, wychodzi ze 30 kilometrów dziennie. Wyobraźcie sobie marsz tej długości w śniegu. Straszliwa katorga,

gdyby iść tylko w butach. Na szczęście bardzo szybko zorientowałem się, że najlepiej będzie iść za wilkami na nartach.

Miałem za sobą dobry trening – nie tyle fizyczny, ile psychiczny – bo problem z zasuwaniem na nartach po lesie tkwi przede wszystkim w głowie. Wiosną 1996 roku z Wojtkiem Moskalem i Jackiem Jezierskim wyszliśmy na nartach z Longyearbyen, stolicy Svalbardu, arktycznego archipelagu. Ciągnąc sanki, przeszliśmy wschodnie wybrzeże Spitsbergenu, jego największej wyspy, dotarliśmy do polskiej bazy w Hornsundzie, po czym wróciliśmy przez lodowce i fiordy zachodniego wybrzeża do Longyearbyen. Ta licząca kilkaset kilometrów runda przez skutą lodem Arktykę była nie tylko świetnym kondycyjnym przygotowaniem do tropienia wilków, ale też dzięki niej doznałem narciarskiego olśnienia. Wcześniej, owszem, na nartach po lesie biegałem, ale tylko po ubitych drogach. Nie wyobrażałem sobie, że z deskami przypiętymi do nóg można wejść między drzewa. Nie mieściło mi się w głowie, że na nartach można przechodzić przez zwalone pnie i że nie zaplączą się one w leżące gałęzie lub wystające korzenie. Cała moja wiedza i wyobraźnia podpowiadały mi, że wejście do lasu na nartach będzie pasmem udręk i wywrotek. Zresztą nie tylko ja tak sądziłem. Gdy przybyliśmy do Białowieży, to z deskami na nogach po lesie za zwierzakami nikt nie chodził, choć na niektórych strychach można było znaleźć szerokie jesionowe narty. Na szczęście daleko na Północy zrozumiałem, że skoro mogę na nartach przechodzić przez labirynty lodowych bloków, włazić na nie, przechodzić oblodzone skały, śmigać nad szczelinami w lodowcach i po popękanych krach, to nie będzie kłopotu z pokonywaniem zwalonych pni, przejeżdżaniem nad gałęziami lub korzeniami. Choć te przeszkody na pierwszy rzut oka wyglądają zupełnie inaczej, to na nartach pokonuje się je tak samo.

Wystarczyło się przełamać. Narta sama w sobie jest przedmiotem tak sprytnym, że prędzej na coś wjedzie i przejedzie nad tym górą, niż się w to zaplącze albo gdzieś utknie. Oczywiście narty, na których wyruszyłem za wilkami, to nie były jakieś zwykłe cienkie biegówki, ale deski, które miałem na Spitsbergenie. Z mocnym butem za kostkę, solidnymi ekspedycyjnymi wiązaniami, prawie tak szerokie jak zjazdowe, ze stalowymi krawędziami, bez których ani brył lodowych, ani zwalonych drzew nie mógłbym pokonać. Na takich nartach wszedłem w las. Od tego momentu marsze za wilkami stały się narciarskim połykaniem przestrzeni, czyli czymś, co uwielbiam. Znajdowałem trop i zasuwałem po wilczym śladzie. Czasami w tym kierunku, w którym szły wilki, a czasami, gdy widziałem, że trop jest zbyt świeży i mogę je spłoszyć, w przeciwnym. Zawsze była to wielka przygoda i zagadka, bo nigdy nie byłem pewny, czy coś znajdę, i nie miałem pojęcia, w jaki rejon Puszczy wilki mnie wyprowadzą. Oczywiście nigdy ich na nartach nie dogoniłem. Tylko parę razy gdzieś zamajaczyły mi z daleka. Ale to nartowanie po lesie bardzo weszło mi w krew. Tak bardzo, że do dziś nie mogę sobie wyobrazić zimy bez przemierzania Puszczy na nartach.

Tego lutowego dnia 2011 roku szedłem więc na nartach na wilki na pewniaka. Tym razem prawie na pewno wiedziałem, że gdzieś tam są. Miałem nadzieję, że znajdę wilczy trop i w jego okolicy będę mógł się zaczaić. Jednak dzień był pochmurny i szary, a na dodatek nie mogłem wypatrzyć żadnych tropów. Nawet kruków nie było słychać. Z każdym przebytym metrem nabierałem pewności, że przekombinowałem. Dolina coraz bardziej się zwężała, a ja zbliżałem się do szosy prowadzącej z Pogorzelec i Teremisek do Białowieży. Jechał po niej samochód za samochodem i widoczne na horyzoncie budynki Białowieży stawały się coraz wyraźniejsze.

A wilków ani widu, ani słychu. Aż nagle dostrzegłem z daleka coś, co wyglądało mi na bobra. Kawałek ciemnego futra wystawał nieco ponad śnieg tuż przy korycie rzeki. Zbliżałem się powoli i z każdym metrem dochodziłem do wniosku, że to coś jest jednak mało bobrze. Po chwili zobaczyłem, że futro należało do martwego cielaka. Młody jeleń leżał tuż przy brzegu rzeki zasłonięty śnieżnym wzniesieniem. Podszedłem bliżej i okazało się, że ma dziurę po kuli w okolicach łopatki. Jacyś myśliwi musieli do niego strzelać i zapewne nie chciało im się chodzić za rannym zwierzakiem. Ale było coś jeszcze. Coś świeższego niż rana po kuli. Tylne udo miał poszarpane, a w trzciny prowadziła ścieżka wydeptana wielkimi wilczymi łapami. Jakby tego było mało, nadleciał kruk, który zamiast krążyć nad zabitym zwierzęciem, latał gdzieś nad trzcinami. „Po co tam, a nie tu, nad jeleniem?", zacząłem się zastanawiać. Miałem tylko jedną sensowną odpowiedź. Bo tam były wilki. Natychmiast wycofałem się na zamarzniętą równinę. Przed sobą miałem trzciny, spodziewałem się, że wyjdą z nich wilki, tymczasem ja byłem widoczny jak na dłoni. W dolinie nie widziałem niczego, za czym mógłbym się schować. Jedyne, co mi pozostawało, to białe ubranie, które natychmiast założyłem. I zawyłem. Raz i drugi. Tyle wystarczy. Albo wyjdą, albo nie. Kruk przestał nagle krążyć nad trzcinami, przeleciał nad martwego jelenia, skubnął go kilka razy, po czym kracząc, odleciał. Białe maskowanie to jednak stanowczo za mało na bystre krucze oko. Ale co tam kruk. Z trzcin wyszły wilki. To znaczy wychodziły, chowały się i znów wychodziły. Choć były tuż przede mną, chyba do końca nie wiedziały, kim jestem. Dwa jadły sobie cielaka, a z boku stanęła charakterystyczna para. On wielki z szerokim łbem i bardzo poczciwym spojrzeniem, trochę miśkowaty – wyszedł, oblizał się, po czym usiadł i patrzył na mnie bez większego zainteresowania.

Ona z nieco liskowatą aparycją też patrzyła w moim kierunku, ale z dużą rezerwą. W końcu podniosła do góry wyprężony ogon, którym delikatnie zamachała. Było to oznaką zaniepokojenia, ale też ciekawości. Czasami tak robią psy, gdy nie wiedzą za bardzo, jak się zachować. Co mam z tobą zrobić: bawić się czy warczeć? Czyżbym wyglądał im na jakiegoś dziwnego wilka? Bo chyba gdyby uznały mnie za człowieka, toby zwyczajnie zwiały. Skurczony przypatrywałem się im przez obiektyw i powoli do mnie docierało, że wyglądają dziwnie znajomo. Tak, to były one! To były moje wilki, które spotkałem koło domu. Poznałem je po pyskach, a raczej po twarzach.

CHOĆ WILKI BYŁY TUŻ PRZEDE MNĄ, chyba nie do końca wiedziały, kim jestem.

Z TRZCIN WYSZŁY WILKI. Wychodziły, chowały się i znów wychodziły.

Tylko z pozoru wszystkie wilki wyglądają tak samo. Każdy ma bardzo specyficzny rysunek na twarzy albo, jak kto woli, na pysku i tak samo jak u człowieka wymalowany jest na nim charakter. Właśnie po tym miśkowatym poczciwym i spokojnym wyrazie twarzy basiora i liskowatym, trochę sprytnym wadery je poznałem. Ponad dwa miesiące wcześniej wyszedłem z domu na narty. Nie na żadną wyprawę, czy nawet wycieczkę, ale tak tylko, żeby się przewietrzyć. Miałem plecak z aparatem, bo aparat noszę ze sobą do lasu zawsze. Nieważne, czy idę na cały dzień, czy na pół godziny. Na łące przed domem zauważyłem świeży trop wilka, ale zupełnie nie zrobiło to na mnie wrażenia. Nawet nie marzyłem o tym, że uda mi się zrobić zdjęcie. Nie tacy jak ja się na wilki czaili i raczej niewiele im z tego wychodziło albo udawało się dopiero po tygodniach czajenia się w specjalnych ukryciach.

Przeszedłem przez las i znalazłem się na moim ulubionym czarnym szlaku idącym po starym kolejowym nasypie ze wschodu

na zachód, około kilometra na południe od Teremisek. Często spotykam tu żubry, jelenie, ale najczęściej dziki, które szczególnie zimą ryją po bokach nasypu. Podobnie jak wiele innych białowieskich dróg szlak na tym odcinku ciągnie się prosto przez blisko półtora kilometra. Można sobie stanąć gdzieś w środku i mieć znakomitą widoczność po kilkaset metrów w każdą stronę. Więc sobie stanąłem, a ponieważ nic specjalnego się nie działo, wyciągnąłem telefon i zadzwoniłem do Andrzeja Załęskiego, z którym robię przyrodnicze programy „Wajrak na tropie", żeby pogadać o naszych planach telewizyjnych. Rozmawialiśmy w najlepsze, gdy kątem oka dostrzegłem gdzieś daleko – tam gdzie czarny szlak przecina drogę Grubolipną – stadko dzików. Niezbyt duże. Na oko pięć, sześć sztuk. Był grudzień, około trzeciej po południu robiło się już szaro i dokładnie nie widziałem ich sylwetek, ale byłem pewien, że to dziki. Bo co innego mogło to być? Co chwila zerkałem na dziki, gadałem z Andrzejem i znów zerkałem na dziki, które wyszły na drogę i powoli się oddalały. I tak im bardziej zerkałem, tym bardziej coś mi w tych dzikach nie pasowało. No bo wielkości były mniej więcej takiej jak dziki, choć z daleka trudno to dokładnie określić. Do dzików nie pasowało mi jednak to, co robią i jak się poruszają. Dziki ryją w miejscu, potem przechodzą kawałek i dalej ryją. A te dziki biegały jakoś tak lekko z jednej strony drogi na drugą. Rozmawiałem z Andrzejem i powoli docierało do mnie, że chyba nie są to dziki. A skoro nie są to dziki, to co? Jakie zwierzęta średniej wielkości mogą sobie biegać po drodze? No jakie?

– Wiesz, muszę kończyć – rzuciłem Andrzejowi, bo wreszcie dotarło do mnie, że skoro to nie są dziki, to muszą to być wilki. Tylko one odpowiadają tej wielkości i chodzą w stadach. W parę sekund wyciągnąłem aparat. Ustawiłem na statywie i spojrzałem

przez teleobiektyw. Wilki, i to najprawdziwsze, szły sobie czarnym szlakiem. Musiały być w dobrym humorze, bo co chwila jeden zaczepiał drugiego i się bawiły. Oddalały się ode mnie i wyglądało na to, że zaraz, za momencik dotrą do Grubolipnej i w nią skręcą albo pójdą dalej. Tak czy inaczej, stracę je za parę chwil z oczu. I wtedy przekonałem się, że ja się już wilków naprawdę ani trochę nie boję. Kolana nie drżały mi jak przy pierwszym i kolejnych spotkaniach. Za to szybko i na zimno kalkulowałem. Cała wiedza z tych wszystkich lat łapania i tropienia wilków nagle skumulowała się w mojej głowie i podpowiadała mi, co mam zrobić. Po pierwsze, jak najniżej statyw.

WILKI NICZYM NA KOMENDĘ odwróciły się i ławą ruszyły w moim kierunku.

PODESZŁY DO MNIE naprawdę blisko. A potem weszły do lasu.

Tak, bym był przy aparacie na wpół leżąco albo klęcząco. Nie muszę być wysoko, bo na drodze nic mi ich nie zasłoni, a one nie mogą zobaczyć sylwetki człowieka. Na szczęście ubrany byłem w ten mój anorak w kolorze beżowym (a może khaki). Najlepsze maskowanie, jakie mogłem mieć w tej chwili. Po drugie, za nic nie wyglądać zza aparatu, żeby nie zobaczyły twarzy. Ludzka twarz to jest to, czego zwierzęta najbardziej się boją i co najlepiej widać w lesie. No dobrze, coś jeszcze trzeba było zrobić z tym, że szły w przeciwnym kierunku. Niewiele się namyślając, wziąłem głęboki oddech, nabrałem tyle powietrza w płuca, ile mogłem, przyłożyłem złożone ręce do ust i zawyłem. Długo i przeciągle, a potem krótko. Zrobiłem to, bo wiedziałem, że wilki piekielnie boją się człowieka, ale też są niezwykle ciekawskimi zwierzętami. I jak usłyszą coś dziwnego, co trochę przypomina wilcze wycie, jest szansa, że postanowią sprawdzić, kto to taki. Zawyłem więc najlepiej, jak umiałem, i nawet jeszcze nie skończyłem, gdy przez obiektyw zobaczyłem, jak wilki niczym na komendę odwróciły się i ławą ruszyły w moim kierunku. Niesamowite uczucie, gdy widzisz, jak z każdą sekundą są bliżej i bliżej, i możesz je spokojnie podziwiać i fotografować, bo się nie boisz. Były piękne. Szare, z jasnym podgardlem i gęstym futrem. Były jak wszystkie wyobrażenia o pięknych wilkach. Szły ławą, a gdy tylko na moment przystawały albo zwalniały, wyłem. Nie mogłem dać im sekundy na rozważanie i kalkulowanie, czym może być ta skulona istota przed nimi wydająca dziwne dźwięki. Na wycie reagowały, przyspieszając i biegnąc w moim kierunku. Gdy były już naprawdę blisko, wyć nie było po co. Żaden wilk by tak nie robił. Zamiast wycia zacząłem skomleć. „Mii, mii, mii", naśladowałem odgłos Antonii wydawany, gdy rwała się do wilków. Pamiętałem, że one jak szalone leciały

kiedyś do niej na ten dźwięk. Udało się. Podeszły do mnie naprawdę blisko. Może na 50 metrów. A potem weszły do lasu. Na chwilę straciłem je z oczu. Słyszałem, jak idą przez las, w końcu zobaczyłem szare grzbiety zachodzące mnie z drugiej strony. Znów były bardzo blisko. Widziałem, jak wyglądają zza drzew. A potem powoli zniknęły w lesie.

Po powrocie do domu rzuciłem się do komputera oglądać, jak się udały zdjęcia. Jedno z nich jest na okładce tej książki. To moje najlepsze zdjęcie wilków. Widać na nim, że idącą na mnie watahę sześciu wilków prowadzi miśkowaty, potężny wilk i liskowata wilczyca. Za nimi trochę jakby speszone idą te młodsze, prawdopodobnie ich dzieci. To właśnie ta para wyszła z trzcin nad Narewką jako pierwsza i bacznie mi się przyglądała, kiedy siedziałem przykryty białą płachtą. Cieszyłem się, że znów je widzę w dobrym zdrowiu i kondycji. Poza tym miałem jeszcze jeden powód do radości. Te dwa miejsca, w których je spotkałem: czarny szlak i dolina Narewki, znajdowały się tuż przy granicach terytorium Rudej. A ponieważ terytoria watah często zachodzą na siebie, to może ten miśkowaty wilk o poczciwym spojrzeniu albo ta liskowata wadera to byli jej dalecy potomkowie albo kuzyni?

Nasze bliskie spotkanie w dolinie trwało jakieś dziesięć minut, trochę dłużej niż za pierwszym razem. Kiedy ostatni wilk zniknął w trzcinach, a ja byłem pewien, że już ich nie zobaczę, zerwałem się na równe nogi i pojechałem w kierunku szosy. Nie chciałem im przeszkadzać w jedzeniu. Szczęśliwy pognałem do domu. Nie mogłem się doczekać, kiedy opowiem o wszystkim Nurii i Antonii.

• • • • • •

PODZIĘKOWANIA i epilog

• • • • • •

Muszę coś wyznać. Jestem leniem i najchętniej tylko chodziłbym do lasu i podglądał zwierzęta, czyli przeżywał przyrodnicze przygody. Pisanie, owszem, lubię, ale ktoś musi mnie przypilnować. Wiadomo, las i zwierzęta są ciekawsze od stukania w klawiaturę. Tej książki by nie było, gdyby dzielnie nie pilnowały mnie i nie pracowały ze mną oraz nade mną cztery osoby z wydawnictwa Agora: Paweł Goźliński, Gosia Skowrońska i Kasia Kubicka oraz Karolina Oponowicz, która nie dość, że jest świetną redaktorką, to jeszcze jest znakomitym i ciekawym świata rozmówcą. Bardzo Wam, Kochani, za cierpliwość i to pilnowanie dziękuję!!!

Jestem też wdzięczny Marcie Śliwińskiej za korektę, Pawłowi Panczakiewiczowi za okładkę, Maćkowi Jaźwieckiemu za wybór zdjęć, Eli Wastkowskiej za skład, Wawrzyńcowi Święcickiemu za mapy, a Waldkowi Gorlewskiemu za mój portret.

Nie napisałbym tej książki, gdyby nie trwająca wiele lat przygoda, jaką Nuria i ja przeżyliśmy w Puszczy, śledząc wilki i badając ich ofiary. Tę przygodę zawdzięczam Julkowi Rawiczowi, mojemu dziennikarskiemu mistrzowi i opiekunowi. Choć dziś może się to wydawać dziwne, nie wszyscy w redakcji „Gazety Wyborczej” w tamtych zamierzchłych czasach uważali, że dziennikarz może pisać z lasu i o lesie. To Julek mnie wybronił, a raczej przekonał wszystkich, że to świetny, nowatorski pomysł mieć korespondenta

z Puszczy. I dzięki niemu mogłem zamieszkać z Nurią w Białowieży i jednocześnie pracować w „Gazecie".

Tu, w Puszczy, moja przygoda była możliwa dzięki Henrykowi Okarmie, Bogumile i Włodzimierzowi Jędrzejewskim, Staszkowi Śnieżko, Beacie i Piotrowi Jachowiczom oraz Rafałowi Kowalczykowi, Karolowi i Halinie Zubom, Janowi Wójcikowi, Iwonie i Irkowi Ruczyńskim, Romkowi Kozakowi, Pawłowi Kordeckiemu, Genkowi Bujko, Arkowi Błachowi, Krzysztofowi Schmidtowi, Andrzejowi Zalewskiemu, Lucynie Szymurze, Przemkowi Wasiakowi, Romkowi Guli, Jörnowi Theuerkaufowi, Małgorzacie Krasińskiej, Sophie Rouss oraz nieżyjącemu Zdzisławowi Puckowi. Co prawda wielu z nich jest utytułowanymi naukowcami i profesorami, ale specjalnie piszę o nich z pominięciem tej naukowej tytulatury, bo byli oni dla nas lub są bliższymi i dalszymi przyjaciółmi albo znajomymi. Szczególnie chcę podziękować wolontariuszom z „padlinowych" badań, byli to: David Badstuber, Dani Bergman, Rosa Carrera, David „el Niño", Marieke Euwe, Nina Farwig, Holger Gruße, Andreas Marten, Tomek Müller, Tamara Munkemüller, Declan O'Mahony, Julien Perrot, Jan Petermann, Sasza Rösner, Martin Steverding, Helen Trotman, Martin van de Loo, Simone Vos, Wouter de Vries, Darius Weber, Laurent Willenegger, Stuart D'Wood oraz Grzesiek, który co roku przyjeżdżał do nas na rowerze. Kilkoro z nich: Nina, Tamara, Sasza i Tomek, jest dziś znanymi naukowcami i naszymi bliskimi przyjaciółmi. Bardzo pomocni byli też ludzie niekoniecznie związani z badaniami naukowymi: Tomek Werkowski, Andrzej Karczewski, Piotr Szlachciuk, Rodzina Poleszuków oraz Rodzina Buszków, nieżyjący już Leszek „Bocian Czarny" Szumarski. Za pomoc w przedzieraniu się przez historyczne zawiłości i podrzucanie ciekawostek z przeszłości jestem szczególnie wdzięczny Tomkowi

Samojlikowi i nieocenionemu Piotrowi Bajko oraz Piotrowi Daszkiewiczowi. Joannie Łapińskiej za pomoc w wyszukiwaniu wilczych publikacji.

ŚWIĘCIE WIERZĘ, ŻE ANTONIA nas odnalazła albo została zesłana przez jakąś siłę wyższą.

Driesowi Kuijperowi dziękuję za wciągające rozmowy o krajobrazie strachu i o tym, jak drapieżniki działają w lesie. Wadimowi Sidorowiczowi za fascynującą wyprawę na Białoruś i tropicielskie porady. Sabinie Nowak i Robertowi Mysłajkowi ze Stowarzyszenia dla Natury „Wilk" za informacje o wilkach w Polsce i na świecie. Jeżeli kogoś pominąłem, to najmocniej przepraszam, ale zrobiłem to nieumyślnie.

Cieszę się, że mogłem się odrobinę przyczynić się do badań prowadzonych wówczas w Puszczy. Nie chodzi tylko o wiedzę, jaką mogłem zdobyć, i o przygodę. To był zaszczyt w tych badaniach

uczestniczyć, bo to dzięki nim i zdobytym wówczas danym wilki w Polsce zostały objęte ochroną. I tak powinno pozostać. Tym bardziej że od tamtych czasów wiemy o nich więcej i nie ma już wątpliwości, że odgrywają w przyrodzie kluczową rolę. Poza tym ta polska ochrona wilka jest fenomenem i dzięki niej gatunek, który budzi takie emocje w innych krajach, u nas cieszy się wysoką akceptacją i podziwem. Nie traćmy tego tylko dlatego, że ktoś ma chorą ambicję zapolowania na drapieżnika i koniecznie chce mieć wilczą skórę nad kominkiem. Strzelanie do wilków nie rozwiąże problemów, a jedynie je stworzy. Ruszy piekielne koło polegające na tym, że skoro strzelamy do nich, to to strzelanie czymś trzeba będzie usprawiedliwić. I wtedy znów z nich zrobimy bestie. A im bardziej będą się nam wydawały potworne, tym bardziej będziemy chcieli do nich strzelać. Tak jest w innych krajach. Nie powielajmy tego błędu, skoro mamy własne, bardzo dobre polskie rozwiązanie.

Wiem, że wilki wciąż są nielegalnie zabijane. Gdy kończyłem pisać ostatnie rozdziały, Sabina i Robert donieśli mi o dwóch wilkach zabitych w zachodniej Polsce. Ktoś je zastrzelił i dla zatarcia śladów wrzucił ich ciała do rzeki. Ten ktoś wiedział, że robi coś bardzo złego, coś nagannego i ze swym czynem krył się jak ostatnia łajza i tchórz. Lepiej niech tak pozostanie. Wilkom wyrządziliśmy już wystarczająco dużo krzywd i będą się nas bały jeszcze przez wieki. Wie o tym każdy, kto pragnie spotkać wilka. Jest to prawie niemożliwe.

Tej książki nie byłoby, gdyby pewnego dania Nuria nie przyprowadziła do domu dziwnej suni, która w niczym nie przypominała wilka. Na początku jej nie chciałem, a potem nie wyobrażałem sobie bez niej życia. Z „Kuny za kaloryferem" dowiedzieliście się o tym, jak wychowała wydrę Julka i zaganiała bociany. Z tej książki o tym, jaką była tropicielką. Antonii już nie

ma z nami. Odeszła w czerwcu 2013 roku. Bardzo nam jej brakuje. Została po niej pustka i przyzwyczajenia. Dopiero niedawno udało mi się pójść do lasu na dłużej niż trzy i pół godziny. Może kiedyś odnajdzie nas jakiś inny fenomenalny pies – bo ja święcie wierzę, że Antonia nas odnalazła albo została zesłana przez jakąś siłę wyższą. Chyba już czas, bo Nuria wyznała mi, że ma wielką ochotę na powtórzenie padlinowych badań w Puszczy. Ale nie dlatego dedykuję tę książkę właśnie Nurii. Powód jest zupełnie inny. Tak się złożyło, że kończę ją pisać kilka dni przed pewną rocznicą. Dwadzieścia lat temu, 29 września 1995 roku, wszedłem na balangę do domu Haliny i Karola przy ulicy Waszkiewicza 131 w Białowieży i zobaczyłem po raz pierwszy kruczoczarne włosy Nurii. Najpierw mnie zatkało z wrażenia, bo nigdy w życiu nie widziałem czegoś tak czarnego, a po chwili się po uszy zakochałem. Super, że jesteś.

Teremiski, 24 września 2015

• • • • • •

KORZYSTAŁEM m.in. z...

allaway E. 2015. *Ancient wolf genome pushes back dawn of the dog* „Nature News" 21.05.2015, doi: 10.1038/nature. 2015. 17607.

edemann O. 1935. *Z przeszłości Białowieży. Tępienie wilków*. „Echa Leśne" 30: 4.

ędrzejewska B., Jędrzejewski W., Bunevich A.N., Miłkowski L. i Okarma H. 1996. *Population dynamics of wolves Canis lupus in Białowieża Primeval Forest (Poland and Belarus) in relation to hunting by humans, 1847-1993*. „Mammal Review" 26: 103-126.

ędrzejewski W., Jędrzejewska B., Okarma H., Schmidt K., Zub K. i Musiani M. 2000. *Prey selection, and predation by wolves in Białowieża Primeval Forest (Poland)*. „Journal of Mammalogy" 81: 197-212.

ędrzejewski W., Schmidt K., Theuerkauf J., Jędrzejewska B. i Okarma H. 2001. *Daily movements and territory use by radio-collared wolves (Canis lupus) in Białowieża Primeval Forest in Poland.* „Canadian Journal of Zoology" 79: 1993-2004.

ędrzejewski W., Schmidt K., Theuerkauf J., Jędrzejewska B., Selva N., Zub K. i Szymura L. 2002. *Kill rates and predation by wolves on ungulate populations in Białowieża Primeval Forest (Poland).* „Ecology" 83: 1341-1356.

arcow G. 1903. *Biełowieżskaja Puszcza*. Publikator (reprint).

uijper D.P.J., Bubnicki J.W., Churski M., Mols B. i van Hooft P. 2015. *Context dependence of risk effects: wolves and tree logs create*

patches of fear in an old-growth forest. „Behavioral Ecology" (published online)

innell J.D.C., Andersen R., Andersone Z., Balciauskas L., Blanco J.C., Boitani L., Brainerd S., Breitenmoser U., Kojola I., Liberg O., Loe J., Okarma H., Pedersen H.C., Promberger C., Sand H., Solberg E.J., Valdman H. i Wabakken P. 2002. *The fear of wolves: a review of wolf attacks on humans*. „NINA Oppdragsmelding" 731: 1-65.

innell J.D.C., Solberg E.J., Brainerd S., Liberg O., Sand H., Wabakken P. i Kojola I. 2003. *Is the fear of wolves justified? A Fennoscandia perspective*. „Acta Zoologica Lituanica" 13: 34-40.

Mech D. i Boitani L. 2003. *Wolves: Behavior, Ecology and Conservation*. The University of Chicago Press.

karma H. 2015. *Wilk*. H2O.

karma H., Jędrzejewski W., Schmidt K., Śnieżko S., Bunevich A.N. i Jędrzejewska B. 1998. *Home ranges of wolves in Białowieża Primeval Forest, Poland, compared with other Eurasian populations*. „Journal of Mammalogy" 79: 842-852.

amsonowicz A. 1991. *Łowiectwo w Polsce Piastów i Jagiellonów*. Instytut Historii Kultury Materialnej PAN. Wydawnictwo Polskiej Akademii Nauk.

chmidt K., Jędrzejewski W., Theuerkauf J., Kowalczyk R., Okarma H. i Jędrzejewska B. 2008. *Reproductive behaviour of wild-living wolves Białowieża Primeval Forest (Poland)*. „Journal of Ethology" 26: 69-78.

elva N. 2004. *The role of scavenging in the predator community of Białowieża Primeval Forest*. Praca doktorska. Uniwersytet Sewilli.

elva N., Jędrzejewska B., Jędrzejewski W. i Wajrak A. 2003. *Scavenging on European bison carcasses in Białowieża Primeval Forest (eastern Poland)*. „Ecoscience" 10: 303-311.

elva N., Jędrzejewska B., Jędrzejewski W. i Wajrak A. 2005. *Factors affecting carcass use by a guild of scavengers in European temperate woodland.* „Canadian Journal of Zoology" 83: 1590-1601.

łupecki L.P. 2011. *Wojownicy i wilkołaki.* PWN.

heuerkauf J., Jędrzejewski W., Schmidt K., Okarma H., Ruczyński I., Śnieżko S. i Gula R. 2003. *Daily patterns and duration of wolf activity in the Białowieża Forest, Poland.* „Journal of Mammalogy" 84: 243-253.

Vężowicz-Ziółkowska D. i Wieczorkowska E. (red.). 2014. *Wilki i ludzie. Małe kompendium wilkologii.* Grupa Kulturalna.

ub K., Theuerkauf J., Jędrzejewski W., Jędrzejewska B., Schmidt K. i Kowalczyk R. 2003. *Wolf pack territory marking in the Białowieża Primeval Forest (Poland).* „Behaviour" 140: 635-648.

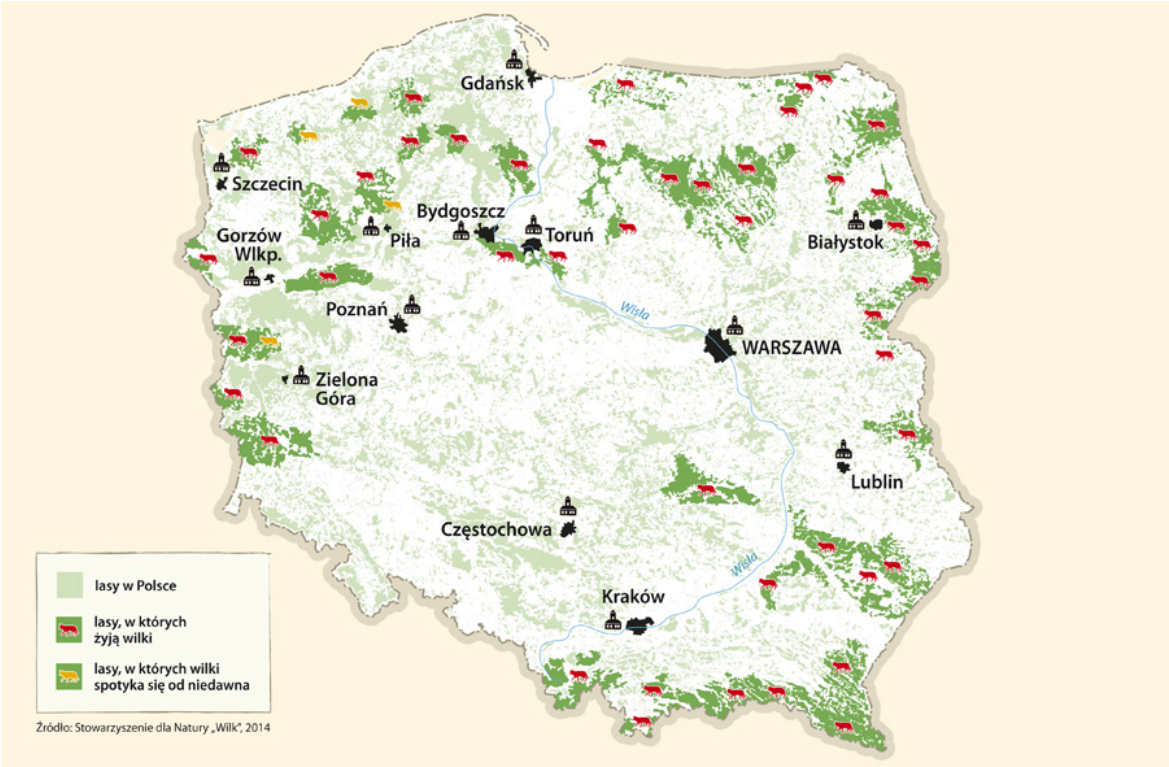

Źródło: Stowarzyszenie dla Natury „Wilk", 2014